

Hałas-Dej, Jankowska, Nowak:
W stronę kapitału żelaznego

Skuza:
Obligacje dla uczelni

Drozdowicz:
Monografia jak marzenie

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 4/2026

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



Zadbać o zasobność

Miler, Stec:
Kłopotliwa mobilność

Sutkowski:
Oblicza konsolidacji

Maj:
Lęk przed cyborgizacją



Akademickie Mistrzostwa Polski w siatkówce

Fot. Grzegorz Michałowski

Warszawa, 1-3 maja 2026 r.



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Realizm celów	
– Marcin Kulasek	6
Polski, nie amerykański, kapitał żelazny?	
– Piotr Kieraciński	7
Polska w lusterku wstecznym	
– Paweł Poszytek	8
Między pasją a przeciążeniem	
– Agnieszka Zimmermann	9
Przewrót kopernikański w „bepośredniości”?	
– Marcin Chałupka	10
Srebrny jubileusz podhalańskiej ANS	12
Bardzo wysoki próg	
– Andrzej Piłc	14
Piękno bestii	
– Piotr Tryjanowski	16
Majowa kumulacja	17
KUKDM 2026: tam, gdzie nauka naprawdę się liczy	
– artykuł sponsorowany	18
LEM Forum 2026	20
Kapitał żelazny po amerykańsku	
– Piotr Kieraciński	27
Opowiedzieć folk	
– Piotr Kieraciński	33
Rząd łagodzi skutki ewaluacji dla podmiotów doktoryzujących	41
Nowe zasady tworzenia list czasopism i wydawnictw	52

ROZMOWA FORUM

Po co kapitał żelazny dla polskich uczelni?	
– rozmowa z prof. Alojzym Nowakiem, rektorem UW	22

KAPITAŁ ŻELAZNY

Żelazny UEP	
– Barbara Jankowska	25
Inwestycja w trwałość uczelni	
– rozmowa z dr Sylwią Hałas-Dej, prorektorką ALK	28
Dokapitalizować uczelnie publiczne	
– rozmowa z dr. hab. Sebastianem Skuzą, prof. UW, ekonomistą i prawnikiem	30

ŻYCIE NAUKOWE

Od informacji do innowacji	
– rozmowa z dr. hab. inż. Jarosławem Protasiewiczem, dyrektorem OPI–PIB	34
Między oceną a rozwojem nauki	
– Paweł Knast	36
Nauka jako produkcja. Cz. 1	
– Adam Krzyż	40
Gwarancja zatrudnienia	
– rozmowa z dr Katarzyną Hałas z UMCS	42

ŻYCIE AKADEMICKIE

Mobilność akademicka między deklaracją a praktyką	
– Krzysztof Miler, Daniel Stec	44
Konsolidacja bez utraty tożsamości	
– Łukasz Sułkowski	47
Jeszcze raz o naukowej monografii	
– Zbigniew Drozdowicz	53
Dom dla róży	
– rozmowa z prof. Jolantą Jastrzęb, koordynatorką interdyscyplinarnego i międzyuczelnianego kierunku arteterapia z ramienia ASP w Katowicach	56

Z LABORATORIÓW

Czy chcielibyśmy ulepszyć własne ciało i w jaki sposób?	
– Konrad Maj	61
Badania odzyskiwania i utraty	
– Karolina Ćwiek-Rogalska	65

W STRONĘ HISTORII

Profesor Józef Kazimierz Ziemacki (1856–1925)	
– Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało	68

Portrety nauki polskiej

Między Krakowem a Princeton	
– Marcelina Smużewska	73

OKOLICE NAUKI

Książki

Książki nadesłane	72
Fenomen szeptania	
– Bogdan Bernat	77
Warmińsko-mazurska szkoła reportażu	
– Zbigniew Chojnowski	77
Władza spojrzenia	
– Marek Misiak	78
Mysł polityczna Bobrzyńskiego	
– Jacek Hnidiuk	78
Między nami bakteriami	
– Anna Jawor	79
Od słowa do leku	
– Lubow Żwanko	79

FELIETON

Rozmowy o języku

O wilku mowa	
– Krzysztof Goczyła	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Żana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczuk, prof. dr. hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Żana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Akapit Intro Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Nowy rektor „Szkoły Orłąt”

DĘBLIN Płk pil. dr inż. Krzysztof Szymaniec objął stanowisko rektora-komendanta Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie. Zastąpił gen. bryg. pil. dr inż. Krzysztofa Cura, który kierował „Szkołą Orłąt” od 2020 roku.



Fot. LAW

W 1998 roku ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych. Po promocji został wyznaczony na stanowisko pilota w 41. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego. W 2009 roku ukończył szkolenie w pierwszej turze polskich pilotów, uzyskując uprawnienia do wykonywania lotów na nowo wprowadzanym w Siłach Zbrojnych RP samolocie transportowym C-130 Hercules. W 2012 roku jako pierwszy został w pełni wyszkolonym instruktorem na tym typie statku powietrznego. W 2013 roku organizował Zespół Transportowy stale zabezpieczający funkcjonowanie PKW Mali przy Misji Szkoleniowej Unii Europejskiej oraz transport pomocy humanitarnej i sprzętu wojskowego. Szczególną zasługą była realizacja dostaw pomocy humanitarnej oraz ewakuacja placówki dyplomatycznej w Bengazi w Libii podczas trwającej wojny domowej w 2011 roku. Wykonywał loty bojowe w strefie działań wojennych, m.in. do Afganistanu, transportując osoby i ładunek na rzecz Polskich Kontyngentów Wojskowych. Organizował loty z pomocą humanitarną do wielu krajów, w tym do Nepalu w 2015 roku po katastrofalnym w skutkach trzęsieniu ziemi oraz ewakuację polskich obywateli z Donbasu, polskich dyplomatów z Libii i Iraku w 2014 roku. Posiada klasę mistrzowską pilota wojskowego, uprawnienia do wykonywania lotów instruktorskich oraz uprawnienia pilota doświadczalnego III klasy.

Trzech Polaków w Academia Europaea

LONDYN Trzech polskich naukowców zostało w tym roku przyjętych w poczet członków Academia Europaea skupiającej ponad 5,5 tys. uczonych z różnych dziedzin. Tym samym lista naszych reprezentantów w tej organizacji obejmuje już 122 osoby.



Prof. Paweł Rowiński jest hydrologiem i hydrodynamikiem, od 2023 roku pełni funkcję dyrektora Instytutu Geofizyki PAN (kierował placówką także w latach 2008–2015). Od 2015 do 2022 roku, przez dwie kadencje, był wiceprezesem PAN. W kadencji 2024–2027 stoi na czele Europejskiej Federacji Akademii Nauk (ALLEA). Jego zainteresowania naukowe skupiają się wokół metod statystycznych w hydrologii, inteligentnych analiz danych, turbulencji rzecznych oraz zmian klimatu. Dr hab. Rafał Smoczyński jest socjologiem, od 2024 roku kieruje Zakładem Badań nad Religią w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, w którym pracuje od 2009 roku. Wcześniej związany był z Instytutem Badań Literackich PAN. W pracy naukowej zajmuje się m.in. socjologią ekonomiczną, socjologią elit, socjologią religii, kontrolą społeczną, filozofią polityczną, teorią dyskursu. Bada powiązania między hierarchią społeczną, regulacjami moralnymi i kształtowaniem tożsamości w społeczeństwach postkomunistycznych. Prof. Tomasz Zarycki, socjolog, zastępca dyrektora Instytutu Studiów Społecznych im. Profesora Roberta

Zajonca Uniwersytetu Warszawskiego (w latach 2012–2020 był dyrektorem), gdzie kieruje Ośrodkiem Badań Socjologicznych. Zajmuje się m.in. problematyką elit, podziałów politycznych w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, teorią dyskursu, koncepcjami kapitału kulturowego i społecznego. Jedną z głównych koncepcji przez niego rozwijanych są przestrzenne hierarchie władzy między obszarami centrum i peryferii, nierównymi sobie pod względem zasobów i uprzywilejowania poszczególnych typów kapitału (ekonomicznego, społecznego i kulturowego).

Nowy dyrektor Instytutu Europy Środkowej

LUBLIN Dr Grzegorz Gil z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej został nowym dyrektorem Instytutu Europy Środkowej. Zastąpił na tym stanowisku prof. Mirosława Filipowicza, który kierował placówką od listopada 2024 roku.

Jest trzecią osobą stojącą na czele IEŚ od momentu utworzenia instytutu w 2018 roku; przez pierwsze sześć lat stanowisko piastowała dr hab. Beata Surmacz. Dr Gil jest adiunktem w Katedrze Bezpieczeństwa Międzynarodowego UMCS. Specjalizuje się w problematyce bezpieczeństwa międzynarodowego, państwach upadłych, dysfunkcyjnych i postkonfliktowych, stosunkach zewnętrznych Unii Europejskiej, a także interwencjach wojskowych i zmianach reżimów. IEŚ to jedna z kilku instytucji badawczych znajdujących się pod bezpośrednim nadzorem Prezesa Rady Ministrów. Powstał w miejsce Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej (stworzonego przez prof. Jerzego Kłoczowskiego). W swojej działalności koncentruje się na merytorycznym wsparciu polityki zagranicznej Polski poprzez analizę procesów społecznych, politycznych, gospodarczych i kulturowych zachodzących w państwach Europy Środkowej i Wschodniej.



Fot. IES

Przyznano Nagrodę PTM im. Steinhaus

WARSZAWA Prof. Urszula Ledzewicz z Instytutu Matematyki Politechniki Łódzkiej została laureatką Nagrody Głównej Polskiego Towarzystwa Matematycznego im. Hugona Steinhaus. Uchonorowano ją za całokształt działalności i wybitny wkład w rozwój metod matematycznych służących do optymalizacji różnych terapii przeciwnowotworowych, szczególnie tych związanych z lekoopornością czy chemioterapią metronomiczną. W uzasadnieniu przypomniano, że prof. Ledzewicz jest współautorką dwóch monografii, w tym jednej poświęconej zastosowaniom teorii sterowania optymalnego w onkologii.

Jak dodano, jej konstrukcja modeli matematycznych odzwierciedlających z jednej strony głęboką znajomość fizjologii i medycyny, a z drugiej poddających się analizie metodami geometrycznej teorii sterowania, zasługuje na najwyższe uznanie. Jury podkreśliło również współpracę laureatki z lekarzami i przedstawicielami firm farmaceutycznych, która zaowocowała m.in. wprowadzeniem nowych zastosowań klinicznych w terapii nowotworów przewodu pokarmowego. „Jej dokonania mają w dużej mierze charakter prekursorski, a jej wiedza i dorobek naukowy są doceniane zarówno przez matematyków teoretyków, jak i lekarzy specjalistów” – napisało jury.



Źródło: PTM

COPERNICUS za analizę matematyczną

WARSZAWA Prof. Leszek Skrzypczak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i prof. Dorothee Haroske z Uniwersytetu Friedricha Schillera w Jenie zostali laureatami Polsko-Niemieckiej Nagrody Naukowej COPERNICUS. Doceniono ich prawie 20-letnią współpracę

naukową w dziedzinie analizy matematycznej i równań różniczkowych cząstkowych. Ich najważniejszym osiągnięciem jest stworzenie wspólnego języka dla różnych dziedzin zaawansowanej matematyki. Współpraca obojga badaczy pozwoliła uporządkować wiedzę o tzw. przestrzeniach funkcyjnych. Można je sobie wyobrazić jako wielkie cyfrowe mapy, na których matematycy nanoszą informacje o tym, jak zmieniają się dźwięki, obrazy czy zjawiska fizyczne. Jury szczególnie doceniło sposób, w jaki badacze opisali działanie transformacji Fouriera. To matematyczne narzędzie działa jak „pryzmat”: podobnie jak szkło rozkłada białe światło na kolory tęczy, tak transformacja Fouriera rozkłada skomplikowane dane (np. mowę ludzką) na proste, pojedyncze tony. Dzięki odkryciu naukowców wiemy już dokładnie, kiedy to narzędzie zachowuje się w sposób przewidywalny i bezbłędny, nawet gdy pracujemy nad bardzo złożonymi problemami. Choć badania laureatów mają charakter teoretyczny, mogą mieć istotny wpływ na współczesną inżynierię.



Fot. FNP

rię. Wypracowane modele mogą stanowić brakujące ogniwo w optymalizacji wielu procesów, z których korzystamy każdego dnia: od zaawansowanego przetwarzania obrazów i dźwięku (np. w technologiach kompresji i medycynie obrazowej), przez symulacje numeryczne stosowane w budownictwie, aż po modele stochastyczne wykorzystywane w prognozowaniu rynków finansowych i zmian klimatycznych. Nagroda COPERNICUS przyznawana jest co dwa lata przez niemiecką fundację badawczą DFG i Fundację na rzecz Nauki Polskiej duetowi współpracujących ze sobą naukowców z obu krajów.

Utworzą Centrum Nauk Przedklinicznych

ZAMOŚĆ W Akademii Zamojskiej powstanie Centrum Nauk Przedklinicznych. Będzie funkcjonować na Wydziale Nauk o Zdrowiu. Działalność nowej jednostki skoncentruje się zarówno na dydaktyce, jak i badaniach naukowych. Obejmie ona kluczowe obszary nauk biomedycznych, takie jak biologia molekularna, mikrobiologia, biochemia, anatomia i histologia, fizjologia oraz parazytologia. Istotnym elementem będą również symulacje kliniczne, w szczególności chirurgiczne i anestezyjologiczne. Centrum będzie służyło realizacji badań przedklinicznych, a także umożliwi studentom zdobywanie praktycznych umiejętności w środowisku laboratoryjnym i symulacyjnym, wiernie odwzorowującym realia pracy medycznej. Zostanie wyposażone w zaawansowaną aparaturę naukową, medyczną i symulacyjną dostosowaną do specyfiki poszczególnych pracowni. Przykładowo w Laboratorium Biologii Molekularnej, jednej z najbardziej zaawansowanych jednostek, znajdzie się termocykler PCR do powielania DNA, komory laminarne, specjalistyczne zamrażarki do przechowywania materiału genetycznego oraz spektrofotometr do analizy kwasów nukleinowych. Z kolei na wyposażeniu Pracowni Anatomii i Histologii będzie nowoczesny stół anatomiczny z oprogramowaniem do wirtualnych sekcji oraz wysokiej klasy mikroskopy umożliwiające szczegółową analizę preparatów tkankowych. Na inwestycję uczelnia otrzymała z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego dotację w wysokości 4 mln zł.

Pierwsze w Polsce komory metaboliczne

BIAŁYSTOK Dwie komory metaboliczne zainstalowano na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku. Wyglądają jak mały pokój w hotelu. Są całkowicie wyizolowane, a wchodzi się tam zazwyczaj na 24 godziny. W tym czasie można czytać książki, oglądać telewizję albo ćwiczyć. Dla



Fot. UMIB

naukowców z kolei to okazja, by zbadać, jak funkcjonuje organizm człowieka: co wydycha, co wydala, jak się zmienia. W komorach metabolicznych można kontrolować wszystkie możliwe parametry. Nikt w tej części Europy tak jeszcze nie bada metabolizmu. Dzięki zakupionym urządzeniom można szczegółowo i bardzo precyzyjnie badać zależności w takich chorobach, jak m.in. otyłość, cukrzyca, stany przedcukrzycowe, ale też w zakresie związanym z dietą czy aktywnością fizyczną i ich wpływem na metabolizm. Nowa technologia może także pomóc w badaniach klinicznych nad żywnością funkcjonalną, nad którymi w ostatnim czasie intensywnie pracuje się w podlaskiej uczelni medycznej. W komorach metabolicznych trwają już badania pierwszych pacjentów. Inwestycja jest jednym z 18 projektów wybranych w konkursie Agencji Badań Medycznych na rozwój Centrów Badań Klinicznych. Uczelnia otrzymała 7,5 mln zł, a kolejne 1,5 mln zł dołożyła ze środków własnych.

Doktorat h.c. – dr inż. Sławosz Uznański-Wiśniewski

WARSZAWA Polski astronauta został doktorem honoris causa Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Jest najmłodszym dhc w historii uczelni. Doceniono jego zasługi dla rozwoju nauki i współpracy międzynarodowej. Uznański-Wiśniewski to drugi (po Mirosławie Hermaszewskim) Polak w kosmosie i pierwszy, który przebywał na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Został wybrany spośród 22,5 tys. osób. Na przełomie czerwca i lipca ubiegłego roku na pokładzie kapsuły Dragon Grace uczestniczył w misji Ax-4 jako członek czteroosobowej załogi, pełniąc w niej rolę astronauty-specjalisty. Spędził na orbicie 20 dni, w trakcie których przeprowadził 13 eksperymentów, które dotyczyły m.in. medycyny, biologii, biotechnologii i nauk inżynierskich. Natomiast wraz z międzynarodową załogą nadzorował przebieg około 60 eksperymentów.



Fot. SGH

Atlas Energetyki Solarnej wspomogł rozwój fotowoltaiki

WARSZAWA/WROCŁAW Ekspertzy z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowego Instytutu Badawczego oraz Politechniki Wrocławskiej opracowali Atlas Energetyki Solarnej dla Polski. Pozwala on m.in. na dokładną czasoprzestrzenną ocenę zasobów energii promieniowania słonecznego i potencjału produkcji energii z instalacji fotowoltaicznych. Informacje w nim zawarte opierają się na danych satelitarnych obejmujących okres od 1 stycznia 2015 roku do 31 grudnia 2024 roku. Analizowano je w 15-minutowych krokach i rozdzielczości przestrzennej trzech kilometrów. Oznacza to, że dla każdego punktu siatki obliczeniowej stworzono zbiór przekraczający 350 tys. obserwacji. Dzięki temu można przeprowadzić szczegółową analizę nasłonecznienia i produkcji PV w skali godzinowej, dobowej i miesięcznej, a także przygotować ocenę jego zmienności w czasie. Przeprowadzone analizy potwierdziły wcześniej-

sze obserwacje: ściana południowo-wschodnia (województwo lubelskie) oraz południowe części województwa opolskiego to regiony o najkorzystniejszych warunkach nasłonecznienia. Atlas ma być w przyszłości aktualizowany i rozbudowywany o nowe funkcjonalności związane z próbą wytypowania lokalizacji, w których warunki nasłonecznienia cechują się jak najmniejszą zmiennością w czasie, a co za tym idzie, produkcja energii jest bardziej stabilna. Jego autorzy chcą również dopracować wersję powiązaną bezpośrednio z prognozami produkcji energii elektrycznej dostępnymi dla przeciętnego odbiorcy. Chodzi o to, żeby można było sprawdzić prognozowane nasłonecznienie i oszacować produkcję energii z fotowoltaiki z przynajmniej jednodniowym wyprzedzeniem.

Doktorat h.c. – prof. Konrad Kucza-Kuczyński

BIAŁYSTOK Niekwestionowany autorytet w dziedzinie architektury sakralnej i monumentalnej otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Białostockiej. Jest trzynastą osobą wyróżnioną najwyższą godnością akademicką przez podlaską uczelnię. Prof. Konrad Kucza-Kuczyński, zawodowo związany z wydziałami architektury Politechniki War-



Fot. Dariusz Plekut

sawskiej oraz Politechniki Białostockiej, posiada w swoim dorobku liczne realizacje o randze ogólnopolskiej: od unikatowych obiektów sakralnych w Warszawie i na Jasnej Górze, po kompleksowe studia rozwoju uczelni technicznych. Jest również cenionym teoretykiem, autorem siedmiu monografii oraz członkiem najważniejszych gremiów naukowych, w tym Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności,

Stowarzyszenia Architektów RP czy Międzynarodowej Unii Architektów. W 1995 roku został laureatem Honorowej Nagrody SARP, najwyższego lauru dla architektów w Polsce. Doceniono go „za wszechstronną działalność promującą kulturę architektoniczną”. Ma na koncie przełomowe monografie, takie jak *Nowe kościoły w Polsce*, *Zawód-architekt* czy *Czwarty wymiar architektury miasta*.

Doktorat h.c. – prof. Józef Kubik

BYDGOSZCZ Ceniony inżynier mechanik, były rektor Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, został uhonorowany tytułem doktora honoris causa tej uczelni. W tym roku UKW w Bydgoszczy kończy 20 lat. W okresie 2006–2012 w fotelu rektora zasiadał właśnie prof. Kubik. Po przekształceniu Akademii Bydgoskiej, stanął przed zadaniem wyty-



Fot. Tomasz Mazalon

czenia odpowiedniego kierunku rozwoju uczelni i nadania jej w pełni uniwersyteckiego charakteru. Na zakończenie jego rektorskiej misji UKW znajdował się w zupełnie innym miejscu niż sześć lat wcześniej. Bogatsza oferta dydaktyczna, większa liczba pracowników i studentów oraz rozpoczęcie dwóch kluczowych inwestycji sprawiły, że okres ten bez powodu byłaby określany mianem „Dobrej Dekady”. Zanim w 1996

roku podjął pracę na Wydziale Matematyki i Techniki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy (późniejszy Uniwersytet Kazimierza Wielkiego), przez 22 lata był zawodowo związany z Instytutem Podstawowych Problemów Techniki PAN w Warszawie. Jego dorobek naukowy obejmuje ponad 240 pozycji, w tym 10 opracowań zwartych (monografii, podręczników i skryptów), 130 oryginalnych publikacji naukowych, których jest autorem lub współautorem.

Doktorat h.c. – prof. Jacek Dubiel

KIELCE Jeden z pionierów polskiej kardiologii inwazyjnej został doktorem honoris causa Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Jest

24 osobą uhonorowaną najwyższym wyróżnieniem akademickim przez świętokrzyską uczelnię. Jego najważniejsze publikacje naukowe dotyczą hemodynamiki krążenia w niewydolności serca, kardiomiopatiach oraz w wadach serca, hemodynamiki oraz metabolizmu mięśnia sercowego w warunkach niedokrwienia i reperfuzji, jak również czynników i leków modyfikujących hemodynamikę krążenia płucnego. Ważną część jego dorobku stanowią badania dotyczące diagnostyki i leczenia kardiomiopatii przerostowej, choroby niedokrwiennej serca, niewydolności serca oraz techniki zabiegu pierwotnej angioplastyki wieńcowej w świeżym zawałe serca. W sumie napisał ponad 500 artykułów naukowych. Swoją karierę zawodową związał z II Kliniką Kardiologii Instytutu Kardiologii Akademii Medycznej (obecnie Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum). W 1989 roku został powołany na stanowisko kierownika tej Kliniki, które sprawował aż do przejścia na emeryturę w 2012 roku. To właśnie dzięki jego zaangażowaniu w 1997 roku otwarto nowoczesną pracownię hemodynamiki. Dwa lata później Klinika wraz z Instytutem Kardiologii w Krakowie wprowadziła własny oryginalny i unikatowy model leczenia zawału serca, tzw. torowaną angioplastykę wieńcową.



Fot. UKK

Nocniki odsłaniają historię chorób

NOVAE Dokonana przez polskich naukowców analiza rzymskich nocników z Novae i Marcianopolis ujawniła nieznane dotąd informacje o pasażach sprzed 1800 lat. Nocniki są dla naukowców cennym źródłem informacji o stanie zdrowia dawnych społeczności. Zachowane na ich ściankach zmineralizowane osady moczu i kału pozwalają wykrywać ślady pasożytów jelitowych i chorób zakaźnych. Tym razem starożytne nocniki stały się przedmiotem unikatowych w skali europejskiej badań z pogranicza historii, archeologii i paleoparazytologii. W badaniach prowadzonych przez dr hab. Elenę Kleninę z Pracowni Historii Wizualnej na Wydziale Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu brali udział również naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego i Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Przedmiotem ich analiz były nocniki (łac. *lasanæ*) datowane na II–IV wiek n.e. Znaleźiska pochodzą z dwóch rzymskich miast położonych w Novae (dzisiejsza północna Bułgaria) oraz Marcianopolis. Wyniki okazały się przełomowe. W zmineralizowanych osadach znaleziono: jaja tasiemca (*Taenia* sp.), ślady *Entamoeba histolytica* – pasożyta wywołującego czerwonkę oraz pierwotniaka *Cryptosporidium parvum*. Ten ostatni ma szczególne znaczenie. Został po raz pierwszy opisany dopiero w 1907 roku, a zakażenia u ludzi rozpoznano w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Przez dekady uważano, że jego najstarsze ślady pochodzą z Ameryki Środkowej (Meksyk, VII–VIII w. n.e.). Odkrycie w Novae oznacza najwcześniejszy znany przypadek tego pasożyta w rzymskich warstwach kulturowych w Europie i dopiero drugi wiarygodny dowód jego obecności na kontynencie. Pierwszy pochodził z Balearów i datowany był na około 3000 rok p.n.e. Zmienia to dotychczasowe wyobrażenia o historii rozprzestrzeniania się chorób pasożytniczych i podważa tezę o wyłącznie „amerykańskim” pochodzeniu patogenu.

„Pirania” po pierwszej misji

GDAŃSK Pierwsza misja operacyjna „Piranii” zakończyła się powodzeniem. Prototyp podwodnego drona opracowanego przez Politechnikę Gdańską wykonał pełny scenariusz działań: od wodowania i zanurzenia, po odnalezienie oraz identyfikację dwóch obiektów. „Pirania” powstaje we współpracy Politechniki Gdańskiej z firmą RADMOR SA jako odpowiedź na rosnące potrzeby związane z ochroną infrastruktury krytycznej i monitoringiem akwenów istotnych z punktu widzenia bezpieczeństwa. Chodzi m.in. o porty zewnętrzne, infrastrukturę morską oraz inne obiekty wymagające stałego nadzoru i szybkiej identyfikacji potencjalnych zagrożeń. Projekt ma charakter dual use, co oznacza, że



Fot. David Linkowski

może znaleźć zastosowanie zarówno w obszarze cywilnym, jak i specjalnym. Pierwszy test w warunkach zbliżonych do rzeczywistych działań inspekcyjnych potwierdził działanie najważniejszych funkcji systemu, w tym komunikacji, manewrowania, obrazowania i prowadzenia rozpoznania w środowisku wodnym. „Pirania” rozwijana jest jako pojazd przeznaczony do monitorowania i inspekcji podwodnej infrastruktury krytycznej, do wykrywania anomalii dna morskiego, z wykorzystaniem m.in. kamery do pracy w warunkach niskiego oświetlenia oraz rozwiązań sonarowych i nawigacyjnych. Docelowo „Pirania” rozwijana będzie jako rozwiązanie modułowe, konfigurowane pod wymagania konkretnego odbiorcy.

KUL otworzył Czytelnię Biblijną

LUBLIN Czytelnię Biblijną otwarto w Bibliotece Uniwersyteckiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Księgozbiór liczy obecnie około 8 tys. woluminów. Serce czytelnicy stanowią teksty samej Biblii: wydane w językach oryginalnych (hebrajskim, aramejskim i greckim), żydowskie targumy, starożytne przekłady Pisma Świętego (łacińskie, syryjskie, koptyjskie, etiopskie, staro-cerkiewno-słowiańskie), tak zwane „poligloty” (zestawiające różne starożytne wersje tekstu) oraz najważniejsze tłumaczenia na języki nowożytne. W czytelnicy znajdują się wszystkie przekłady Biblii na język polski (zarówno katolickie, protestanckie, mariawickie, prawosławne, jak i żydowskie, nie wyłączając przekładów świeckich i o charakterze eksperymentalnym), które ułożono zgodnie z chronologią ich powstawania. Ciekawostkę stanowią wydania gwarowe ksiąg świętych (m.in. kaszubskie, śląskie i góralskie) oraz wierszowane parafrazy tekstu biblijnego. Ponadto zgromadzono publikacje dotyczące translatoryki biblijnej, historii tłumaczeń biblijnych, wpływu Biblii na kulturę i popkulturę, encyklopedie i słowniki biblijne, konkordancje, publikacje z zakresu filologii, archeologii biblijnej, geografii i przyrody biblijnej, atlasy biblijne, przewodniki po Ziemi Świętej, opracowania na temat historii, religii i mitologii ludów starożytnego Bliskiego Wschodu oraz Egiptu w kontekście dziejów biblijnych i wiary Izraela, wstępy do Pisma Świętego, prace dotyczące natchnienia, kanonu, historii i krytyki tekstu biblijnego (w tym faksymilia najważniejszych manuskryptów), hermeneutyki biblijnej, historii egzegezy i biblistyki, komentarze do poszczególnych ksiąg biblijnych Starego i Nowego Testamentu, dzieła egzegetyczne, publikacje omawiające teologię biblijną, historię Izraela i judaizmu oraz czasy Nowego Testamentu i narodzin chrześcijaństwa.

„Dar Młodzieży” w ostatnim wielkim rejsie

GDYNIA „Dar Młodzieży”, szkolny żaglowiec Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, bierze udział w międzynarodowych regatach Sail 250 organizowanych z okazji jubileuszu 250-lecia niepodległości Stanów Zjednoczonych.



Fot. Jacek Kościński

czonych. Transatlantycki rejs nawiązuje do historycznej wyprawy sprzed pół wieku – dokładnie 16 kwietnia 1976 roku „Dar Pomorza” wyruszył w podróż z okazji 200-lecia Stanów Zjednoczonych. Rejs „Daru Młodzieży” stanowi kontynuację tej tradycji. Podróż została podzielona na trzy etapy. Trwa właśnie drugi – statek dowodzony przez kapitana żeglugi wielkiej Michała Sadowskiego płynie z Kadyksu do Stanów Zjednoczonych. Wpłynięcie do portów amerykańskich w drugiej połowie czerwca. Kulminacyjnym punktem rejsu będzie udział fregaty w międzynarodowej paradzie żaglowców 4 lipca w Nowym Jorku. Po niej rozpocznie się ostatni etap – podróż powrotna do Europy. W macierzystym porcie spodziewany jest 24 sierpnia. W trakcie całej wyprawy „Dar Młodzieży” pokona około 12 tysięcy mil morskich. Podróż potrwa 131 dni. To ostatni z wielkich rejsów tego statku. Uczelnia szykuje się do budowy jego następcy.

Dziekani prawa zacieśniają współpracę

WARSZAWA Szesnastu dziekanów wydziałów prawa z całej Polski powołało Konferencję Dziekanów Publicznych Uniwersyteckich Wydziałów Prawa. Ich współpraca ma na celu podniesienie jakości kształcenia prawniczego oraz wspieranie rozwoju nauki prawa. Inicjatorami utworzenia Konferencji byli dziekani wydziałów prawa Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Szczecińskiego, Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz Uniwersytetu Wrocławskiego. Porozumienie podpisano na Wydziale Prawa



Fot. UW

i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Konferencja została ustanowiona jako ogólnopolskie forum współpracy publicznych uniwersyteckich wydziałów prawa w celu podniesienia jakości kształcenia prawniczego oraz wspierania rozwoju nauki prawa. Ma tworzyć też platformę reprezentacji środowiska w dialogu z organami władzy publicznej oraz instytucjami odpowiedzialnymi za kształt szkolnictwa wyższego i system kształcenia prawniczego. Członkami założycielami zostało 16 dziekanów publicznych uniwersyteckich wydziałów prawa z: Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, Uniwersytetu w Białymstoku, Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytetu Opolskiego, Uniwersytetu Rzeszowskiego, Uniwersytetu Szczecińskiego, Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Piotr Burda, Michał Ciepielski, Ewa Chojnacka, Jerzy Doroszkiewicz, Ewa Konarzewska-Michalak, Patryk Rosiński, Dorota Sawicka, Mariusz Sielski, Monika Stojowska, Dominika Wojtyśiak-Łańska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku
i na platformie X



Minister nauki dr inż. Marcin Kulasek przedstawia osiągnięcia polskich naukowców i wyzwania, jakie stoją przed władzami resortu nauki, środowiskiem akademickim i otoczeniem nauki.

Nie mam wątpliwości, że naszym wspólnym celem jest silna, efektywna, dobrze odpowiadająca na potrzeby rynku i wreszcie – odpowiednio finansowana polska nauka. Aby osiągnąć taki stan, musimy najpierw uczciwie zdiagnozować, gdzie leżą realne bariery rozwojowe.

Poniżej przedstawiam moje stanowisko w trzech istotnych obszarach.

Demografia a finansowanie – paradoks rosnących nakładów

Często słyszymy o spadku nakładów na naukę, jednak liczby pokazują nieco inną rzeczywistość. W ostatnich latach nakłady na szkolnictwo wyższe i naukę realnie wzrosły. Środki zaplanowane na szkolnictwo wyższe i naukę w części 28. budżetu państwa – szkolnictwo wyższe i nauka, której jestem dysponentem, wynoszą w 2026 r. dokładnie 35 773 587 tys. zł (w tym budżet środków krajowych 34 019 335 tys. zł i budżet środków europejskich 1 754 252 tys. zł). W porównaniu do roku 2025, gdy kwota zaplanowana w tej części budżetowej wynosiła 34 047 287 tys. zł, oznacza to wzrost wydatków o 1 726 300 tys. zł, tj. o 5,1%.

W tym okresie, ze względu na trendy demograficzne, liczba studentów nie rosła w takim samym tempie. Po dekadzie spadków w roku akademickim 2024/2025 studentów mieliśmy o ok. 35 tys. więcej w porównaniu z rokiem poprzedzającym. Dane wskazują, że osób kształcących się łącznie w uczelniach publicznych i niepublicznych było ogółem 1 280,1 tys. Prognozy na najbliższą dekadę wskazują najczęściej na ustabilizowanie się liczby studiujących w naszym kraju na poziomie ok. 1,1 mln osób. Co te dane oznaczają w praktyce? Realny nakład finansowy przypadający na jednego studenta oraz na jednego pracownika naukowego nie jest dziś tak niski, jak możemy przeczytać w niektórych mediach.

Jeśli przy zauważalnym wzroście finansowania nadal odczuwamy niedosyt, musimy nieco przeformułować najczęściej stawiane pytania. Warto zapytać nie o to, ile pieniędzy płynie do systemu, ale jak są one dystrybuowane i wydatkowane.

Wyścig o fundusze europejskie – mamy potencjał, by sięgać po więcej

Największym wyzwaniem, przed którym stoimy, nie jest brak środków w budżecie krajowym, lecz nasza wciąż niezadowolająca skuteczność w sięganiu po fundusze z programów ramowych Unii Europejskiej.

Na szczęście ostatnio daje się zauważyć poprawę. Polskie zespoły badawcze coraz skuteczniej zaznaczają swoją obecność w międzynarodowych projektach Programów Ramowych, a to przekłada się na coraz wyższe dofinansowanie. W ostatnich latach daje się zaobserwować dynamiczny wzrost uczestnictwa polskich jednostek. Weźmy tu dane z drugiej połowy 2024 r. Analiza 523 pierwszych konkursów w Horyzoncie Europa potwierdziła blisko 126-procentowy wzrost wartości finansowania projektów w porównaniu z analogicznym okresem Horyzontu 2020 oraz wzrost liczby realizowanych projektów z udziałem polskich podmiotów o 40%, co przekłada się także na wyższe dofinansowanie per projekt. Z 2 mld euro zdobytych przez 25 lat ogółem w Programach Ramowych, niemal 670 mln euro, czyli ok. 30%, to efekt lat 2021–2024.

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że pieniądze leżą na stole w Brukseli. Potrzebujemy tylko wystarczającej siły przebicia, by po nie sięgnąć. Jako minister wspieram i będę wspierać procesy prowadzące do lepszego umiędzynarodowienia i ściślejszego zespolewania nauki z biznesem. Po stronie środowiska pozostaje utrzymanie dobrego kursu z ostatnich lat i stałe podnoszenie jakości pracy, która będzie w stanie obronić się w międzynarodowej konkurencji.

Realizm celów

W debacie publicznej, a ostatnio także wśród postulatów zapowiadanego na 27 maja protestu, regularnie pojawia się postulat osiągnięcia nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę w wysokości 3% produktu krajowego brutto. Sam, jako minister, mówiłem o tym celu i nie zmieniam zdania. Mam takie same priorytety, jak środowisko naukowe. Musimy jednak operować w sferze realnych strategii. Droga do tych 3% wiedzie przez etapy, a pierwszym z nich jest osiągnięcie średniej unijnej, czyli finansowania na poziomie ok. 2,2%. Taka strategia wydaje się o wiele bardziej efektywna. Pamiętajmy też, że te 3% to nakłady państwa, ale także sektora prywatnego. Dlatego tak ważna i konieczna jest synergia nauki i biznesu.

Uważam, że dążenie do pułapu 2% PKB jest celem ambitnym, ale racjonalnym. Jest tylko jeden warunek: zwiększenie finansowania krajowego musi iść w parze ze stopniowym wzrostem skuteczności w pozyskiwaniu finansowania z zagranicy. Coraz lepiej potrafimy sobie z tym radzić i to pozwala z umiarkowanym optymizmem patrzeć w przyszłość. Nasze środki na badania muszą pracować na realną doskonałość naukową, muszą być wykorzystywane w pełni efektywnie i transparentnie, a zadaniem ministerstwa, którym kieruję, jest stwarzanie dogodnych warunków ku temu.

Podsumowując, polską naukę stać na sukces, ale wymaga to odwagi do przyznania, że musimy doskonalić się w skutecznym i mądrym podejmowaniu i wydatkowaniu funduszy. Za przykład niech posłużą inicjatywy z zaledwie ostatnich kilku miesięcy: ok. 400 mln zł na remont i budowę nowych akademików z Funduszu Dopłat BGK, 200 mln zł na poprawę infrastruktury bezpieczeństwa na uczelniach, zwiększona o 40 474 800 zł dla instytutów oraz o 586 470 100 zł dla uczelni subwencja z przeznaczeniem na podwyżki dla pracowników tych podmiotów. Dodatkowo 296 700 000 zł na realizację projektu „Science4Business – Nauka dla biznesu”.

Równolegle pracujemy też nad propracowniczymi zmianami w nowelizowanej ustawie o Polskiej Akademii Nauk, skutecznie deregulujemy zapisy o pomocy socjalnej dla doktorantów w trudnej sytuacji życiowej, podnosimy sukcesywnie wysokość dochodu uprawniającą do otrzymania stypendium socjalnego i wysokość samego stypendium, pochylamy się nad kwestią dobrostanu psychicznego studentów, doktorantów oraz pracowników polskiej nauki i wypracowujemy skuteczniejsze niż dotąd metody transferu wyników badań do gospodarki.

W pełni popieram wszelkie postulaty mające poprawić stan polskiej nauki i jestem gotów do rozmów z każdym, kto takie postulaty zgłasza, ale jednocześnie nie mogę zgodzić się z głosami, które mówią o stagnacji czy braku efektów naszej pracy.



Polski, nie amerykański, kapitał żelazny?

Kapitał żelazny – brzmi tajemniczo i poważnie. Jednak gdy prof. Alojzy Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, mówił o budowaniu tego typu zaplecza finansowego dla swojej uczelni, a ewentualnie także innych polskich uniwersytetów, słuchający go rektorzy reagowali w najlepszym razie z rezerwą, częściej z uśmiechami politowaniem, czasami żartem. Był rok 2023 i nikt nie brał takiej możliwości serio. Na pewno nikt? Wywiad z prof. Nowakiem na ten temat ukazał się w FA 7-8/2023, a już jesienią tego roku prof. Grzegorz Mazurek, rektor Akademii Leona Koźmińskiego, podpisywał z partnerami biznesowymi ALK pierwsze umowy o wsparciu jej właśnie środkami na taką formę finansowego zaplecza (materiał prasowy z forumakademickie.pl 9.10.2023. i wywiad w FA 12/2023). Wiadomo: prywatni są bardziej operatywni. W 2025 roku gruchnęła wieść, że kapitał żelazny zaczyna budować Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu. Obie uczelnie są w początkowej fazie tych przedsięwzięć, w skali kraju można je określić mianem pilotażowych, jednak wieść rozniosła się po polskich mediach.

Kapitał żelazny dla polskich uczelni przestał być bajką o żelaznym wilku. Także środowisko akademickie patrzy na tę kwestię inaczej. Dr hab. Sebastian Skuza, prof. UW, specjalista od rozwiązań kapitałowych z dużym doświadczeniem w bankowości i biznesie, po rozmowach w ministerstwach finansów i nauki, właśnie proponuje na łamach „Forum Akademickiego” pewną formę budowania kapitału polskich uczelni publicznych ze wsparciem skarbu państwa.

Warto w tym kontekście przypomnieć, że w Polsce przedwojennej fundowanie instytucji akademickich było czymś naturalnym, a opierało się na potrzebie działania dla dobra wspólnego i na zaufaniu. Zatem przypominajmy. Uniwersytet Jagielloński był ufundowany przez królową Jadwigę, został obdarzony dobrami, które pozwalały mu na utrzymanie bieżącej działalności. W nowszych czasach kapitał miała Akademia Umiejętności w Krakowie. Przed pierwszą wojną światową posiadała ona liczne i rozległe, liczące tysiące hektarów majątki ziemskie i leśne oraz cenne nieruchomości w kilku miastach, które pozwalały rozwijać jej szereg przedsięwzięć naukowych. Wszystko to były darowizny (także spadki) od majątnych ludzi, którzy ufali, że Akademia jest godnym zaufania partnerem, któremu można powierzyć wielkie środki, bo zostaną one dobrze wykorzystane dla dobra wspólnego. Niestety, po wojnach część z tych majątków pozostała poza krajem, a resztę zabrali, m.in. podczas reformy rolnej, komuniści, którzy przez kilkadziesiąt lat rządili Polską, doprowadzając ją do ruiny. Nawet te majątki, które zostały w kraju, nigdy do PAU nie wróciły, choćby w procesie reprivatyzacji. Dziś ta szacowna instytucja zamiast

inwestować własne środki w działalność naukową, musi korzystać z państwowej subwencji.

Innym śladem po tradycji kapitału żelaznego w Polsce była decyzja Karola Jaroszyńskiego, jednego z najbogatszych Polaków w Imperium Rosyjskim, żyjącego na przełomie XIX i XX stulecia. Przyjaźnił się on z ks. Idzime Radziszewskim, rektorem seminarium katolickiego w Petersburgu, i pozytywnie odpowiedział na jego pomysł utworzenia uniwersytetu katolickiego w Lublinie. „Jaroszyński w piśmie z 29 VI 1918 r. zobowiązał się: 1. przekazać na zapoczątkowanie funduszu uniwersyteckiego jeden milion rubli, 2. wybudować gmachy uniwersyteckie /prace miały być zapoczątkowane na wiośnię 1919 r./, 3. przekazać na ręce ks. Idziego Radziszewskiego sumę trzystu tysięcy rubli na utrzymanie uniwersytetu w pierwszym 1918/1919/ r. akademickim” (Grażyna Karolewicz, *Karol Jaroszyński (1877-1929) fundatorem pierwszego uniwersytetu*, „Roczniki Teologiczno-Kanoniczne”, t XXXII, z. 4, 1985). Ta deklaracja przekonała episkopat Polski do utworzenia uniwersytetu. Rewolucja bolszewicka doprowadziła do upadku finansową potęgę Jaroszyńskiego. KUL mimo to powstał, a biznesmeni do końca życia wspierał uniwersytet datkami, na jakie go było stać. Drugim fundatorem uczelni był inżynier Franciszek Skąpski.

Zapewne do współczesnych przykładów tworzenia bytów opartych na kapitale żelaznym należy zaliczyć Fundację na rzecz Nauki Polskiej, która powstała na bazie środków z likwidowanego państwowego Centralnego Funduszu Rozwoju Nauki i Techniki, z którego 95 mln zł (wartość po denominacji) stanowiło kapitał założycielski Fundacji. Później została dokapitalizowana 51,7 mln zł pochodzących z prywatyzacji spółek Skarbu Państwa. Na koniec roku 2024 FNP deklarowało posiadanie 280 mln zł aktywów finansowych, zwrot z inwestycji kapitałowych na poziomie 7,56%, pozyskanie od darczyńców prawie pół miliona złotych (w tym 336 tys. zł z odpisu podatkowego w wysokości 1,5%). Jak widać, kapitał można skutecznie pomnażać, w tym wypadku dla dobra nauki.

Zatem nie jesteśmy zupełną pustynią w kwestii tworzenia kapitałów żelaznych i gospodarowania nimi. Co prawda kilkadziesiąt lat komunizmu pozbawiło nas tej części dziedzictwa kulturowego, a młody kapitalizm jeszcze nie zrozumiał swojej roli społecznej (obawiam się, że może nawet w ogóle jej nie dostrzega). Jednak myśl o kapitale żelaznym ożywa, m.in. dzięki powtarzanej uporczywie, wśród niedowierzania, a nawet kpin, idei prof. A.Z. Nowaka.

Zapraszam do lektury tekstów na stronach 22-30. I do pozostałych artykułów w aktualnym numerze „Forum Akademickiego”.

Piotr Kieraciński



Polska w lusterku wstecznym

Dr hab. Paweł Poszytek, prof. ucz. Akademii WSB, zastanawia się, dlaczego budujemy skansen, a nie drugą Dolinę Krzemową, i zamiast podążać drogą wytyczoną dawno temu przez Henryka Arctowskiego, patrzymy w przeszłość.

Mamy w Polsce tendencję do samozadowolenia. Lubimy powtarzać, że jesteśmy „zieloną wyspą”, tygrysem Europy Środkowej, a nasze PKB nieustannie rośnie. Jednak, gdy zdejmemy różowe okulary bieżącej polityki i spojrzymy na twarde dane z międzynarodowych raportów, obraz przestaje być sielankowy. W wyścigu o przyszłość – tę opartą na sztucznej inteligencji, innowacjach i cyfryzacji – Polska nie tylko nie jest liderem. Zaczynamy przypominać zawodnika, który biegnie w odwrotnym kierunku, mocno wierząc, że meta znajduje się tam, gdzie start.

Analiza kluczowych wskaźników, takich jak Global Innovation Index (GII), Stanford AI Index czy europejska strategia Digital Decade 2030, prowadzi do brutalnej konkluzji: nasz model rozwoju społeczno-gospodarczego stoi pod wielkim znakiem zapytania. Jeśli nie zmienimy kursu, grozi nam rola montowni Europy, tyle że wyposażonej w nowoczesne smartfony.

Innowacyjna pustynia w sercu Europy

W rankingu Global Innovation Index, który jest papierkiem lakmusowym nowoczesności państw, Polska od lat okupuje miejsca w czwartej dziesiątce, regularnie przegrywając z Czechami, Estonią czy Słowenią. To nie jest przypadek, to trend. Jeszcze gorzej sytuacja wygląda, gdy zajrzemy do Stanford AI Index. W dobie, gdy sztuczna inteligencja przemodelowuje globalną gospodarkę, Polska wciąż jest biorcą, a nie twórcą technologii. Nasz wkład w rozwój algorytmów, liczba patentów czy poziom inwestycji w deep-tech plasuje nas na marginesie świata zachodniego.

Raporty dotyczące European Digital Decade 2030 są równie bezlitosne. Owszem, mamy niezłą bankowość mobilną i Blika, ale cyfryzacja małych i średnich przedsiębiorstw czy poziom zaawansowanych kompetencji cyfrowych społeczeństwa pozostawiają wiele do życzenia. Świat ucieka do przodu, budując gospodarkę opartą na wiedzy (knowledge-based economy), podczas gdy my wciąż opieramy naszą konkurencyjność na relatywnie taniej sile roboczej i konsumpcji wewnętrznej. To paliwo właśnie się kończy.

Gdzie jest sternik? World Governance Indicators

Czy Polska ma w ogóle fundamenty, by ten trend odwrócić? Odpowiedzi dostarcza World Governance Indicators (WGI) Banku Światowego. Wskaźniki te oceniają jakość rządzenia, w tym skuteczność rządu (government effectiveness) oraz jakość stanowienia prawa (regulatory quality).

Wnioski z WGI dla Polski są niepokojące. Niska przewidywalność prawa, biurokratyczna inercja i upolitycznienie instytucji, które powinny być merytoryczne, tworzą szklany sufit dla rozwoju. Innowacje wymagają środowiska stabilnego i sprzyjającego ryzyku. W Polsce przedsiębiorca czy naukowiec częściej walczy z systemem niż jest przez niego wspierany. Jeśli silnik państwa, czyli jego zarząd, dławi się i krztusi, trudno oczekiwać, by pojazd gospodarki wygrywał wyścigi Formuły 1.

Dlaczego jednak, mimo aspiracji bycia liderem regionu, tkwimy w tym impasie? Przyczyny leżą głębiej niż w samym PKB. Tkwią w naszej mentalności, kulturze i systemie edukacji.

Syndrom skansenu

Skansenizacja Polski to proces, w którym jako wspólnota odwracamy się od wyzwań współczesności, wybierając bezpieczne ciepło przeszłości. Zamiast dyskutować o miejscu Polski w łańcuchach dostaw półprzewodników, wolimy toczyć nieskończone spory o interpretację historii.

Kultura skansenu to mentalność obłąkanej twierdzy, w której nowoczesność postrzegana jest jako zagrożenie dla tożsamości, a nie szansa na rozwój. To pielęgnowanie narodowych mitów i sentymentów, które – choć ważne dla ducha – nie budują elektrowni atomowych ani nie tworzą algorytmów AI. W efekcie Polska staje się, cytując klasyka, „pięknym krajem smutnych ludzi” albo raczej pięknym muzeum pod gołym niebem, gdzie turyści mogą podziwiać, jak naród w sercu Europy celebrowa swoje klęski, ignorując nadciągające tsunami technologiczne.



Arctowski kontra ułani, czyli kogo (nie) uczymy w szkole

Najbardziej jaskrawym dowodem na naszą strukturalną niezdolność do nowoczesnego myślenia jest to, kogo stawiamy na piedestale w naszym systemie edukacji. Polska szkoła to fabryka romantyków i męczenników, a nie inżynierów i pragmatyków.

Spójrzmy na postać Henryka Arctowskiego. To człowiek, który – jak wynika z historycznych analiz – był de facto architektem niepodległej Polski, a powszechnie znany jest „tylko” z dokonania na niwie eksploracji Antarktyki. To nie szarża ułańska, ale jego gigantyczny, liczący dwa i pół tysiąca stron *Raport o Polsce* (Inquiry Document No. 23) przekonał amerykańską delegację i prezydenta USA Woodrowa Wilsona do takich, a nie innych granic II RP. Arctowski walczył o Polskę nie szablą, ale „excelem” – danymi statystycznymi, mapami zasobów geologicznych i analizami demograficznymi.

Dlaczego więc nie ma go w panteonie narodowym obok Piłsudskiego czy Dmowskiego? Ponieważ był technokratą, a nie politykiem czy żołnierzem. Jak celnie zauważono w analizach historycznych, Arctowski nie pasuje do narracji męczennika. Nie cierpiał w carskim więzieniu, nie zginął na barykadzie. Był światowcem, człowiekiem sukcesu, naukowcem formatu globalnego, który swobodnie poruszał się po Waszyngtonie i Paryżu.

W polskiej kulturze pamięci, która jest głęboko romantyczna i waloryzuje ofiarę krwi, nie ma miejsca dla kogoś, kto po prostu zrobił robotę przy biurku. Arctowski odrzucił teki ministerialne, by wrócić do nauki, nie miał zaplecza politycznego, które dbałoby o jego pomniki. Dla współczesnej Polski, aspirującej do roli lidera innowacji, to właśnie Arctowski powinien być wzorem, symbolem skuteczności, wiedzy i pragmatyzmu. Tymczasem jest politycznym duchem, a my w szkołach nadal uczymy, że chwalebna porażka jest cenniejsza niż nudne, systematyczne zwycięstwo oparte na danych.

Dramat straconych szans

To odrzucenie etosu technokratycznego na rzecz etosu martyrologicznego ma realne przełożenie na dzisiejsze wskaźniki gospodar-

cze. Po pierwsze, brak szacunku dla kompetencji eksperckich. Widać to w zarządzaniu spółkami skarbu państwa i instytucjami publicznymi (co odbija się w World Governance Indicators), gdzie klucz partyjny dominuje nad merytorycznym. Tak jak Arctowski nie miał pleców politycznych, tak dzisiejsi innowatorzy często przegrywają z politycznymi układami.

Po drugie, edukacja nastawiona na przeszłość. Jeśli młody Polak słyszy w szkole głównie o powstaniach, a postacie takie jak Arctowski są traktowane jako przypis do historii polarnej (sic!), to skąd ma czerpać wzorce do budowania nowoczesnego państwa? Programujemy młodzież na bycie ofiarami historii, a nie jej kreatorami.

Po trzecie, drenaż mózgów. Arctowski zmarł na emigracji, bo zawierucha wojenna i późniejszy komunizm odcięły go od kraju. Dziś, w warunkach otwartych granic, najzdolniejsi polscy naukowcy i inżynierowie AI wyjeżdżają do USA czy Wielkiej Brytanii, bo tam znajdują ekosystem, który ceni ich talent. Polska nie potrafi ich zatrzymać, bo wciąż mentalnie tkwi w XIX wieku.

Pobudka albo marginalizacja

Rankingi takie jak Global Innovation Index czy Stanford AI Index nie kłamią. Są one brutalnym „sprawdzą” dla naszych ambicji. Polska stoi na rozdrożu. Możemy dalej kroczyć ścieżką skansenizacji, budując kolejne pomniki i żyjąc przeszłością, w której czujemy się bezpieczni i moralnie wyżsi. Możemy dalej ignorować takich bohaterów jak Henryk Arctowski, uznając, że rzetelna praca i naukowa ekspertyza są zbyt nudne na narodowy mit.

Alternatywą jest radykalna zmiana paradygmatu. Musimy zrozumieć, że w XXI wieku niepodległości nie wywalcza się już na polu bitwy, ale w laboratoriach, serwerowniach i salach konferencyjnych. Jeśli nie zaczniemy zarządzać państwem na podstawie danych i kompetencji, tak, jak to robił Arctowski, a nie na bazie emocji i politycznych plemion, to za dekadę obudzimy się w rzeczywistości, w której świat nam odjechał. I nawet najpiękniejsza akademika ku czci ojców niepodległości nam tego dystansu nie osłodzi.

Z wielkim smutkiem i rozczarowaniem piszę te słowa z Waszyngtonu do Ojczyzny, widząc Polskę w lusterku wstecznym.

Między pasją a przeciążeniem

Pracownik badawczo-dydaktyczny funkcjonuje w wielu rolach jednocześnie, często rozpiętych między różnymi, niekiedy nawet sprzecznymi, oczekiwaniami. Jest badaczem, od którego społeczeństwo spodziewa się przede wszystkim publikowania, pracodawca liczy na jak największą liczbę artykułów. Powinien być skuteczny w pozyskiwaniu grantów i prowadzeniu projektów. To również ktoś, kto wprowadza młodszych stażem w świat nauki. Równocześnie pozostaje dydaktykiem. Prowadzi zajęcia, pożądanym jest, by prowadzić je w sposób nowoczesny i angażujący. Przygotowuje materiały, opracowuje egzaminy i zaliczenia. Jest promotorem prac dyplomowych, uczestniczy w ich obronach, bierze udział w pracach rad dydaktycznych, wydziałowych oraz zespołów zajmujących się jakością kształcenia.

Na tym nie koniec. W tej samej osobie mieści się także administrator zobowiązany do sprawnego raportowania swoich osiągnięć, uczestnictwa w procedurach akredytacyjnych, obecności na posiedzeniach komisji zajmujących się zarówno sprawami strategicznymi, jak i bieżącym funkcjonowaniem uczelni. To praca często niewidoczna, lecz czasochłonna i wymagająca. Nierzadko pracownik akademicki staje się również menedżerem: prowadzi zespoły badawcze i projektowe, koordynuje współpracę, opiekuje się kołami naukowymi, wspiera rozwój studentów i współpracowników. Bywa też popularyzatorem nauki i organizatorem wydarzeń, łącząc świat akademii z otoczeniem społecznym. W efekcie jedna rola rozszczepia się na wiele, a każda z nich domaga się pełnego zaangażowania.

Nakładanie się licznych, często sprzecznych zadań (badacza, dydaktyka, administratora i menedżera), przy ograniczonych zasobach, braku czasu i wsparcia systemowego, prowadzi do chronicznego konfliktu priorytetów. W konsekwencji spada jakość pracy naukowej i dydaktycznej, która wymaga przecież skupienia, czasu i intelektualnej przestrzeni. Równolegle erozji ulega dobrostan,

czyli coś, co przez długi czas traktowane jest jako kwestia prywatna, choć w istocie jest bezpośrednio kształtowane przez warunki pracy. Na ścieżce zawodowej pojawia się poczucie chaosu i przeciążenia. Następnie doświadczamy frustracji, by na koniec ulec wypaleniu i braku poczucia sensu.

Ale źródłem tego napięcia nie jest człowiek. To nie indywidualna słabość, brak kompetencji czy niewystarczająca „odporność” prowadzą do spadku efektywności i wyczerpania. Te zjawiska są raczej symptomem. Cichym, ale uporczywym symptomem głębiej zakorzenionego problemu. Tym problemem jest konstrukcja samego systemu, w którym pracujemy.

Funkcjonujemy w rzeczywistości, która stawia przed nami wysokie wymagania, czasem nawet wzajemnie się wykluczające, nie oferując jednocześnie adekwatnych narzędzi do ich realizacji ani należytego wsparcia. Oczekuje się od nas doskonałości w wielu rolach jednocześnie, jakby czas i uwaga nie miały swoich granic. W tej logice przeciążenie przestaje być wyjątkiem i staje się normą.

Uniwersytet opiera się na zaangażowaniu i wewnętrznej motywacji pracowników i właśnie ta pasja sprawia, że łatwiej akceptujemy

nadmiar obowiązków i brak równowagi. Praca akademicka przenika nasz czas prywatny. To nie człowiek zawodzi. To środowisko, w którym przyszło nam działać, staje się nie do wytrzymania.

Dlatego potrzebne są realne zmiany w organizacji pracy na uczelniach, by obowiązki były rozłożone racjonalnie. Trzeba dopuścić większą specjalizację ścieżek badawczej, dydaktycznej i organizacyjnej oraz oceniać jakość, nie tylko ilość pracy. Należy uwzględnić dobrostan pracowników jako istotny element funkcjonowania uczelni a w procesie oceny uczelni należy uwzględnić to, jaką kulturę pracy tworzy i promuje.



Prof. dr hab. Agnieszka Zimmermann

Przewrót kopernikański w „bezpośredniości”?

Dawniej „bepośredni” znaczący „bez pośrednictwa”. Czy zdaniem Prezydium PKA pośrednictwo narzędzi komunikacji elektronicznej nie znosi „bepośredniości”?

Zgodnie z art. 63 ustawy Prawo o Szkolnictwie Wyższym i Nauce „Studia są prowadzone w formie: 1) studiów stacjonarnych, w ramach których co najmniej połowa punktów ECTS objętych programem studiów jest uzyskiwana w ramach zajęć z **bepośrednim** udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących zajęcia i studentów; 2) studiów niestacjonarnych wskazanych w uchwale senatu, w ramach których mniej niż połowa punktów ECTS objętych programem studiów może być uzyskiwana z **bepośrednim** udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących zajęcia i studentów” (wytl. własne). Skoro mamy jako wymaganie „zajęcia z bepośrednim udziałem”, to znaczy że zdaniem racjonalnego ustawodawcy muszą istnieć także zajęcia bez bepośredniego udziału. Gdyby przyjąć inaczej, wystarczyłoby napisać w ustawie: „w ramach zajęć z udziałem nauczyciela akademickiego lub innej osoby”. Pamiętajmy, że nazywanie zajęć z bepośrednim udziałem „godzinami kontaktowymi” nie powinno rzutować na rozumienie „bepośredniego udziału” jako jedynie „kontaktu”, bo to pojęcie może być postrzegane inaczej i, logicznie rzecz biorąc, znaczy co innego niż ustawowy zwrot „bepośredni udział”. Także w ustawie z 2005 roku mieliśmy w słowniczku pkt. 12) „studia stacjonarne – forma studiów wyższych, w której co najmniej połowa programu kształcenia jest realizowana w postaci zajęć dydaktycznych wymagających bepośredniego udziału nauczycieli akademickich i studentów”.

Rozumienie tak zdefiniowanej „stacjonarności” może być istotne z punktu widzenia innej regulacji, tj. art. 79 ustawy PSWN, który pozwala uczelni pobierać opłaty np. za „usługi edukacyjne związane z: 1) kształceniem na studiach niestacjonarnych. Równolegle mamy świadomość że uczelnia otrzymuje subwencję, zależną m.in. od liczby studentów studiów stacjonarnych”. Na marginesie: być może używanie pojęć „stacjonarne” i „niestacjonarne” w poważnym oderwaniu od ich dawnego lub utartego znaczenia (tj. trybu prowadzenia zajęć postrzeganego z perspektywy studenta: stacjonarne jako wymagające obecności w dzień powszedni w uczelni, a niestacjonarne jako zajęcia na zjazdach w weekendy, kiedyś „dzienne” i „zaoczne”), a jednocześnie unikanie opisanego zjawiska wprost (studia „płatne” i „bepłatne”), to przykład swoistej patologii legislacyjno-językowej. Dla porównania w Prawie oświatowym pozostało klasyczne rozumienie takich pojęć, a w jego słowniczku mamy: „29a) kształceniu w formie dziennej – należy przez to rozumieć kształcenie, które odbywa się przez 5 dni w tygodniu albo przez 6 dni w tygodniu w przypadkach określonych w przepisach wydanych odpowiednio na podstawie art. 111 pkt 14 lub art. 113 pkt 9; 29b) kształceniu w formie stacjonarnej – należy przez to rozumieć kształcenie, które odbywa się przez 3 lub 4 dni w tygodniu, zgodnie z przepisami wydanymi na podstawie art. 111 pkt 14; 29c) kształceniu w formie zaocznej – należy przez to rozumieć kształcenie, które odbywa się co 2 tygodnie przez 2 dni, a w uzasadnionych przypadkach – co tydzień przez 2 dni, zgodnie z przepisami wydanymi na podstawie art. 111 pkt 14”. Tak czy owak, każda reinterpretacja pojęcia „stacjonarności” oznaczać może przesunięcia w zakresie uznawania danych studiów za stacjonarne lub nie, a w konsekwencji w zakresie źródeł finansowania w uczelniach publicznych.

Rewolucja COVID-owa

Innym pojęciem istotnym w sprawie jest prowadzenie zajęć „z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość”, jeżeli spełniono

wymagania z par. 12 rozporządzenia o studiach. Jednym z nich jest „dostęp do infrastruktury informatycznej i oprogramowania umożliwiają synchroniczną i asynchroniczną interakcję między studentami a nauczycielami akademickimi i innymi osobami prowadzącymi zajęcia”. Zakres ilościowy legalnego prowadzenia zajęć „z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość” określa par. 13 tego rozporządzenia poprzez „Liczbę punktów ECTS, jaka może być uzyskana w ramach kształcenia z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość”. W czasie COVID dopuszczono tu aż 100%, co widocznie jakości kształcenia nie zagrażało bardziej, niż chroniło zdrowie. Być może inspiracje z tego czasu wpłynęły na oswojenie i przyswojenie korzystania z narzędzi komunikacji elektronicznej. Pisałem o tym w artykule *Czy wirus pokonał blokadę-kształcenia?* („Forum Akademickie” 6/2020). Mec. Wojciech Kiełbasiński na łamach FA 4/2025 w publikacji *Studia online biznes czy prawdziwa edukacja?* twierdzi: „Wydaje się nieuniknione to, że w pewnym momencie staniami przed wyzwaniem związanym z dopuszczalnością prowadzenia niektórych kierunków studiów w całości z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. Już teraz powinno się podjąć działania ukierunkowane na przygotowanie się do tego”.

Drogi ku temu są co najmniej dwie. Pierwsza to ponowne zwiększenie limitu z rozporządzenia do 100% ECTS. Alternatywą może być także rozumienie bepośredniości, które mimo niezastosowania opcji „wykorzystania metod i technik kształcenia na odległość” de facto pozwoli na realizowanie zajęć bez fizycznie rozumianej bepośredniości kontaktu student – prowadzący zajęcia. Np. w pkt 15. załącznika do uchwały nr 6/465 z dnia 24 listopada 2021 r. senatu jednej z uczelni akademickich – Wytycznych do tworzenia studiów na tej uczelni znajdujemy: „Zajęcia prowadzone z wykorzystaniem technik kształcenia na odległość mogą być zaliczane do zajęć z bepośrednim udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących zajęcia i studentów, o których mowa w pkt. I.2.14 – jeśli realizowane są metodą synchronicznego udziału prowadzącego i studenta, tzn. prowadzone są w sposób zapewniający bepośrednią interakcję między studentem, a prowadzącym w czasie rzeczywistym, umożliwiając natychmiastowy przepływ informacji”.

Co to są „zajęcia”?

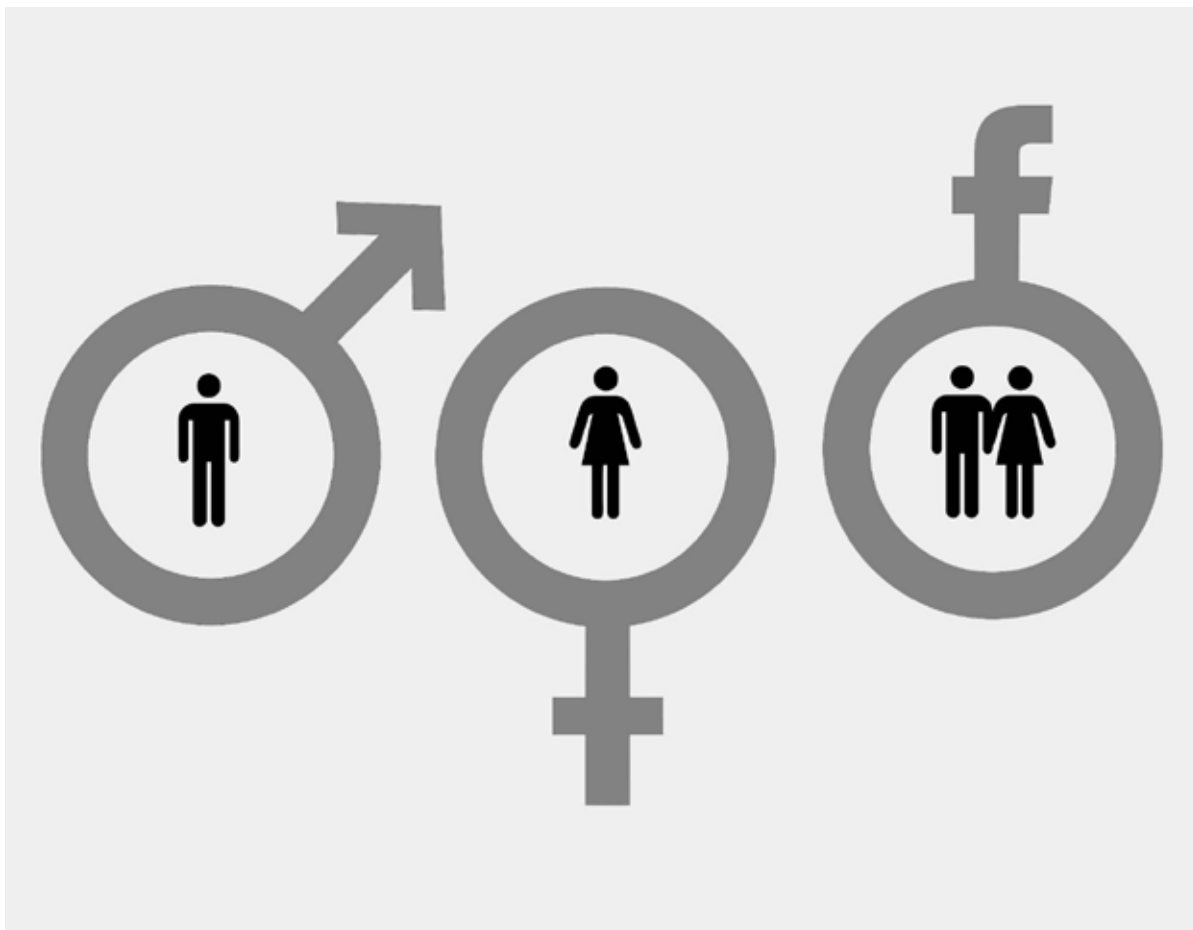
W ramach „Webinarium: Zajęcia z bepośrednim udziałem osoby prowadzącej i studentów. Dobre praktyki” prof. Paweł Chmielnicki na kanale YouTube „PKA 3” omawiał najnowszą rekomendację PKA zawartą w Uchwale nr 892/2025 Prezydium Polskiej Komisji Akredytacyjnej z dnia 30 października 2025 r. dotyczącą tzw. godzin kontaktowych. Przy okazji poruszono definicję „zajęć”. Na wstępie prelegent wskazał, że „takie stanowiska interpretacyjne, rekomendacje, to jest pewien pogląd i nie ma mocy wiążącej, co chciałbym powtórzyć i podkreślić (...) nie wiąże członków PKA, ani ekspertów”. Zachęcony tym stwierdzeniem postanowiłem rozważyć możliwości teoretyczne stanowiska odmiennego. W dalszej części prof. Chmielnicki wskazuje, że jeśli coś ma być zgłoszone jako „zajęcia” do programu, to musi mieć przypisane efekty, treści, sposoby weryfikacji. Oparciem ma być par. 3. ust. 1. pkt 3) rozporządzenia w sprawie studiów, gdzie wskazano: „zajęcia lub grupy zajęć, niezależnie od formy ich prowadzenia, wraz z przypisaniem do nich efektów uczenia się i treści programowych zapewniających uzyskanie tych efektów”. Dalej jednak prof. Chmielnicki wskazuje, że jeśli mamy w programie konsultacje bez takiego przypisania, to nie są to zajęcia, i że to wynika z jednoznacznej wykładni językowej.

Podobnie już w stanowisku interpretacyjnym nr 7/2020 Prezydium Polskiej Komisji Akredytacyjnej z 22 października 2020 r. czytamy: „Skoro uczelnia wyodrębnia konsultacje jako osobną formę zajęć, to dla tej wyodrębnionej formy zajęć należy wskazać nie tylko liczbę punktów ECTS, ale i wszelkie inne, prawnie wymagane elementy, tj. efekty uczenia się, treści programowe, sposoby weryfikacji i oceny efektów uczenia się. Prawodawca postanowił bowiem jednoznacznie, iż przypisanie efektów uczenia się i treści programowych do zajęć winno nastąpić niezależnie od formy ich prowadzenia. Dlatego, w ramach weryfikacji działań uczelni, nie można uznać za wystarczające ogólne wskazanie (ze strony uczelni), iż godziny konsultacji są wliczane do godzin zajęć z bezpośrednim udziałem nauczycieli akademickich, lub innych osób prowadzących zajęcia, i studentów (tzw. «godzin kontaktowych»). Aby wykazać prawidłowość swojego działania, uczelnia winna określić, jakie efekty uczenia się, jakie treści programowe, jakie sposoby weryfikacji i jakie sposoby oceny efektów uczenia się, zostały przypisane do konsultacji”. Tymczasem stawiam pytanie: dlaczego wykluczona jest interpretacja, iż z cytowanego par. 3 ust. 1 pkt 3) rozporządzenia o studiach wynika, że w programie przy zajęciach ujmuje się zawsze ich treści i efekty, o ile im je przypisano, jako nie gorsza niż interpretacja, że brak przypisania takowych uniemożliwia uznanie danych zajęć za „zajęcia”. Art. 67 ust. 1 ustawy PSWN stanowi, że program określa m.in. liczbę punktów ECTS przypisanych do zajęć. Ale wiemy że jest wyjątek i może istnieć np. wf bez ECTS. Dlaczego nie mogą istnieć konsultacje bez przypisanych efektów, a tym bardziej treści – wszak nie wiemy, z jakim problemem przyjdzie student, z jakiej grupy i przedmiotu ani jakiej treści przekaz otrzyma. Więc może konsultacjom należy przypisać wszystkie te same treści i efekty co wszystkim przedmiotom, jakie dany wykładowca konsultujący prowadzi w uczelni? Chyba że uznamy, iż dla zajęć wf istnieje *lex specialis*, a dla konsultacji takiego nie ma.

Bezpośrednio czyli jak?

W dalszej części wskazuje pan profesor, że kryterium, wyznacznikiem „bezpośredniości” jest wskazana także w treści rekomendacji „możliwość nawiązania interakcji w czasie rzeczywistym”. Jak więc mogłyby wyglądać zajęcia, które nie spełniają tak rozumianej „bezpośredniości udziału”, tj. nie umożliwiają synchronicznej interakcji? Może odsłuchanie nagranych wcześniej wykładów? Ale jeśli nauczyciel, na podstawie i w wykonaniu obowiązku z regulacji uczelnianej, udostępnił słuchającym swój numer telefonu służbowego, wskazując, że w każdej chwili słuchania jego nagrania mogą zadzwonić i o coś dopytać, to czy zapewnia wymaganą interakcję w czasie rzeczywistym? Bo jeśli nie uda nam się wymyślić zajęć nie spełniających wymogu tak rozumianej „bezpośredniości”, to może znaczyć, że przyjęte rozumienie znosi istotę pojęcia, jakie chcemy nim zdefiniować. Innymi słowy, po co definiować zajęcia specyfikowane „bezpośredniością udziału”, skoro – przy danym rozumieniu „bezpośredniości” – innych nie umiemy sobie nawet wyobrazić. Wszak praca własna to nie zajęcia. Art. 73 ust. 2 pkt 1 PSWN konstruuje wymóg: „50% godzin zajęć prowadzonych jest przez nauczycieli akademickich”, bez różnicowania na „z bezpośrednim udziałem” czy bez takiego. To oznacza, że ustawa potrafi posłużyć się pojęciem ogólniejszym i pojęcia zajęć „z bezpośrednim udziałem” nie należy utożsamiać z zajęciami jako takimi.

Słownikowo wg PWN na pierwszym miejscu pod terminem „bezpośrednio” postawiono określenie „bez pośrednictwa”. A pośrednictwo tworzą ściany, telefon czy medium elektroniczne. Prelegent sam przywołał zasadę, iż *clara non sunt interpretanda*. „Bezpośrednio” słownikowo nie znaczy więc „realnie w tym samym momencie”. Znaczenia kolejne wg słownika PWN to 2. „o stosunkach przestrzennych: bardzo blisko” i 3. „w chwili następującej po czymś lub poprzedzającej coś, krótko przed kimś lub po kimś”. Zapytajmy więc,



Rys. Sławomir Małaj

jakie będą kryteria „pośredniości” na gruncie zdefiniowanej w rekomendacji „bezpośredniości”. Czy „pośredniość” pojawia się, gdy nie ma możliwości interakcji „w czasie rzeczywistym”? Czy opóźnienie transmisji niszczy bezpośredniość? Bo przecież takowe zawsze występuje. Więc od ilu sekund opóźnienia upada „bezpośredniość”? Czy jeśli nauczyciel osobiście w sali prowadzi wykład, ale zabrania zadawania pytań, to jest możliwość interakcji, czy nie ma? Pkt. 8 rekomendacji („Ustalenie proporcji liczby godzin realizowanych z bezpośrednim udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących, do godzin pracy własnej studenta, w odniesieniu do każdego zajęcia ujętych w programie studiów z osobna, powinno być oparte o przyjęty na uczelni system i wolne od arbitralności”) może sugerować, że opozycją dla zajęć z „bezpośrednim udziałem” jest praca własna. Ale przy takiej interpretacji ustawowe brzmienie nie musiałoby, wręcz nie powinno, zawierać tych słów, wystarczyłoby przecież w ustawie powiedzieć o „zajęciach”, jako opozycji do „pracy własnej”. Więc choć momentami niniejsza analiza może przypominać tetraloktomiczne zmagania (za U. Eco: sztuka dzielenia włosa na czworo), to staram się przy okazji (za U. Eco: sztuką pilokatabazy) nie minąć sedna sprawy nawet o włos.

Co teraz?

Pojęcie „bezpośrednio” pojawia się w PSWN jeszcze w kilku miejscach. W art. 4 ust. 2 pkt 1 mamy „bezpośrednie zastosowanie komercyjne”, w art. 50 mowa jest o interwencji służb „bez wezwania rektora – w przypadku bezpośredniego zagrożenia życia lub zdrowia ludzkiego lub klęski żywiołowej”. W art. 118 mamy „stosunek bezpośredniej podległości służbowej”, w art. 148 i 149 jest mowa o „komercjalizacji bezpośredniej”, a w art. 155 dodatkowo o kosztach „bezpośrednio” związanych z komercjalizacją. Wszystkie te użycia odpowiadają rozumieniu wskazanemu w słowniku PWN, tj. bez pośrednictwa. Art. 67 ust. 4 ustawy stanowi: „Jeżeli pozwala na to specyfika kształcenia na studiach na określonym kierunku, część efektów uczenia się objętych programem studiów może być uzyskana w ramach zajęć prowadzonych z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość przy wykorzystaniu infrastruktury i oprogramowania zapewniających synchroniczną i asyncho-

niczną interakcję między studentami i osobami prowadzącymi zajęcia”. Czy zastosowanie takich metod jest możliwe, gdy „bezpośredniość” rozumiemy tak, jak opisano ją w rekomendacji PKA? Oczywiście tak, jeśli tylko będzie możliwość interakcji synchronicznej. A gdyby pozostać przy rozumieniu bezpośredniości jako fizycznej obecności bez pośrednictwa ścian czy łączny lub narzędzi komunikacji elektronicznej, tak jak w słowniku PWN? Wtedy na studiach stacjonarnych kształcenie „z wykorzystaniem metod i technik” być może nie mogłoby przekraczać 50% ECTS.

W rekomendacji Prezydium PKA wskazano: „6. Nie istnieją ani rodzaje (formy, kategorie) zajęć, które zawsze i bezwarunkowo podlegają kwalifikacji jako zajęcia prowadzone z bezpośrednim udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących zajęcia i studentów, ani nie istnieją rodzaje (formy, kategorie) zajęć, które takiej kwalifikacji nigdy i bezwarunkowo nie podlegają. Kwalifikacja danego rodzaju (form, kategorii) zajęć, jako zajęć prowadzonych z bezpośrednim udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących zajęcia i studentów zależy od specyfiki kierunku i dyscypliny, w których dane zajęcia są osadzone”. Czyli „możliwość interakcji” wskazana w pkt. 5. rekomendacji jako „konieczna” nie wystarczy. Jaką rolę odgrywają „specyfika” i „dyscyplina”? Kto będzie o tym rozstrzygał? Jakie znaczenie będzie to miało? W pkt. 7. rekomendacji czytamy: „Bez racjonalnego ustalenia liczby godzin realizowanych z bezpośrednim udziałem nauczycieli akademickich lub innych osób prowadzących w odniesieniu do każdego zajęcia z osobna, niemożliwe jest zachowanie profesjonalnej staranności ze strony uczelni, w określaniu poszczególnych elementów realizacji koncepcji kształcenia na kierunku”. Rekomendacja wydaje się więcej pytać implikować, niż zamykać jasnymi odpowiedziami.

*Marcin Chałupka, radca prawny
specjalizujący się w problematyce szkolnictwa wyższego*

W dn. 11 stycznia roboczą wersję niniejszej publikacji przelałem do Pana prof. Pawła Chmielnickiego „z prośbą o ewentualne odniesienie się w formie i czasie dla Pana Profesora dogodnym”. 24 marca br otrzymałem od Pana Profesora zapewnienie, że będę miał okazję, cyt.: „jeszcze w tym roku do zapoznania się ze stanowiskiem dotyczącym poruszonych kwestii, przygotowanym w formie pisemnej”.

Srebrny jubileusz podhalańskiej ANS

W Kokoszowie, dawnej wsi, leżącej przy szlaku turystycznym na Turbacz, obecnie stanowiącej peryferyjną dzielnicę Nowego Targu, funkcjonuje Akademia Nauk Stosowanych. Powstała w 2001 roku i do roku 2019 działała jako Podhalańska Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa, a następnie do 2023 r. jako Podhalańska Państwowa Uczelnia Zawodowa. Głównym inicjatorem jej powstania był samorząd województwa małopolskiego, proces ten wspierały także gminy, powiaty i miasta Podtatrza oraz Kościół katolicki.

Zrzuca zajęcia odbywały się w wynajmowanych lokalach, sukcesywnie jednak uczelnia poszerzała bazę lokalową, pozyskując i adaptując na swoje potrzeby, a także rozbudowując dawne obiekty Wyższej Szkoły Rolniczej w Kokoszowie. Powstał obszerny i nowoczesny kampus, na który składają się dwa budynki o nazwach „Gorce” i „Tatry”. Znajdują się w nich pomieszczenia biurowe i techniczne, sale wykładowe, pracownie i laboratoria, biblioteka i czytelnia, strefa studenta oraz dwie aule – na 220 i 600 osób; jest także parking podziemny.



Powierzchnia całkowita obiektów podhalańskiej ANS wynosi prawie 18,5 tys. m², a użytkowa 13,7 tys. m², z czego 8733,47 m² stanowi powierzchnia dydaktyczna. Teren kampusu to niemal 1,5 ha. W 2008 r. powiat nowotarski dodatkowo przekazał uczelni budynek dawnego szpitala wraz z działką o powierzchni 3,5 ha. Obiekt leży ok. 2 km od obecnego kampusu. Na jego rewitalizację, która ma kosztować 30 mln zł, uczelnia dostała 27 mln dofinansowania z programu

Fundusze Europejskie dla Małopolski 2021–2027. W drugim kampusie powstanie funkcjonalna, otwarta przestrzeń, służąca zarówno społeczności akademickiej (połączone funkcje administracyjne z dydaktycznymi), jak i mieszkańcom Nowego Targu. W budynku mieścić się będą m.in. pomieszczenia biurowe, społeczne, szkoleniowe/warsztatowe, techniczne. Wśród tworzonych pracowni będzie m.in.: pracownia diagnostyki skóry, pracownia dietetyczna, pracownia biokinetiki i diagnostyki postawy ciała, pracownia pierwszej pomocy, pracownia kosmetyczna, pracownia kosmetyczna.

Strukturę ANS tworzy 8 instytutów, odpowiadających profilom kształcenia: Nauk Technicznych, Nauk Humanistycznych i Turystyki, Zdrowia, Medycyny, Nauk Społecznych, Ekonomii, Zarządzania i Informatyki, Finansów i Lekarski oraz Podhalański Ośrodek Nauk Ekonomicznych.

Kadrę nauczycielską tworzyli i wciąż współtworzą naukowcy rekrutujący się głównie z uczelni krakowskich, aczkolwiek stale powiększa się grupa pracowników mieszkających w okolicy, dla których ANS jest podstawowym miejscem zatrudnienia. Szczególne znaczenie dla rozwoju uczelni miała i ma współpraca z Akademią Kultury Fizycznej im. Bronisława Czecha w Krakowie oraz Uniwersyteciem Ekonomicznym w Krakowie, z której wywodzi się wielu pracowników ANS. W przypadku AKF obejmuje ona także wspólne prowadzenie kierunku studiów. Aktualnie w podhalańskiej ANS pracuje 278 osób, w tym 198 nauczycieli akademickich i 80 pracowników administracji i obsługi. W gronie nauczycieli jest 14 profesorów, 18 doktorów habilitowanych, 88 doktorów i 78 magistrów.

Dwadzieścia pięć lat temu studia w Podhalańskiej Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Nowym Targu rozpoczęło 303 studentów, obecnie studiuje tam prawie 1600 osób. Zdecydowaną większość stanowią mieszkańcy Podhala, Spisza i Orawy, co pokazuje regionalne znaczenie uczelni. W ciągu 25 lat dyplom nowotarskiej publicznej uczelni zawodowej uzyskało 11 828 absolwentów. Dzięki utworzeniu uczelni w Nowym Targu przed młodzieżą z Podhala i okolic otworzyły się nowe możliwości. Nie wszystkim było wcześniej stać na podjęcie nauki poza miejscem zamieszkania. Teraz mogą uczyć się na miejscu. Jeśli wyjazd na studia do wielkiego miasta w większości przypadków oznaczał i wciąż oznacza porzucenie stron ojczystych, to absolwenci ANS z reguły tu pozostają. Wielu z nich pracuje w pobliskich firmach, instytucjach i urzędach, niektórzy znaleźli zatrudnienie w ANS.

Oferta edukacyjna podhalańskiej uczelni skierowana była od początku przede wszystkim do młodzieży najbliższych powiatów: nowotarskiego, tatrzańskiego, limanowskiego i suskiego. Jest ona dostosowywana do potrzeb regionalnego rynku pracy, ma charakter praktyczny, zawodowy i ostatnio rozwija się szczególnie w zakresie kierunków okołomedycznych i medycznych. Na początku kształcono na czterech kierunkach studiów: fizjoterapia, pielęgniarstwo, turystyka i rekreacja oraz filologia polska, obecnie jest ich piętnaście: psychologia (5-letnie jednolite studia magisterskie), fizjoterapia (5-letnie jednolite studia magisterskie), pielęgniarstwo (I i II stopnia), ratownictwo medyczne (I i II stopnia), kosmetologia (I i II stopnia), dietetyka (1 stopień) oraz architektura (I stopnia inżynierskie i II stopnia magisterskie), bezpieczeństwo narodowe (I stopnia), filologia angielska (I i II stopnia), finanse i rachunkowość (I stopnia), rachunkowość i analityka ekonomiczna (II stopnia), informatyka ekonomiczna (I stopnia – inżynierskie), sport i turystyka na terenach górskich (I stopnia), turystyka i rekreacja (II stopnia), a ostatnio uruchomiono kierunek lekarski (5-letnie jednolite studia magisterskie). Uruchomienie studiów lekarskich w 2023 roku było ambitnym przedsięwzięciem. Na pierwszy rok przyjęto 100 osób. Nabór odbył się, mimo że uczelnia nie otrzymała pozy-

tywnej opinii Polskiej Komisji Akredytacyjnej. W kolejnych dwóch latach nie uzyskała limitu przyjęć od ministra zdrowia, w związku z czym w latach 2024 i 2025 nie przeprowadzono naborów. Studenci z pierwszego naboru w sporej części przenieśli się na inne uczelnie. ANS stara się utrzymać ten kosztowny kierunek kształcenia.

Ostatnio uczelnia dostała z KPO 850 tys. zł. na inwestycje związane z modernizacją i doposażeniem obiektów dydaktycznych oraz zwiększeniem liczby osób podejmujących studia medyczne. Warto zwrócić uwagę na dofinansowanie przez Ministerstwo Nauki kwotą 4,8 mln zł przeciwdziałania dropoutom. Środki na swoje projekty pozyskują też studenckie koła naukowe, np. SKN Medicus zdobyło 56 tys. zł na realizację projektu „Zależność pomiędzy stężeniem asprozyny i ekspresją wybranych miRNA a czynnikami ryzyka i składowymi zespołu metabolicznego u młodych kobiet – perspektywy diagnostyczne”, który jest finansowany ze środków programu ministra nauki „Studenckie koła naukowe tworzą innowacje”. Na wzmocnienie potencjału administracyjnego ANS w Nowym Targu otrzymała niemal 1,7 mln zł z Funduszy Europejskich dla Rozwoju Społecznego 2021-2027.

Biblioteka ANS powstała w 2002 roku, tuż po uruchomieniu uczelni, a jej księgozbiór związany jest z profilem kształcenia. Tworzy go ponad 30 tys. woluminów, głównie podręczniki akademickie, książki naukowe, czasopisma specjalistyczne, publikacje regionalne, mapy, a nawet płyty CD.

W swojej historii uczelnia przeżyła dwa kryzysy władzy, związane z odwołaniem urzędujących rektorów. Jednemu zarzucono plagiat i z tego powodu odwołał go minister nauki, drugiego odwołało Kolegium Elektorów, a minister zaakceptował tę decyzję. Obie historie opisałyśmy w „Forum Akademickim”.

Od początku swojego istnienia nowotarska Akademia rozwija nie tylko działalność edukacyjną, ale także naukową, kulturalną, społeczną i sportową, która nie ogranicza się tylko do pracowników i studentów, ale adresowana jest również do lokalnej społeczności. W uczelni działają organizacje studencie i koła naukowe. Rozwijana jest współpraca z innymi uczelniami z kraju i zagranicą, a studenci i pracownicy uczestniczą w programach wymiany międzynarodowej. W życiu i działalności uczelni ważne miejsce zajmuje tradycja i dziedzictwo kulturowe regionu. Od piętnastu lat przy Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Targu istnieje zespół folklorystyczny „Młode Podhale”, który występuje w kraju i za granicą, odnosząc sukcesy w konkursach i festiwalach folklorystycznych.

(mat)



Nauka nie dzieje się w próżni. Autorzy prac naukowych odnoszą się w nich do tego, co wydarzyło się w ich dziedzinie do tej pory, cytując autorów publikacji o podobnej tematyce. Jeżeli jakiś artykuł jest często cytowany, może to znaczyć, że jest ważny. Dlatego w nauce, może z wyjątkiem nauk humanistycznych czy artystycznych, cytowania prac są dobrym wskaźnikiem jakości publikacji.

Popularny w naszym kraju ranking naukowców na podstawie analizy cytowań ich prac utworzony przez Johna Ioannidisa i współpracowników, badaczy z Uniwersytetu Stanforda, którego wynikami chwalą się polskie jednostki naukowe, ma jak się wydaje bardzo silną konkurencję w postaci ScholarGPS® (<https://scholargps.com>). Jest to platforma analityki naukowej, zapewne najbardziej kompleksowa na świecie, pokazująca jak za pomocą sztucznej inteligencji, uczenia maszynowego, analizy statystycznej pokazywać osiągnięcia badaczy i instytucji naukowych.

Platforma ukazuje profile naukowe ponad 30 mln badaczy na całym świecie i 55 tysięcy instytucji naukowych. Przedstawia wyniki 14 podstawowych dziedzin nauki podzielonych na 177 dyscyplin i – co najciekawsze – ponad 350 tys. specjalności. Każdy badacz jest oceniany globalnie, w swojej dziedzinie nauki, w swojej dyscyplinie i 15 wybranych specjalnościach. Brana jest pod uwagę produktywność (liczba prac), wpływ (liczba cytowań), jakość (współczynnik h) i średnia geometryczna tych wszystkich parametrów. Każda praca jest tak oceniana zarówno w zależności od liczby autorów, jak i bez takiej zależności. Podobnie jest z autocytowaniami.

Przedstawię tutaj dane dotyczące wszystkich polskich instytucji naukowych, które zaistniały na platformie. Jest ich 69, co stanowi 18,956% wszystkich, jako że w roku 2024 mieliśmy w kraju 364 instytucje naukowe. Były to 132 uczelnie akademickie, 69 instytucji badawczych, 77 instytutów PAN, 26 instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicz i 60 innych jednostek.

Na pierwszym miejscu na świecie, kiedy analizowane są wszystkie dziedziny i dyscypliny, znajduje się Harvard University. Z krajowych jednostek przoduje Uniwersytet Warszawski, który jest na 853 pozycji w rankingu światowym. Drugie miejsce w rankingu krajowym zajmuje Uniwersytet Jagielloński (bez Collegium Medicum), który w zestawieniu globalnym ma 1047 miejsce. Na trzecim jest Polska Akademia Nauk jako całość, czyli placówki naukowe PAN – 1053 miejsce na świecie. Tu jednak trzeba wziąć pod uwagę, że wiele instytutów PAN analizowanych jest osobno i nie wchodzi w pulę całej PAN. Jeżeli analizowane są jednostki nieuniwersyteckie, to na pierwszym miejscu jest PAN jako całość (192 pozycja w skali globalnej), na drugim Instytut Fizyki PAN (532 miejsce), a na trzecim Instytut Farmakologii PAN (646 miejsce).

Najwięcej polskich jednostek naukowych – 18 – reprezentuje dziedzinę nauk fizycznych (patrz Tabela 1). Nasze jednostki są reprezentowane w 3 dyscyplinach z 8 przypisanych do tej dziedziny. Chemię reprezentuje 11 instytucji, fizykę 8, a matematykę 2. Tabela 1 pokazuje ich miejsca wśród wszystkich instytucji oraz tych, które nie są uniwersytetami. Przykładowo PAN w tej dziedzinie jest na 660 miejscu wśród wszystkich, a na 104 miejscu wśród nieakademickich jednostek naukowych świata. Zwróćmy uwagę, że miejsce zależy od dziedziny czy dyscypliny, np. Uniwersytet Warszawski jest na 853 miejscu wśród wszystkich dziedzin nauki, ale na 254 miejscu w dziedzinie nauk fizycznych, na 179 w dyscyplinie chemii, na 361 w dyscyplinie fizyki, a w dyscyplinie matematyki na 224 pozycji.

Inżynieria to druga dziedzina po względem liczby polskich jednostek naukowych w zestawieniu – jest ich 12 (patrz Tabela 2). Na pierwszym miejscu znalazła się w rankingu krajowym Politechnika Warszawska (536 pozycja w skali światowej), drugie zajęła Politech-

Bardzo wysoki próg

nika Poznańska (562), a trzecie Akademia Górniczo Hutnicza (588). Warto zauważyć, że w zestawieniu światowym te trzy polskie uczelnie techniczne znajdują się dość blisko siebie.

Następną dziedziną pod względem liczebności polskich instytucji naukowych jest medycyna i nauki medyczne, którą reprezentuje na liście 8 krajowych placówek (Tabela 3). Pierwszy jest Uniwersytet Medyczny w Warszawie (530 miejsce na świecie), drugie miejsce

Tabela 1. Polskie instytucje z dziedziny nauk fizycznych znajdujące się na platformie ScholarGPS®

Dyscyplina nauki fizyczne		Wszystkie	Nie-ucz.
1	Uniwersytet Warszawski	254	
2	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza W Poznaniu	537	
3	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	568	
4	Uniwersytet Jagielloński	617	
5	Polska Akademia Nauk	660	104
6	Uniwersytet Gdański	744	
7	Instytut Fizyki PAN	782	136
8	Politechnika Poznańska	799	
9	Uniwersytet Wrocławski	834	
10	Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie	886	
11	Politechnika Warszawska	911	
12	Instytut Chemii Organicznej PAN	992	203
13	Politechnika Gdańska	1042	
14	Wojskowa Akademia Techniczna (WAT)	1075	
15	Uniwersytet Śląski	1138	
16	Politechnika Wrocławska	1140	
17	Instytut Chemii Fizycznej PAN	1172	261
18	Centrum Fizyki Teoretycznej PAN	1177	263
Dyscyplina chemia			
1	Uniwersytet Warszawski	179	
2	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza W Poznaniu	419	
3	Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie	541	
4	Politechnika Poznańska	574	
5	Instytut Chemii Organicznej PAN	611	72
6	Politechnika Gdańska	648	
7	Politechnika Warszawska	686	
8	Politechnika Wrocławska	701	
9	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	712	
10	Instytut Chemii Fizycznej PAN	722	102
11	Polska Akademia Nauk	723	103
Dyscyplina fizyka			
1	Instytut Fizyki PAN	314	47
2	Uniwersytet Jagielloński	356	
3	Uniwersytet Warszawski	361	
4	Uniwersytet Gdański	398	
5	Polska Akademia Nauk	404	72
6	Uniwersytet Wrocławski	492	
7	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	518	
8	Centrum Fizyki Teoretycznej PAN	533	103
Dyscyplina matematyka			
1	Uniwersytet Warszawski	224	
2	Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	312	

zajmuje Gdański Uniwersytet Medyczny (655), a trzeci jest Uniwersytet Medyczny w Łodzi (684).

Dziedzina nauki o życiu ma 5 polskich przedstawicieli (Tabela 3). Pierwsze miejsce w kraju zajmuje Uniwersytet Jagielloński (525 pozycja globalna), drugie Uniwersytet Łódzki (716), a kolejne Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu (942). Farmację, opisaną osobno w „Forum Akademickim” nr 3/2026, reprezentują w zestawieniu światowym 4 polskie instytucje. Po jednym przedstawicielu mają trzy dziedziny nauki (Tabela 3). Biznes i zarządzanie reprezentowane są przez Akademię Leona Koźmińskiego (281 miejsce na świecie). Dziedzinę nauk społecznych reprezentuje SWPS Uniwersytet Humanistyczno-społeczny (672 miejsce w zestawieniu globalnym), który w dyscyplinie psychologia zajmuje 277 miejsce na świecie. Rolnictwo, reprezentowane przez PAN, zajmuje 331 lub 75 miejsce na liście.

Z 14 dziedzin nauki opisanych w zestawieniu nasz kraj jest reprezentowany w 8, nie mając swoich instytucjonalnych przedstawicieli w 6 dziedzinach: służbie zdrowia, sztuce i naukach humanistycznych, stomatologii, edukacji, prawie oraz zdrowiu publicznym.

To, co zapewne najciekawsze na platformie ScholarGPS®, to analiza specjalności, która obejmuje zarówno instytucje, jak i poszczególnych naukowców. Podam kilka przykładów. Uniwersytet Warszawski jest na 1 miejscu na świecie w zagadnieniu metody elektroanalizy. Zawdzięcza to pięciu zatrudnionym u siebie badaczom, którzy znajdują się w tej specjalności na wysokich pozycjach na liście globalnej. Są to chemicy Zbigniew Galus (pozycja 62 na świecie), Paweł J. Kulesza (97), Zbigniew Stojek (101), Andrzej Czerwiński (120) i Jerzy Sobkowski (121). Collegium Medicum UJ jest nr 1 w specjalności fitochemia, a Uniwersytet Medyczny w Lublinie stoi na szczycie światowego rankingu w dwóch specjalnościach: chromatografii cienkowarstwowej i kwasie fenolowym. Uniwersytet Łódzki produkuje w specjalnościach komórki jednójadźrzaste krwi obwodowej oraz falowanie kwadratowe. Politechnika Wrocławska to numer 1 w zagadnieniach widmo emisyjne i analiza pierwiastkowa.

Pierwsze miejsca na świecie w swoich specjalnościach zajmują aż 78 polskich badaczy. Znowu kilka przykładów. Prof. Karol Życzkowski, fizyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest na 1 miejscu w rankingu światowym wśród badaczy zajmujących się stanem kwantowo-

wym. Pierwsze miejsca w skali światowej w zagadnieniach rozkład macierzy oraz macierz nieujemna zajmuje prof. Andrzej Cichocki z Instytutu Badań Systemowych PAN, a prof. Jan Potempa z UJ jest numerem jeden w specjalności *Porphyromonas gingivalis*.

I na koniec ciekawostka. W gronie 78 badaczy przypisanych Polsce jest prof. Richard W. Schayer z Rockland Research Institute, Orangeburg, USA, globalnie nr 1 w specjalności dekarboksylaza histydynowa (enzym syntetyzujący histaminę) wśród 1780 badaczy w niej klasyfikowanych. Prof. Schayer jest związany z naszym krajem, bowiem kilkakrotnie przebywał w Łodzi, współpracując naukowo z badaczami z Zakładu Amin Biogennych PAN, kierowanego przez prof. Czesława Maślińskiego.

W czasie wizyt w naszym kraju prof. Schayer wynajmował pokój w domu mojej mamy. Wtedy również ja pracowałem w Zakładzie Amin, a że mieszkaliśmy blisko, prof. Schayer w 10 minut dochodził piechotą do zakładu. Na tym przykładzie wyraźnie widać, że logika AI może czasami prowadzić na manowce.

W niedawnym liście od japońskiego badacza, podawał on w swoim życiorysie odnośnik do wzmianki o sobie na platformie ScholarGPS®. Wydaje się, że na dobre zagości ona nie tylko w systemie ocen badaczy i instytucji naukowych, ale i w naukowych życiorysach badaczy. Platforma ScholarGPS® bardzo dobrze nadaje się do oceny indywidualnych badaczy, świetnie identyfikując naukowców najlepszych w swoich specjalnościach. Nadaje się też do wyławiania najsilniejszych naukowo instytucji badawczych, ale aby jednostka na niej zaistniała, próg jest bardzo wysoki.

Andrzej Piłc, Instytut Farmakologii PAN im. Jerzego Maja

Tabela 3. Polskie instytucje z dziedzin: medycyna, nauki o życiu, biznes i zarządzanie, nauki społeczne oraz rolnictwo znajdujące się na platformie ScholarGPS®

Dziedzina medycyna i nauki medyczna		Wszystkie	Nie-ucz.
1	Uniwersytet Medyczny w Warszawie	530	
2	Uniwersytet Medyczny w Gdańsku	655	
3	Uniwersytet Medyczny w Łodzi	665	
4	Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu	684	
5	Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Collegium Med.	690	
6	Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum	762	
7	Uniwersytet Medyczny w Poznaniu	955	
8	Polska Akademia Nauk	1083	470
9	Uniwersytet Medyczny w Lublinie	1093	
Dyscyplina kardiologia			
1	Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu	209	
2	Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum	220	
Dyscyplina onkologia			
1	Uniwersytet Medyczny w Gdańsku	125	
Dziedzina nauki o życiu			
1	Uniwersytet Jagielloński	525	
2	Uniwersytet Łódzki	716	
3	Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	942	
4	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	1019	
5	Uniwersytet Medyczny w Łodzi	1072	
Dyscyplina biochemia			
1	Uniwersytet Jagielloński	54	
Dyscyplina environmental sciences			
1	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	146	
Dyscyplina zoologia			
1	Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	21	
Dziedzina biznes i zarządzanie			
1	Akademia Leona Koźmińskiego	281	
Dziedzina nauki społeczne			
1	SWPS Uniwersytet Humanistycznospoł.	672	
Dyscyplina psychologia			
1	SWPS Uniwersytet Humanistycznospoł.	277	
Dziedzina rolnictwo			
1	Polska Akademia Nauk	331	75

Tabela 2. Polskie instytucje z dziedziny inżynierii znajdujące się na platformie ScholarGPS®

Dziedzina inżynieria i nauki inżyneryjne		Wszystkie	Nie-ucz.
1	Politechnika Warszawska	536	
2	Politechnika Poznańska	562	
3	AGH	588	
4	Politechnika Wrocławska	662	
5	Politechnika Gdańska	666	
6	Politechnika Lubelska	708	
7	Zachodniopomorski Uniwersytet Technol.	816	
8	Politechnika Łódzka	819	
9	Politechnika Białostocka	880	
10	Politechnika Opolska	886	
11	Instytut Informatyki Teoretycznej i Stosow. PAN	1027	151
12	Polska Akademia Nauk	1105	167
Dyscyplina inżynieria lądowa i środowiskowa			
1	Politechnika Poznańska	181	
2	AGH	463	
3	Politechnika Warszawska	502	
Dyscyplina inżynieria elektryczna i komputerowa			
1	Politechnika Warszawska	320	
2	Politechnika Wrocławska	407	
3	AGH	420	
Dyscyplina inżynieria mechaniczna			
1	Politechnika Opolska	236	
2	Politechnika Białostocka	366	

Piękno bestii

Dlaczego warto polubić brzydkie zwierzaki

W naszych umysłach mamy miejsce na całkiem sporo błędów poznawczych. Także w podejmowaniu decyzji o tym, które gatunki zwierząt uznajemy za warte badań i ochrony. I dobrze wiemy, iż to najprawdopodobniej konsekwencja naszej ludzkiej drogi, od sawanny, przez lasy, aż po współczesne megapolie. Nauczyliśmy się żyć, przynajmniej teoretycznie, w uroku klasycznej triady: Prawda, Dobro i Piękno. Tylko czy czasem w ten sposób nie nakładamy na przyrodę zbyt wiele czysto ludzkiego spojrzenia? A przecież te wszystkie stworzenia nie powstały dla nas. Wreszcie powinno do nas dotrzeć, że choć *Homo sapiens* bywa wyjątkowy, to na tle innych organizmów nie jest czymś aż tak wybitnym. Przynajmniej nie zawsze i nie wszędzie.

Problemy zwykle zaczynają się na poziomie estetycznym. Mamy kłopot z pięknem. W odróżnieniu od ludzkich „dzieł sztuki” brzydota zwierząt nie jest intencjonalna, to my, w naszych mózgach, nadajemy określonemu wyglądowi etykietkę „brzydactwo”. Współczesne życie dla wielu z nas to prawie zerowy kontakt z dziką przyrodą, a stare lęki nadal działają pełną parą. Nagłówki, szczególnie te internetowe, lubią podkreślać sytuację: mają być krew, pazury, sensacja. To się klika. Fascynujemy się wielkimi drapieżnikami, a jednocześnie się ich boimy, choć roczne ataki tych zwierząt na ludzi w skali globalnej można policzyć na palcach czterech kończyn jednego człowieka. Węże? Boimy się ich nawet w środkowej i północnej Europie, gdzie szansa na spotkanie jednego jadowitego gatunku graniczy z cudem. A te „brzydsze” gatunki mogą mieć jeszcze toksyny. Nawet gdy dzieje się źle, gdy popatrzymy na przypadek zaniku owadów, nasze myśli od razu biegną do pszczoły miodnej, tej dobrej, znanej, pożytecznej. A gdzie cała reszta? Brzydsza, dziwna, a czasem jeszcze nieznana nauce? Nawet zasępione sępy nie mają renomy, giną w zastraszającym tempie, co może wywołać wielki problem epidemiologiczny, ale się tym nie przejmujemy, nadal korzystając z lekarstw na poprawę nastroju opartych na zabójczym dla ptaków diklofenaku. YouTube i media społecznościowe tylko nakręcają spiralę: jeszcze więcej tego, co znane i lubiane. I koło się kręci.

Gwoli marnego pocieszenia, to nie wina wyłącznie współczesnych, już w XIX wieku ciężko znaleźć wiersze o płazach, gadach czy rybach. Natomiast tych o pięknych ptakach powstało owszem sporo. Z perspektywy ornitologa dodam, że na szczęście. Natomiast naprawdę zauważam te wszelkie ograniczenia w naszej percepcji fauny. Co więcej, nie jestem w tym osamotniony, o czym świadczy bardzo interesująca książka Jo Wimpenny *Beauty of the Beasts*, wydana właśnie przez wydawnictwo Bloomsbury.

Nawet szacowne „Science” kiedyś zauważyło, że nasze myśli krążą głównie wokół megafauny, kompletnie zaniedbując inne zwierzęta. W ogrodach zoologicznych też muszą być gatunki z grupy „must have”,

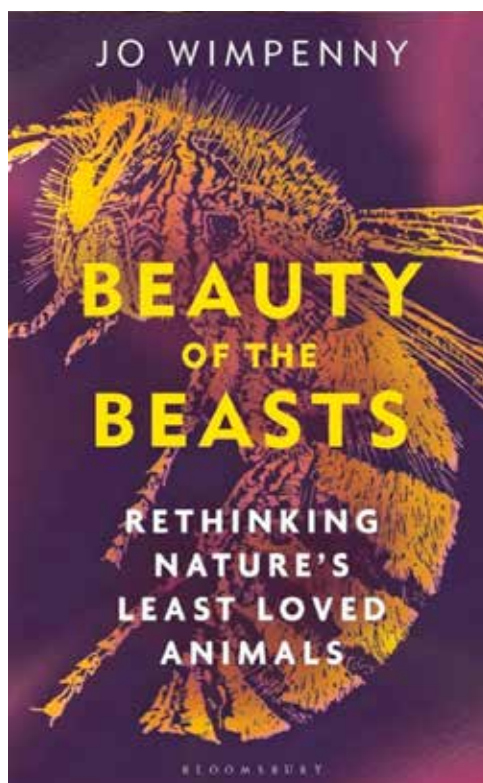
coś co przyciągnie masowego klienta. Tylko koneser będzie szukał czegoś subtelniejszego. Podobnie działa masowa turystyka. Do Afryki wielu turystów jedzie jedynie po to, by zobaczyć Wielką Piątkę: lwa, lamparta, słonia, bawoła i nosorożca, a następnie pochwalić się zdjęciami w mediach społecznościowych. Na szczęście powstała nawet alternatywna, całkiem zabawna lista Ugly Five, na której znajdują się ciekawe „brzydactwa”: hiena cętkowana (teraz często pod nazwą krokuta), gnu, guziec, marabut afrykański i sęp uszaty. Choć tu dominacja taksonomiczna się ujawnia – ssaki i ptaki górą.

Jak zatem dotrzeć do społeczeństwa z przekazem, że i inne zwierzęta bywają fajne (celowo używam tego właśnie słowa)? Humorem. I to się może udać, o czym przekonują badania z nosaczem. Brzydactwo potrafi zadziałać na emocje. Prawdziwy Janusz internetów, co pokazaliśmy w naszych badaniach, a co podchwyciła w swojej książce Wimpenny i za co wypada jej podziękować, zarówno w imieniu własnym, jak i zastępów brzydactw.

Ewidentnie widać jednak pewną refleksję nad tym, jakie zwierzęta lubimy, badamy i chronimy. Na razie rzadką, dla wielu stanowczo zbyt rzadką, ale z jasnym przesłaniem, by po prostu przestać tępić to, co brzydsze. Tyle na początek. Ale co robić, gdy te brzydactwa lądują na polach uprawnych, w winnicach czy w miastach? Prostej odpowiedzi nie ma, bo narażamy się na masę konfliktów społecznych i to niezależnie od wybranej opcji. Może rozwiązaniem jest zwierzęcy kompromis i sięgnięcie po naturalne rozwiązania? W pozbyciu się tych niedobrych, np. myszy i szczurów, mogą pomóc szpony i pazury ptaków drapieżnych. Niech akcja trwa. W sumie lubimy to.

I wreszcie najbrutalniejsza prawda: nawet najładniejsze, niby najlepsze gatunki, też robią złe rzeczy. Od razu podkreśliły: moralność to domena *Homo sapiens*, a cała reszta robi, co może, by przeżyć i przekazać dalej swój materiał genetyczny. Orki i delfiny topią ludzi i siebie nawzajem, pingwiny uprawiają prostytucję, bociany dzieciobójstwo. Oczywiście naukowcy potrafią to nazwać „silnie adaptacyjnym podejściem”. Na to wszystko nakłada się jeszcze ekonomia, gdy trzeba szybkich decyzji w warunkach niedoboru środków, wszak na ochronę i badania wszystkiego nie ma szans. Trzeba wybierać. I wybiera się tak, by później badania były znane, lubiane, szeroko omawiane i komentowane, a w konsekwencji finansowane. By owo podejście zmienić, potrzeba tego co zwykle: solidnej edukacji, czyli opartej na prawdzie, na pokazaniu rzeczywistości, a nie na bambi-efekcie. Świat jest pełen pięknych i bestii, i dla wszystkich jest miejsce pod gwiazdami. Albo, jak śpiewał czeski bard Jaroslav Nováček: „w morzu jest miejsca dość”. Na lądzie też powinno wystarczyć.

Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu



Majowa kumulacja

Maj upływa pod znakiem kulminacji studenckiej rywalizacji podczas Akademickich Mistrzostw Polski. Tylko w tym jednym miesiącu odbędzie się aż 15 imprez finałowych, a do tego doliczyć trzeba jeszcze eliminacje strefowe. Całą serię zmagani rozpoczął decydujący turniej w piłce siatkowej kobiet i mężczyzn.

Po 16 najlepszych drużyn męskich i żeńskich wyłonionych z półfinałów przyjechało do Warszawy, żeby zagrać o medale w jednej z popularniejszych konkurencji w Polsce – piłce siatkowej. Organizatorami turnieju mężczyzn był AZS AWF Warszawa, a turnieju pań AZS Uniwersytetu Warszawskiego. Wszystko to miało gwarantować dwa razy lepsze przygotowanie zawodów. Zmagania odbywały się w dniach od 1 do 3 maja w trzech stołecznych halach sportowych.

Siatkarskie AMP-y należą do jednych z najlepiej obsadzonych pod względem poziomu sportowego. Wystarczy wspomnieć, że zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn nie brakuje zawodniczek i zawodników na co dzień grających w PlusLidze, Tauron Lidze czy na ich zapleczech. To potwierdza, że wyczynowi sportowcy nie tylko skupiają się na siatkarskich karierach, ale również na edukacji oraz godnym reprezentowaniu swoich uczelni w sporcie.

Najlepsze akademickie zespoły w Polsce rywalizowały od piątku, kiedy to rozpoczęła się faza grupowa. Od początku nie brakowało emocji, bo każdy chciał wyjść z grupy i trafić do fazy pucharowej. W sobotę wyłoniono półfinalistów oraz zespoły grające o poszczególne miejsca. W pierwszym, niedzielnych półfinale kobiet doszło do derbów Państwowych Akademii Nauk Stosowanych z Nysy i Krośna. Ostatecznie lepsze okazały się studentki z Krosna, wygrywając po tie-breaku. Drugimi finalistkami zostały przedstawicielki Akademii Humanitas w Sosnowcu, które pokonały 2:0 Akademię Nauk Stosowanych im. Józefa Gołuchowskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim.

W finale tegorocznych AMP zwyciężyła Akademia Humanitas w Sosnowcu, którą pokonał w PANS Krosno 3:1. Brązowe medale trafiły do zawodniczek z Nysy, które wygrały z Ostrowczankami 3:0. – Akademickie Mistrzostwa Polski to świetny turniej, nie tylko pod względem sportowym, ale też jako okazja do spotkania się z ludźmi, spędzenia czasu w dobrej atmosferze i czerpania radości z gry w siatkówkę. To wydarzenie, które łączy rywalizację na wysokim poziomie z dobrą zabawą i integracją środowiska akademickiego. Chciałabym pogratulować wszystkim drużynom, które wzięły udział w turnieju i walczyły do końca. Szczególne gratulacje należą się zespołowi z Kro-

sna za świetną postawę w finale. My natomiast bardzo cieszymy się z wywalzonego mistrzostwa, bo nie było łatwo, miałyśmy trudne momenty, ale zostawiłyśmy na boisku całe serce i to ostatecznie przelożyło się na zwycięstwo – podsumowała Amelia Bogdanowicz z Akademii Humanitas w Sosnowcu, która została MVP (najbardziej wartościowym graczem – red.) finałowego meczu.

Wśród panów finalistami zostali zawodnicy Akademii Nauk Stosowanych Wyższej Szkoły Zarządzania i Administracji w Opolu i Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Krośnie. Pierwszy z tych zespołów pokonał Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu, a drugi Politechnikę Rzeszowską. W wielkim finale po raz trzeci z rzędu zwyciężyli gracze z Opola, którzy nie bez problemów pokonali Krośnian w trzech setach. Podium uzupełnili gracze z Rzeszowa. Oni z kolei pokonali Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu również 3:0. – To był dla mnie naprawdę wyjątkowy czas, bo świetnie się bawiłem, ale przede wszystkim to ogromne osiągnięcie sportowe. Zdobyliśmy tytuł akademickich mistrzów Polski, mamy złote medale, a do tego dochodzi sukces z poprzedniego roku. Trudno wyobrazić sobie lepsze zakończenie mojej przygody z akademicką siatkówką. Chciałbym też bardzo podziękować władzom uczelni za możliwość bycia częścią tej drużyny i wspólnej walki o najwyższe cele. To dla mnie wiele znaczy. Cieszę się, że udało się wygrać i że właśnie w taki sposób mogłem zamknąć ten etap, bo przez te wszystkie lata zostawiałem na boisku serce w każdym meczu. Tworzyliśmy naprawdę świetną ekipę, dlatego ten czas minął bardzo szybko – mówił Daniel Popiela z Opolskiego zespołu, który w ostatnim sezonie grał też w PlusLidze.

Organizatorzy przygotowali memoriałowe nagrody. Wyróżnienie im. Haliny Lenkiewicz (patronka wyróżnienia była utytułowaną zawodniczką AZS AWF Warszawa) otrzymała Klaudia Gajewska z Akademii Humanitas w Sosnowcu, a nagrodę im. Artura Wójcika, jednego z najwybitniejszych trenerów w polskiej siatkówce młodzieżowej, odebrał Popiela.

W maju uczestników czekają jeszcze Akademickie Mistrzostwa Polski w aerobiku sportowym, trójbój siłowym, wioślarstwie, kolarstwie górskim, jeździectwie, piłce ręcznej kobiet i mężczyzn, koszykówce kobiet i mężczyzn, strzelectwie sportowym, piłce nożnej kobiet, unihokeyu, żeglarskim i lekkiej atletyce.

(BP AZS)



Fot. Grzegorz Michalowski

KUKDM 2026: tam, gdzie nauka naprawdę się liczy

Rekordowa frekwencja, interdyscyplinarność i bardzo wyraźne otwarcie na ekosystem HPC i AI w Polsce, tak w skrócie można podsumować 18. edycję Konferencji Użytkowników Komputerów Dużej Mocy KUKDM 2026. Wydarzenie, organizowane przez ACK Cyfronet AGH w Zakopanem, po raz kolejny potwierdziło, że jest jednym z najważniejszych punktów na mapie polskiej infrastruktury badawczej.

Więcej ludzi, więcej perspektyw

Tegoroczna edycja KUKDM zgromadziła rekordową liczbę uczestników reprezentujących łącznie 74 podmioty, w tym 41 uczelni, instytutów naukowych i jednostek badawczych, ale także biznes oraz administrację publiczną. To właśnie ta różnorodność środowisk była jedną z najbardziej widocznych zmian w porównaniu z poprzednimi edycjami. KUKDM coraz wyraźniej staje się miejscem spotkania całego ekosystemu obliczeń wielkoskalowych i sztucznej inteligencji w Polsce: od naukowców, przez inżynierów, po instytucje odpowiedzialne za kształtowanie polityk technologicznych.

Rozmowa ponad podziałami dyscyplin

Silnym fundamentem konferencji był program naukowy: 31 prezentacji ustnych oraz 12 prezentacji plakatowych, wyłonionych w drodze recenzji naukowej. Prezentowane badania obejmowały zróżnicowane dziedziny; od nauk ścisłych i technicznych, przez nauki o życiu, po zagadnienia związane z nowoczesnym modelowaniem i analizą danych. Tym, co je łączyło, było wykorzystanie infrastruktury PLGrid, koordynowanej przez ACK Cyfronet AGH. W praktyce oznaczało to stworzenie autentycznego oraz interdyscyplinarnego forum, w którym doświadczenia i metody z jednej dziedziny mogą inspirować zupełnie inne obszary badań.

Od wirtualnego bliźniaka do fałdowania białek

Program wzbogaciły wykłady gościnne, przyciągające licznych uczestników. Poruszano w nich m.in. zagadnienia tworzenia wirtualnego bliźniaka organizmu człowieka czy obliczeniowych metod fałdowania białek. Obok tematów stricte naukowych pojawiły się także prezentacje poświęcone nowoczesnym środowiskom pracy badawczej oraz narzędziom wspierającym

codzienną pracę naukowców, w tym rozwiązaniom opartym na generatywnej sztucznej inteligencji.

Szkolenia i praktyka

KUKDM 2026 to nie tylko konferencja „do słuchania”. Ważnym filarem programu były intensywne szkolenia skierowane do badaczy chcących rozwijać kompetencje w zakresie efektywnych obliczeń na superkomputerach oraz wykorzystania narzędzi AI. Dużym atutem była obecność specjalistów zespołu wsparcia PLGrid, którzy na miejscu prowadzili liczne konsultacje, pomagając uczestnikom lepiej wykorzystywać przyznane zasoby obliczeniowe. Dla wielu użytkowników była to okazja do bezpośrednich rozmów, które trudno zastąpić przeglądem dokumentacji lub korespondencją online.

Polska i Europa w jednej przestrzeni obliczeniowej

Wyraźnie europejski wymiar konferencji podkreślały sesje poświęcone infrastrukturze EuroHPC JU. Uczestnicy mogli zapoznać się z możliwościami korzystania z systemów LUMI, LUMI AIF, LUMI-Q, a także z budowanymi w Polsce zasobami PIAST AIF i Gaia AIF. Dzięki temu KUKDM pełnił także rolę praktycznego przewodnika po europejskim krajobrazie HPC i AI, pokazując, jak lokalne projekty wpisują się w szerszy kontekst międzynarodowy. Co ważne, zarówno polskie, jak i europejskie możliwości dla naukowców są konsolidowane i udostępniane w ramach infrastruktury PLGrid (plgrid.pl).

Dyskusje, które wychodzą poza slajdy

Jednym z wyróżników tegorocznej edycji były panele dyskusyjne, w których udział wzięli przedstawiciele innych centrów komputerów dużej mocy, partnerzy Cyfronetu w konsorcjum Gaia AI Factory, a także reprezentanci inicjatywy Bielek.AI. To właśnie w tych rozmowach najdobitniej wybrzmiała zmieniająca się rola HPC i AI jako elementu nie tylko infrastrukturalnego, lecz także strategicznego dla rozwoju nauki, gospodarki i państwa.

Na finał: polska premiera w świecie AI

Na zakończenie KUKDM 2026 nie zabrakło akcentu, który idealnie wpisał się w dyskusje o przyszłości HPC i sztucznej inteligencji. Podczas konferencji swoją premierę miały dwa

nowe modele Bielik AI (Bielik-PL-11B-v3.0-Instruct oraz Bielik-PL-Minitron-7B-v3.0-Instruct), wyposażone w nowy tokenizer zoptymalizowany pod język polski. Rozwiązania zaprezentowali Krzysztof Ociepa oraz Krzysztof Wróbel, podkreślając znaczenie dostosowania dużych modeli językowych do specyfiki języka i kontekstu lokalnego.

To ważny krok w kierunku szybszego, dokładniejszego i bardziej naturalnego generowania treści po polsku, a jednocześnie dowód na to, że ambitne projekty AI coraz częściej powstają i rozwijają się w ścisłej współpracy ze środowiskiem naukowym oraz infrastrukturą obliczeniową HPC. Modele są już dostępne na platformie Hugging Face, a organizatorzy zachęcali uczestników do testów i eksperymentów, bo właśnie w takim praktycznym wymiarze KUKDM od lat buduje most między teorią a realnym zastosowaniem technologii.

Miejsce, do którego się wraca

Konferencja organizowana przez ACK Cyfronet AGH potwierdziła, że jest czymś więcej niż corocznym przeglądem projektów. To platforma łącząca ludzi, idee i technologie, gdzie prezentacje, szkolenia, konsultacje i kularowe rozmowy wzajemnie się uzupełniają.

„KUKDM od lat jest miejscem, w którym spotykają się użytkownicy, twórcy technologii i instytucje odpowiedzialne za roz-

wój infrastruktury obliczeniowej”, podkreśla Marek Magryś, dyrektor ACK Cyfronet AGH.

„Zależało nam, aby konferencja była realną przestrzenią wymiany doświadczeń i współpracy. Rosnąca liczba uczestników oraz silna obecność tematów HPC i AI pokazują, że środowisko naukowe coraz odważniejsie sięga po najnowocześniejsze narzędzia badawcze, a krajowe centra komputerów dużej mocy mogą skutecznie je w tym wspierać”, dodaje.

Jeśli mierzyć wpływ konferencji nie tylko liczbą slajdów, ale realnymi kontaktami, inspiracjami i nowymi pomysłami badawczymi, KUKDM 2026 bez wątpienia była wyjątkowa i jasno pokazała, że polska nauka coraz pewniej porusza się w skali petabajtów danych i petaflopów mocy obliczeniowej.

KUKDM to przede wszystkim ludzie i rozmowy, które zostają na dłużej. Jeśli szukasz miejsca do wymiany doświadczeń, inspiracji i realnych kontaktów między różnymi dyscyplinami nauki, warto być częścią tej społeczności i dołączyć do konferencji za rok.

Podkreśleniem rangi konferencji było objęcie jej honorowymi patronatami przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Marcina Kulaska, Ministerstwo Cyfryzacji, Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Rozwoju i Technologii oraz Wojewodę Małopolskiego Krzysztofa Jana Klęczara.



Ponad 500 osób – studentów, doktorantów i młodych naukowców – z Polski i zagranicy wzięło udział w Lem Next Gen Science Forum 2026, które odbyło się w dniach 28-29 kwietnia na Politechnice Wrocławskiej.

– Rozpoczynające się dziś wydarzenie jest przestrzenią, w której młodzi naukowcy będą mieli okazję do spotkań, rozmów, zadawania pytań, wymiany doświadczeń i dyskusji o tym, jaką naukę i jaki uniwersytet chcą budować – mówił prof. Arkadiusz Wójs, rektor PWr. – Wsparcie rozwoju młodych karier akademickich jest centralnym elementem strategii naszej uczelni. W ostatnich latach podjęliśmy wiele decyzji, aby tę społeczność wzmocnić. Zwiększyliśmy wsparcie dla badaczy na wczesnym etapie kariery i zainwestowaliśmy w kształcenie doktorantów, rozwijając naszą szkołę doktorską wbrew ogólnokrajowym trendom.

Rektor PWr zaznaczył też, że postać Stanisława Lema jest bardzo dobrym punktem odniesienia dla forum, ponieważ pisarz łączył wyobraźnię z krytycznym myśleniem. Rozumiał, że technologia to nie tylko postęp, ale przynosi ona także pytania o odpowiedzialność i granice naszego zrozumienia.

Lem Prize za przełom w immunoterapii

Podczas inauguracji wydarzenia wręczono Europejską Nagrodę im. Stanisława Lema za rok 2025, którą otrzymał prof. Li Tang z Politechniki Federalnej w Lozannie (EPFL), światowej klasy ekspert w dziedzinie immunoinżynierii nowotworowej.

– Każdego dnia inspiruje mnie idea, że nauka wraz z wyobraźnią pozwalają nam redefiniować granice tego, co jest możliwe dla ludzkiego zdrowia. Myślę, że to bardzo dobrze współgra z duchem Stanisława Lema. Napisał on kiedyś w swojej powieści, że nie potrzebujemy innych światów, potrzebujemy luster. Myślę, że to przypomina nam, iż poprzez naukę ostatecznie badamy samych siebie – powiedział prof. Li Tang.

Wartą 100 tys. zł nagrodę kapituła konkursowa przyznała mu za projekt „A Paradigm Shift in Cancer Immunotherapy: Harnessing Type 2 Immunity for Curative and Accessible Therapies” (pol. Zmiana paradygmatu w immunoterapii nowotworów: wykorzystanie odporności typu drugiego do opracowania powszechnie dostępnej/łatwo dostępnej terapii). Badania prof. Li Tanga wnoszą nową wiedzę o tym, jak limfocyty T reagują na cytokiny immunomodulujące (jak IL-10 i IL-4), co wcześniej nie było do końca poznane. Limfocyty T, białe krwinki, które pomagają naszemu organizmowi zwalczać choroby, stanowią kluczowy element układu odpornościowego. Zespół laureata Lem Prize 2025 odkrył nowe właściwości tych komórek, co pomaga naukowcom lepiej zrozumieć, jak rozpoznają one i zwalczają komórki nowotworowe. To ważny krok w kierunku opracowania sku-

teczniejszych metod leczenia nowotworów wykorzystujących naturalne mechanizmy obronne naszego organizmu, czyli immunoterapię.

Neurobiologia i granice ludzkiej kontroli motorycznej

Program dwudniowego wydarzenia wypełniły spotkania i debaty z wybitnymi naukowcami. Pierwszy wykład plenarny wygłosiła prof. Anna Kuppuswamy (University of Leeds), uznana neurobiolożka kliniczna, członkini Young Academy of Europe, która mówiła o swoich badaniach dotyczących prób zrozumienia tego, jak mózg kontroluje ciało oraz jak kontrola motoryczna pogarsza się u osób cierpiących na różnego rodzaju choroby.

– Jedną z podstawowych zasad kontroli motorycznej jest integracja sensoryczno-motoryczna. Ale co istotne, jeszcze ważniejsza jest zdolność do niereagowania lub osłabiania informacji sensorycznych nieistotnych dla danego zadania – mówiła prof. Kuppuswamy. – Aby badać zmęczenie w przebiegu chorób, mój zespół łączy stymulację mózgu i obrazowanie mózgu z metodami behawioralnymi oraz technikami modelowania – dodała.

Wśród prelegentów był też dr Tobias Dornheim (Helmholtz-Zentrum Dresden-Rossendorf, Niemcy), fizyk teoretyczny, laureat Lem Prize 2024. W panelach dyskusyjnych uczestniczyli liderzy polskiego systemu nauki, w tym prof. Krzysztof Pyrc, prezes FNP oraz prof. Krzysztof Józwiak, dyrektor NCN.

– Traktujemy doktorat jako kolejny etap kształcenia, ale z bardzo dobrym wsparciem zarówno finansowym, jak też naukowym i merytorycznym. Mamy nadzieję, że zaproszenie takich osób jak prof. Li Tang czy dr Tobias Dornheim pokaże studentom i przyszłym doktorantom, jaką mogą mieć błyskotliwą karierę, jak mogą świetnie przysłużyć się rozwojowi naszego społeczeństwa – mówiła prof. Katarzyna Matczyszyn, przewodnicząca komitetu organizacyjnego forum.

W trakcie wydarzenia pojawili się także wybitni krajowi badacze: dr Anna Byzia z McKinsey & Company, prof. Marcin Drąg z Politechniki Wrocławskiej specjalizujący się w chemii biologicznej i projektowaniu inhibitorów enzymów oraz prof. Agnieszka Dobrzyń, dyrektorka Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN w Warszawie, biolog molekularna i biochemiczka.

Młodzi badacze podjęli także temat miast i społeczeństwa przyszłości oraz inżynierii zdrowia i medycyny przyszłości, pokazując, jak badania techniczne realnie wpływają na jakość i długość życia. Ważnymi wątkami były również etyka i rzetelność badań, komunikacja naukowa oraz dobrostan psychiczny w środowisku akademickim.

Kolejne debaty dotyczyły problematyki technologicznej: Jak powstają technologie przyszłości i skąd biorą się przełomowe odkrycia? W jaki sposób skutecznie aplikować o granty i budować zespoły badawcze? Na



początku uczestnicy skupili się na tematach związanych m.in. z umiędzynarodowieniem badań, budowaniem globalnych sieci współpracy, doskonałością naukową i jej rozwojem w szybko zmieniającym się świecie.

– Doskonałość naukowa to nie trofeum, które można zdobyć i mieć. To raczej powtarzalny wzorzec działania, sposób myślenia i pracy, który prowadzi do wartościowych rezultatów – mówił w trakcie panelu „Rethinking Excellence: Advancing the Future of Research” dr hab. inż. Łukasz Sterczewski z Wydziału Elektroniki, Fotoniki i Mikrosystemów PWr.

Podkreślano również znaczenie współpracy określonych dyscyplin ponad podziałami. W panelu „Beyond Boundaries: The Power of Interdisciplinary Research” prof. D. Robert Iskander z Wydziału Podstawowych Problemów Techniki PWr zwrócił uwagę, że interdyscyplinarność to nie hasło, lecz konieczność. – Najpierw jest pomysł, potem wspólna praca zespołów z różnych dziedzin, a na końcu rozwiązanie, które może realnie zmienić rzeczywistość – dodał naukowiec z PWr.

W programie pierwszego dnia znalazły się także sesje poświęcone grantom dla młodych badaczy oraz dyskusje o mobilności naukowców, komunikacji i realnym wpływie badań na współczesny świat.

Nie zabrakło czasu na networking i mniej formalne rozmowy, które – jak podkreślają uczestnicy – są jednym z najważniejszych elementów wydarzenia. Na zakończenie pierwszego dnia pojawiły się równie istotne wątki: etyka, odpowiedzialność i dobrostan psychiczny w środowisku naukowym.

Potrzeba wolności akademickiej

Drugi dzień forum rozpoczął się od wykładu plenarnego dr. Tobiasa Dornheima. Uczony prezentował swoje badania nad ciepłą gęstą materią i fizyką wysokich gęstości energii, na które otrzymał prestiżowy ERC Starting Grant. Przedstawił również swoją ścieżkę kariery, a zwracając się do doktorantów i młodych naukowców podkreślił, że jego zdaniem innowacji naukowej nie da się ściśle zaplanować. – Kiedy piszecie wnioski o granty, wiele agencji finansujących badania wymaga szczegółowego wyjaśnienia, jakie badania przeprowadzicie i jakie będą ich wyniki. Jeśli z góry znacie dokładne wyniki, to po co w ogóle to robicie? Podążanie wyłącznie za wyznaczonymi celami prowadzi w ślepe zaułki. Sukces definiujemy np. jako uzyskanie fuzji laserowej lub energii z fuzji laserowej, ale nie wiemy z góry, jakich „stopni” potrzebujemy, aby połączyć obecny stan rzeczy z tym, co chcemy osiągnąć – mówił dr Dornheim.

Naukowiec podkreślił, że wolność akademicka jest niezbędna do istnienia innowacji, dlatego warto przedkładać to, co jest ciekawe, nad wskaźniki wpływu i mierniki wydajności, a „robienie czegoś, co jest interesujące, bo jest nowe, w dłuższej perspektywie prowadzi do bardziej znaczących badań naukowych”.

Recepta na sukces w konkursach ERC

W kolejnym panelu o swojej drodze do uzyskania grantów ERC opowiadali młodzi naukowcy z Politechniki Wrocławskiej: dr hab.

inż. Anna Siekierka, prof. PWr z Wydziału Chemicznego, dr hab. inż. Łukasz Sterczewski oraz dr hab. inż. Sławomir Porada z Wydziału Chemicznego.

W swojej prezentacji prof. Siekierka, która we wrześniu 2025 r. otrzymała ERC Starting Grant na opracowanie nowej technologii odzysku cennych surowców z roztworów ze zużytych baterii, zwróciła uwagę na bardzo niską liczbę grantów ERC, które trafiają do polskich naukowców. – To mniej niż 1% w całym okresie trwania programu. Chciałabym, żeby ta liczba była wyższa, dlatego jako młodzi ludzie podejmijcie się tej trudnej pracy, przygotujcie wnioski i go wysłajcie – mówiła chemiczka z PWr.

Prof. Siekierka zaznaczyła, że eksperci oceniający wnioski o wielkie granty patrzą nie tylko na pomysł, ale też na historię badań i to, czy projekty logicznie wynikają z siebie nawzajem. Ona sama, zanim otrzymała grant ERC, była laureatką konkursów Preludium i Sonata Narodowego Centrum Nauki. – Ważni są również ludzie i komunikacja z nimi. Musicie wiedzieć, do kogo mówicie i niezwykle ważne jest również, abyście prezentowali swoją pracę nie tylko w jednej instytucji, ale różnym podmiotom, z którymi możecie współpracować – tłumaczyła badaczka.

Dr hab. inż. Sławomir Porada, laureat ERC Consolidator Grant oraz kierownik projektu w konkursie EIC Pathfinder Challenges, zachęcał do szukania swobody badawczej poza głównym tematem doktoratu, bo jego zdaniem to właśnie tam rodzi się kreatywność. – Miejcie oczy otwarte i szukajcie, a jeśli znajdziecie w jakiejś dziedzinie związanej z tym, co robicie, jakąś kontrowersję, dyskusję naukową lub spór, zaangażujcie się. Musicie się upewnić, że macie swobodę pracy nad pobocznymi projektami. To w nich możecie się poczuć otwarci i być może wpadniecie na genialny pomysł, nad którym będziecie chcieli popracować – mówił uczony.

Młodzi badacze o technologiach jutra

Podczas Lem Forum nie zabrakło dyskusji bezpośredniej między studentami i doktorantami. Młodzi naukowcy poruszali kwestie związane m.in. ze sztuczną inteligencją, materiałami przyszłości, zieloną transformacją oraz przyszłością medycyny i biotechnologii.

Na koniec wydarzenia odbył się panel dyskusyjny „Navigating Funding Landscapes: From Ideas to Successful Grants”, w którym uczestniczyli prof. Piotr Młynarz, prorektor ds. organizacji i infrastruktury PWr, prof. Krzysztof Pyrc, prezes FNP oraz prof. Krzysztof Jóźwiak, dyrektor NCN. O możliwościach prowadzenia swojej kariery poza uczelnią debatowali m.in. prof. Marcin Drąg (IChF PAN, Wydział Chemiczny PWr) i prof. Agnieszka Dobrzyń (IBD PAN).

Ponadto młodzi naukowcy z pierwszej ręki mogli usłyszeć o wszystkich aspektach przedsiębiorczości i wdrażania wyników badań, roli sztucznej inteligencji we współczesnej nauce oraz tym, jak doktorat kształtuje sposób myślenia i pracy badacza.

(ACh)



Rozmowa z prof. Alojzym Nowakiem, rektorem Uniwersytetu Warszawskiego

Po co kapitał żelazny dla polskich uczelni?

Wydaje się, że jedynym trwałym rozwiązaniem jest ustawa i wynikające z niej dalsze konkretne regulacje prawne, które pozwolą zbudować i wykorzystać kapitał żelazny. Dodanie komponentu środków zewnętrznych jest coraz bardziej istotne i dotyka problemu znacznie szerszego, a mianowicie zasadności i potrzeby zwiększenia relacji pomiędzy uczelniami a szeroko rozumianym biznesem i otoczeniem społecznym.

O pomysłe zbudowania kapitału żelaznego uczelni mówił mi pan w wywiadzie latem 2023 roku. Dzisiaj ta idea wydaje się konkretyzować. Proszę przypomnieć, co to jest kapitał żelazny i dlaczego uważa pan, że w naszym kraju należy i da się ten pomysł zrealizować?

Tak rzeczywiście, jestem od wielu lat zwolennikiem budowy kapitału żelaznego w ramach funduszu, który pozwoliłby uczelni stabilnie funkcjonować i rozwijać się w dłuższej perspektywie. Taki kapitał, odpowiednio zarządzany i inwestowany, dawałby nam większą niezależność finansową i możliwość planowania znaczącego rozwoju, bez uzależnienia od corocznych decyzji budżetowych. Kapitał żelazny byłby więc, obok subwencji z budżetu państwa, bardzo istotnym czynnikiem stabilności finansowej uczelni. W Stanach Zjednoczonych fundament takiego systemu stanowią darowizny, nie tylko osób prywatnych, nierzadko absolwentów uczelni, ale także fundacji czy korporacji. Są to na ogół darowizny celowe – np. na określone stypendia, badania, płace konkretnych naukowców – a uczelnie prowadzą wieloletnie, profesjonalne kampanie pozyskiwania kapitału. Fundusze mają swoją strukturę prawną i organizacyjną. Są zarządzane przez profesjonalny zespół inwestycyjny, nadzorowany najczęściej przez radę powierniczą (board of trustees). Część wypracowanych zysków z inwestycji trafia z powrotem do funduszu, zwiększając jego wartość, a część jest wykorzystywana na bieżącą działalność uczelni w zakresie odpowiadającym przeznaczeniu kapitału. Wydaje się, że w polskich warunkach niektóre amerykańskie rozwiązania prawne byłyby bardzo pomocne. Choć specyfika amerykańskich funduszy polega też na daleko bardziej rynkowych i ryzykownych ekspozycjach na aktywa alternatywne, jak private equity, venture capital, giełdy, czego zapewne u nas nie da się wdrożyć, a na pewno nie od razu.

Czy w aktualnym ustroju prawnym krajowej nauki jest możliwość zbudowania i wykorzystania kapitału żelaznego? A jeśli nie, to co należy zmienić, żeby to było możliwe?

Wydaje się, że jedynym trwałym rozwiązaniem jest ustawa i wynikające z niej dalsze konkretne regulacje prawne, które pozwolą zbudować i wykorzystać kapitał żelazny. Jest to zresztą

ważny, ale nie jedyny problem dodatkowego finansowania uczelni publicznych. Dodanie komponentu środków zewnętrznych jest coraz bardziej istotne i dotyka problemu znacznie szerszego, a mianowicie, moim zdaniem, zasadności i potrzeby zwiększenia relacji pomiędzy uczelniami a szeroko rozumianym biznesem i otoczeniem społecznym.

Skąd miałyby się wziąć pieniądze na kapitał żelazny UW – w wywiadzie sprzed trzech lat wspominał pan o emisji obligacji przez uczelnie – i dlaczego ma to być akurat dziesięć miliardów złotych (czterokrotność budżetu UW, niemal jedna czwarta rocznych nakładów krajowych na szkolnictwo wyższe i naukę), o czym pan niedawno mówił?

Oczywiście zakładam, że w pierwszym etapie udział fundacji, sponsorów i darczyńców byłby najbardziej istotny. Jednak w zgodzie z pożądanymi nowymi regulacjami prawnymi, emisje obligacji przez uczelnie mogłyby w bardzo znaczącym stopniu zasilić budżet operacyjny uczelni dodatkowymi dochodami. Obecnie to Skarb Państwa emituje obligacje i przekazuje konkretne środki uczelniom w formie dodatkowego zwiększenia subwencji, mieliśmy już z taką sytuacją do czynienia.

Dla przykładu, budżet Stanfordu wynosi aktualnie około 10,3 miliarda dolarów rocznie. Uczelnia dysponuje endowmentem, czyli kapitałem żelaznym, inwestowanym w celu generowania dochodów. Jego wartość wynosi 40,8 miliardów dolarów. Część zwrotu z inwestycji tego funduszu uniwersytet wkłada do swojego rocznego budżetu operacyjnego. Ostatnio było to 2 miliardy dolarów, czyli około 20 procent rocznego budżetu Stanforda. To najwyższa po zyskach z usług medycznych (Health Services, 26 procent) pozycja w budżecie operacyjnym uczelni, wyższa nawet niż środki z pozyskanych grantów, które stanowią „tylko” 16 procent budżetu w roku operacyjnym 2025-2026.

Dla porównania: budżet Uniwersytetu Warszawskiego na 2025 rok wynosił 2,3 miliarda złotych przy subwencji wynoszącej ok. 1,4 mld zł. Widać zatem, jak wiele dodatkowych środków pozyskujemy z różnych źródeł. Chcielibyśmy więc również mieć możliwość emisji obligacji naszego uniwersytetu. To jednak wymagałoby przeszacowania majątku uczelni. W księ-

gach Uniwersytetu Warszawskiego na koniec 2025 roku jego wartość księgowa wynosiła blisko 1,7 mld zł. W lipcu 2023 roku Uniwersytet dokonał profesjonalnej wyceny czterech nieruchomości. Ich wartość księgowa wynosiła około 80 mln, a ich wartość rynkowa – zgodnie z przeprowadzoną profesjonalną wyceną – 242,3 mln zł. Różnica między tymi wartościami to 162,7 mln zł. Co oznacza, że także łączna wartość majątku uczelni przy jego ustawowym przeszacowaniu wzrosłaby kilkakrotnie. Ostatnia ustawowa możliwość przeszacowania wartości nieruchomości uczelni przeprowadzona była według stanu na 1 stycznia 1995 roku. Od tego czasu wartość majątku polskich uczelni, w tym Uniwersytetu Warszawskiego, zmieniła się znacznie i konieczne jest jej urealnienie. Gdyby nasz majątek został właściwie oszacowany, mógłby stanowić solidne zabezpieczenie emisji obligacji. Oczywiście wymagałoby to odpowiednich zmian w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Oceniam jednak, że ryzyko dla nabywców obligacji byłoby relatywnie niewielkie ze względu na wartość zabezpieczenia oraz fakt, że uczelnie w polskim systemie prawnym nie mają zdolności upadłości.

Warto tutaj podkreślić, że uczelnie mogłyby w celu budowy kapitału żelaznego korzystać z instrumentów znanych na rynku finansowym, np. emitować obligacje wieczyste (perpetual bonds) o wieczystej zapadalności, kiedy inwestorzy otrzymywaliby tzw. rentę wieczystą, co znaczy, że uczelnia nie musiałaby zwracać pożyczonych pieniędzy, za to posiadacz obligacji miałby zapewniony stały, ustalony przy kupnie dochód, który wypłacany byłby przez uczelnię z wypracowanych przez nią przychodów.

Nie chcemy jednak wyłącznie czekać na zmianę prawa. Już teraz podejmujemy działania mniejszymi krokami: rozmawiamy z absolwentami, z instytucjami finansowymi, z bankierami, którzy deklarują gotowość zaangażowania swojego kapitału, przekazując go podmiotowi będącemu w dyspozycji uczelni, który będzie inwestował powierzone środki, a zyski z nich będą przeznaczone na działalność naukową i badawczą. Chodzi w tym przypadku nie tylko o pieniądze, ale także o budowanie kultury finansowania uczelni i odpowiedzialności za jej rozwój.

Powiedzmy, że macie już te dziesięć miliardów złotych. Czy dysponujecie kadrą, która potrafi tymi środkami skutecznie zarządzać? Na czym miałyby polegać zarządzanie takim kapitałem?

Nie obawiam się o kadrę, która obecnie potrafi skutecznie zarządzać finansami uczelni. Uniwersytet Warszawski jest największym ośrodkiem naukowym w kraju, skupiającym wielką liczbę uczonych i będącym jednym z głównych ośrodków kształcenia kadr na potrzeby gospodarki i administracji. A skoro tak, to na pewno znajdziemy we własnym gronie specjalistów potrafiących znakomicie zarządzać naszymi pieniędzmi. Moja filozofia zarządzania Uniwersytetem Warszawskim jest znana: nauka musi szybko podążać, a nawet



Fot. UW

Prof. dr hab. **Alojzy Z. Nowak** (ur. w 1956 r.) jest ekonomistą. Jego zainteresowania naukowe obejmują ekonomię i finanse międzynarodowe, bankowość, zarządzanie ryzykiem na rynkach finansowych oraz na rynku kapitałowym, procesy integracji i globalizacji oraz Nową Ekonomię Strukturalną. Ukończył Szkołę Główną Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa). Od 1984 r. pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie m.in. kierował Zakładem Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych oraz Katedrą Gospodarki Narodowej na Wydziale Zarządzania. Pełnił funkcję prodziekana i dziekana tego wydziału. Był też dyrektorem Centrum Europejskiego UW. Był prorektorem UW ds. badań naukowych i współpracy, a od 2020 r. jest rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładał i wykladał na uczelniach we Francji, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Rosji, Chinach, Korei i RPA. Pracował też w Akademii Leona Koźmińskiego. Od 2018 jest prezesem Akademickiego Związku Sportowego, pełni tę funkcję *pro publico bono*. W uznaniu jego osiągnięć naukowych w kwietniu br. Katolicki Uniwersytet Santa Maria w Arequipie w Peru ustanowił Katedrę Santa Maria „Alojzy Zbigniew Nowak”. Prof. Nowak jest doktorem honoris causa tej uczelni.

wyprzedzać potrzeby nowoczesnej gospodarki, także w zakresie innowacyjności. Zarządzanie kapitałem żelaznym jest oczywiście także pochodną uregulowań prawnych. Sama koncepcja kapitału żelaznego (endowment capital) jest rozwiązaniem sprawdzonym w skali światowej. Jestem zatem przekonany, że i w Polsce takie rozwiązanie stanie się w nieodległej przyszłości rzeczywistością.

Ile pieniędzy można wygospodarować rocznie z takiego kapitału i na co te środki chciałby pan przeznaczyć? Czy w prawie powinny być zapisane ograniczenia dotyczące wykorzystania kapitału żelaznego?

Teraz mówimy jedynie o projekcjach wielkości takiego kapitału. Budżet Uniwersytetu Warszawskiego składa się z kilku elementów. Pierwszym jest subwencja budżetowa, wynosząca około 1,4 miliarda złotych. Drugą, bardzo istotną jego częścią, są środki na badania naukowe, które pozyskujemy w konkursach. To około 650 milionów złotych. W tej puli znajdują się granty europejskie i międzynarodowe, a także środki finansowe

wane przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Narodowe Centrum Nauki oraz Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Szczególnie silną pozycję mamy w najbardziej prestiżowych konkursach – grantach Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Wśród polskich uczelni mamy najwięcej projektów finansowanych w tej formie. Kolejną część stanowią środki pozyskiwane na badania stosowane i aplikacyjne, zamawiane przez duże firmy działające w Polsce. Mamy podpisane umowy między innymi z KGHM czy Orlenem, a także z instytucjami finansowymi. Czwartym źródłem przychodów są środki własne pozyskiwane przez uczelnie w ramach świadczenia odpłatnych usług edukacyjnych, takich jak studia niestacjonarne, studia podyplomowe, kursy. Nie bez znaczenia w ramach uzyskiwania przychodów własnych uczelni jest też czerpanie korzyści z posiadanych patentów. To także środki pozyskiwane w ramach wieloletniego programu inwestycyjnego, w tym z otrzymywanych obligacji, których nie przeznaczamy od razu na wydatki, lecz wykorzystujemy w planowanych inwestycjach.

Naszym marzeniem jest, aby budżet Uniwersytetu Warszawskiego kształtował się w przyszłości w granicach 10 miliardów złotych. Przypomnę, że obecnie to około 2,3 miliarda. Jestem przekonany, iż bardziej szczegółowe rozwiązania dotyczące zarządzania kapitałem żelaznym znajdą się również w regulacjach ustawowych. Także tych, dotyczących ewentualnych ograniczeń w wydatkowaniu środków z kapitału, czyli prawnego zabezpieczenia jego trwałości.

Czy taki model dodatkowego finansowania szkolnictwa wyższego mógłby stać się powszechny w Polsce? Jak wpłynąłby na rozwój tego obszaru życia społecznego?

Pożytki z takiego modelu byłyby szybko wymierne i powszechne. Rozmawiam z innymi rektorami, wielu z nich popiera ideę tworzenia stabilnych warunków dla funkcjonowania kapitału żelaznego. Rozmawiam również z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego, z ministrem dr. Marcinem Kulaskiem, który rozumie potrzebę tworzenia takich mechanizmów. W grudniu 2025 r. mieliśmy także spotkanie z premierem, podczas którego prezentowałem tę koncepcję i wiem, że temat ten wzbudził zainteresowanie najwyższych władz państwowych.

Spójrzmy na to zagadnienie jeszcze szerzej. Uniwersytet ma trzy zasadnicze funkcje: prowadzenie badań podstawowych i aplikacyjnych, dydaktykę oraz rozwój szeroko pojmowanej przedsiębiorczości. A przecież rozwój i funkcjonowanie tak dużej uczelni w istotnym stopniu zależy od inwestycji, bez których nie można sobie nawet wyobrazić nowoczesnego i innowacyjnego uniwersytetu. Rola i znaczenie kapitału żelaznego w systemie finansowania szkolnictwa wyższego dotyka zatem szerokiego obszaru życia społecznego, kulturowego czy cywilizacyjnego. Podam tylko jeden przykład: rozwój tzw. edukacji celowanej dla społeczeństwa. To choćby działania na rzecz utworzenia we współpracy z Wojskowym Instytutem Medycznym kierunku medycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Jest obecnie ogromne zapotrzebowanie na medyków, a zwłaszcza lekarzy wojskowych, obytych ze współczesną medycyną pola walki, czy nieprzewidzianymi zdarzeniami masowymi. Tak więc dodatkowe środki finansowe w budżecie uczelni to także szansa rozszerzenia obszarów społecznej odpowiedzialności uczelni.

Ostatnio w jednym z wywiadów zadano mi pytanie o miejsce Uniwersytetu Warszawskiego w rankingu szanghajskim. Odpowiedziałem, iż jest on ważny dlatego, że służy nam przede wszystkim do analizy osiągnięć naukowych i edukacyjnych oraz tempa rozwoju względem innych uczelni zagranicznych. Jednym z istotnych przewag właśnie uniwersytetów amerykań-

skich jest silnie rozwinięta współpraca biznes – nauka – startupy. Od jakiegoś czasu przekonuję, że finansowanie badań nie powinno zależeć tylko od dotacji z budżetu państwa. Właśnie uniwersytety amerykańskie i ich pozycja w rankingu szanghajskim są dla mnie inspiracją. Endowment Harvard University przekracza 57 miliardów dolarów, co czyni go nie tylko najsilniejszym finansowo uniwersytetem amerykańskim, a może i światowym, ale także jednym z największych funduszy inwestycyjnych świata. Mamy więc wytyczoną drogę – oczywiście ze względu na specyfikę uczelni amerykańskich tylko w pewnym zakresie – którą powinny podążać uniwersytety w Polsce: tworzyć fundusze finansowe nastawione na inwestowanie w szeroko rozumiany rozwój uczelni. Mam bowiem świadomość, że bardzo dla nas ważne, obecnie najważniejsze środki z budżetu państwa zawsze będą niewystarczające wobec potrzeb szkolnictwa wyższego.

Dlatego szanse na podniesienie na wyższy poziom jakości badań naukowych dostrzegam również w aktywnym uczestnictwie Uniwersytetu Warszawskiego w Sojuszu 4EU+. Już teraz instytucje uniwersytetów europejskich tworzą coraz liczniejsze obszary współpracy, kooperacji, podejmują inicjatywy związane z innowacjami, transferami najnowocześniejszych technologii. Wyobrażam sobie również, iż Uniwersytet Warszawski z pomocą środków finansowych pochodzących z wpływów z kapitału żelaznego byłby jeszcze bardziej znaczącym uczestnikiem i beneficjentem w takim sojuszu.

Czuje się pan ojcem pomysłu stworzenia kapitału żelaznego uczelni? Po raz pierwszy o tym i o emitowaniu obligacji przez uczelnie mówił pan na konferencjach rektorów jeszcze w swojej pierwszej kadencji. Traktowano to wówczas jako przysłowiową bajkę o żelaznym wilku. A dziś przybiera to realne kształty. Pierwsze uczelnie już zaczęły budować kapitał żelazny. Kiedy to zacznie robić UW?

Rzeczywiście, publicznie podniosłem tę kwestię jako pierwszy. Obserwując doświadczenia innych uczelni, amerykańskich i brytyjskich, na których prowadziłem wykłady, uznałem że w związku z niewystarczającym finansowaniem nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce trzeba szukać innych źródeł pozyskiwania środków dla uczelni. Idea kapitału żelaznego jest z powodzeniem od lat wykorzystywana przez wiodące uniwersytety na świecie. Obserwuję również próby budowania kapitału żelaznego na polskich uczelniach. Bardzo interesujące doświadczenia w tym zakresie mogą czerpać na przykład z doświadczeń uczelni prywatnej, Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, czy uczelni publicznej, jaką jest Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu. Kibicuję tym pomysłom i ich praktycznej implementacji w szczególności pośród uczelni publicznych. Uniwersytet Warszawski jest największą uczelnią publiczną w Polsce i w związku z tym stworzenie odpowiedniego kapitału żelaznego naszej uczelni będzie szczególnie trudne. Jeśli idzie o stan zaawansowania realizacji tego pomysłu, to od około dwóch lat funkcjonuje na UW powołany przeze mnie zespół bardzo dobrych fachowców w tym zakresie. Przeprowadzili oni głębokie analizy funkcjonowania kapitałów żelaznych zarówno w krajach anglosaskich, jak i w Europie kontynentalnej, w tym w szczególności w Finlandii. Jesteśmy też po rozmowach z kilkoma polskimi bankami, które mają pozytywny stosunek do tego pomysłu. Ale chyba najważniejsze jest to, że nasze środowisko akademickie w znacznej mierze akceptuje ten pomysł, dostrzegając w nim szansę dalszego wspierania rozwoju Uniwersytetu Warszawskiego. Przyznam, że przede wszystkim czekam jednak na zielone światło w tym zakresie od polskiego regulatora prawa.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Barbara Jankowska

Żelazny UEP

Nasi darczyńcy, decydując się na przekazanie donacji, mogą wybrać cele, które definiujemy w „Planie rozwoju kapitału żelaznego UEP”, albo mogą sami wskazać cel, przy założeniu, że wpisuje się on w działalność statutową uczelni. Tym samym mogą wpłynąć na szczególnie ważny z ich perspektywy obszar działalności uczelni, np. edukację studentów, prowadzenie badań naukowych, poprawę infrastruktury na kampusie uczelnianym itd.

Jak to się stało, że w UEP mamy kapitał żelazny?

Przygotowując się do objęcia funkcji rektorskiej w Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu, miałam świadomość wielu wyzwań, z jakimi mierzą się publiczne uniwersytety, w szczególności ekonomiczne. Jednym z nich był i jest obowiązujący model podziału subwencji, który nie pozwala na pokrycie w pełni kosztów wynikających z art. 365 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, a właściwych dla publicznych uczelni akademickich, m.in. kosztów związanych z utrzymaniem potencjału dydaktycznego, naukowego i infrastruktury.

Sprawując od września 2024 roku funkcję rektorki UEP, jeszcze bardziej uświadomiłam sobie, że jako publiczne uczelnie ekonomiczne zmagamy się z luką subwencyjną, która nie-

stety rośnie. Tymczasem utrzymanie wysokiej jakości kształcenia oraz badań naukowych w warunkach presji płacowej, wyższych kosztów energii czy niekorzystnych zmian demograficznych wymaga odpowiedniego finansowania. Jeśli chcemy oferować praktyczną edukację, która jednocześnie utrzymuje wysoką jakość akademicką, jeśli chcemy, aby nasz często przywoływany „impact” naukowy miał wymiar międzynarodowy, potrzebujemy finansowania. Dlatego też w Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu wciąż poszukujemy pozasubwencyjnych źródeł przychodu i rozwiązań, które będą wspierały realizację ambitnych celów rozwojowych. Na liście rozwiązań, do których sięgnęliśmy, znalazł się m.in. kapitał żelazny. Rozwiązanie to kojarzone jest zasadniczo z tak renomowanymi uczelniami jak Uniwersytet Harvarda, Uniwersytet Stanforda czy Uniwersytet w Cambridge, ale postanowiliśmy podjąć próbę przeniesienia go w realia akademickiej publicznej uczelni biznesowej w Europie Środkowo-Wschodniej. 9 lipca 2025 roku Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu – jako pierwsza uczelnia publiczna w Polsce – powołał swój kapitał żelazny.

Model kapitału żelaznego w uczelniach, czyli co?

Model kapitału żelaznego, który przyjął się w prestiżowych uczelniach zagranicznych, w szczególności amerykańskich, polega na świadomym rozdzieleniu trwałego, „żelaznego” kapitału od zysków, które ten kapitał generuje. Zatem tworzy się fundusz wieczysty. Dochód z takiego funduszu może posłużyć do finansowania stypendiów studenckich, grantów dla młodej kadry akademickiej, modernizacji zaplecza badawczego i dydaktycznego, rozwoju młodej przedsiębiorczości czy modernizacji infrastruktury bądź innych ważnych dla uczelni celów. Środki przekazane do kapitału żelaznego nie są wydawane, ale inwestowane w bardziej lub mniej bezpieczny sposób, tak aby wypracowany zysk mógł skutecznie wspierać realizację celów uczelni. Zatem określenie „wieczysty” czy „żelazny” nie jest bez pokrycia. Każda wpłata przekazana na ten kapitał pracuje przez wiele lat.

Jak działa Żelazny UEP?

Powołując do istnienia kapitał żelazny UEP, aby nieco zdysypliniować budżet uczelni, dążyliśmy do stworzenia rozwiązań, które co do zasady nie będzie wykorzystywało środków publicznych. Mamy bowiem świadomość obciążeń, jakie



Fot. UEP

dźwiga sfera finansów publicznych w Polsce. Zatem nasz Żelazny UEP jest zasilany przez darczyńców instytucjonalnych, zasadniczo reprezentujących sektor biznesu oraz indywidualnych. Tym samym jest neutralny dla sfery finansów publicznych – **nie wymaga zwiększania subwencji ani tworzenia zobowiązań dłużnych uczelni wobec rynku**. Wsprzeć może nas każdy, choć bardzo zależy nam na współpracy z partnerami z naszego regionu. Żywimy przekonanie, że jako posiadająca akredytację międzynarodową silna uczelnia publiczna w Wielkopolsce jesteśmy w stanie realnie wspierać lokalne przedsiębiorstwa oraz instytucje. Hołdujemy zasadzie „Myśl globalnie, działaj lokalnie!”. Takie podejście idzie w parze z naszymi dążeniami do rozbudowy i umacniania wokół naszej uczelni sprzyjającego ekosystemu. W warunkach wyzwań nie tylko finansowych, ale także związanych z zieloną i cyfrową transformacją, zmianami pokoleniowymi i demograficznymi, ogromnie ważne są profesjonalne, oparte na zaufaniu, długo-terminowe relacje.

Operatorem naszego kapitału żelaznego jest Fundacja UEP, która należy do uniwersytetu. Powstała w 1992 roku i od początku działa w ścisłej współpracy z wiodącymi firmami w regionie, realizując szereg projektów dla społeczności akademickiej. To dzięki otwartości na innowacje i gotowości do podjęcia nowych wyzwań przez Zarząd Fundacji UEP, przy wsparciu Rady Fundacji, powołanie kapitału żelaznego stało się możliwe.

Żelazny UEP funkcjonuje na podstawie opracowanego przez prorektora ds. finansów planu rozwoju kapitału. Nasi darczyńcy, decydując się na przekazanie donacji, mogą wybrać cele, które definiujemy w „Planie rozwoju kapitału żelaznego UEP”, albo mogą sami wskazać cel, przy założeniu, że wpisuje się on w działalność statutową uczelni. Tym samym mogą wpłynąć na szczególnie ważny z ich perspektywy obszar działalności uczelni, np. edukację studentów, prowadzenie badań naukowych, poprawę infrastruktury na kampusie uczelnianym itd. Zaś uniwersytet zyskuje realne wsparcie w obszarach, które są dla niego strategiczne. Takie podejście łączy wypracowane środki ze zdefiniowanymi z góry obszarami wsparcia, zapobiegając ich rozpraszaniu i pozwalając na jednoznaczną identyfikację efektów, co jest ważne z punktu widzenia darczyńców. We wspomnianym planie wyraźnie definiujemy cele wsparcia, takie jak stypendia dla najzdolniejszych studentów, granty dla młodej kadry naukowej, środki dedykowane na projekty badawcze albo dydaktyczne o charakterze rozwojowym, fundusz start-upowy czy środki dedykowane rozwojowi infrastruktury. Donacje przekazywane do Żelaznego UEP mogą mieć charakter pieniężny lub charakter instrumentów udziałowych czy inną formę świadczeń odroczonech. Natomiast naczelną zasadą w Żelaznym UEP jest bezpieczne inwestowanie.

Konwersja aktywów niepieniężnych na portfel „bezpiecznych” instrumentów finansowych o niskich wahanich wartości i wysokiej płynności jest dokonywana ściśle według rekomendacji działającej przy Fundacji UEP Komisji Finansowej, które to rekomendacje muszą zyskać akceptację Rady Fundacji UEP. Takie mechanizmy są wykorzystywane chociażby na przywołanym już wcześniej Uniwersytecie Harvarda. Mechanizm ten gwarantuje, że przekazana wartość nie zostanie naruszona, zatem będzie w sposób realny wieczysta, co wzmacnia zaufanie darczyńców. Zgodnie z rekomendacjami naszej Komisji Finansowej, składającej się z ekspertów UEP, nadrzędnym założeniem polityki inwestycyjnej pozostaje bezpieczeństwo zgromadzonych środków oraz zachowanie nienaruszalności kapitału podstawowego. Przyjęte podejście zakłada inwestowanie w sposób systematyczny, tak aby środki mogły pracować na rzecz uczelni, a jednocześnie pozostawały dostępne w określonych

interwałach. Komisja analizowała rozwiązania o ustalonym profilu ryzyka, zwracając uwagę nie tylko na potencjalną stopę zwrotu, lecz także na stabilność, elastyczność oraz prostotę obsługi inwestycji. Rekomendowana strategia koncentruje się na instrumentach dłużnych, które pozwalają ograniczać ryzyko rynkowe dzięki dywersyfikacji i profesjonalnemu zarządzaniu. Takie podejście wpisuje się w charakter kapitału żelaznego, którego celem nie jest podejmowanie agresywnych działań inwestycyjnych, lecz odpowiedzialne pomnażanie środków przy zachowaniu wysokiego poziomu bezpieczeństwa. Polityka inwestycyjna Żelaznego UEP ma więc charakter stabilizujący i długofalowy. Jej zadaniem jest zarówno ochrona wartości powierzonych środków, jak i tworzenie trwałego zaplecza finansowego, które wspiera rozwój inicjatyw naukowych, dydaktycznych i społecznych związanych z Uniwersytetem.

Kim są Partnerzy Żelaznego UEP?

Podmiotem, który jako pierwszy nam zaufał, okazał się SGB-Bank S.A. Zasilenie naszego kapitału poprzedziły długie rozmowy, ponieważ chodziło o rozwiązanie nowatorskie w sektorze uczelni publicznych w Polsce. Ostatecznie zdefiniowaliśmy formę zasilenia kapitału i ustaliliśmy obszary wsparcia, które są atrakcyjne z perspektywy SGB-Banku S.A. *i ważne dla UEP*. Warto podkreślić, że SGB-Bank S.A. to instytucja aktywna w naszym regionie, co doskonale wpisuje się w strategię budowania wokół UEP regionalnego ekosystemu. Kolejnym darczyńcą okazała się osoba fizyczna. Nasi aktualni darczyńcy zasilając kapitał żelazny naszego uniwersytetu, wskazali, że obszarem ich zainteresowania są granty dla młodej kadry, co w praktyce oznacza finansowanie z wypracowanych przez fundusz środków grantów startowych na badania pilotażowe. Są to granty przewidziane dla doktorantów i młodej kadry UEP, w odniesieniu do których partner żelazny ma możliwość określenia przedmiotu badań, może włączyć się do jury oceniającego dany grant i zyskuje zabezpieczony dostęp do wyników badań. Obok tych grantów wskazano na finansowanie projektów badawczo-rozwojowych w obszarach ważnych dla partnerów, jak i stypendia studenckie, które miałyby trafić do najzdolniejszych studentów. Z założenia do 8-10 studentów. Warto podkreślić, że umowy z darczyńcami wskazują szersze spektrum możliwych obszarów wsparcia, tak aby nie ograniczać elastyczności działania, która jest kluczowa w warunkach dużej zmienności otoczenia.

Prowadzimy rozmowy z kolejnym partnerem instytucjonalnym oraz osobą jeszcze kilka lat temu związaną z uniwersytetem, która zamierza przekazać darowiznę na konto Żelaznego UEP.

Czy Żelazny UEP napotyka na wyzwania i co z tego wynika dla kolejnych zainteresowanych takim rozwiązaniem?

Funkcjonowanie kapitałów żelaznych w polskich uczelniach nie ma tradycji. Trudno o gotowe wzorce dopasowane do polskiej specyfiki, a tym bardziej sektora akademickich uczelni publicznych. Brakuje wciąż rozwiązań prawno-organizacyjnych. Z perspektywy uczelni, którą kieruję, dostrzegam potrzebę zaangażowania w budowanie relacji z absolwentami. Rozwiązania odnoszące się do absolwentów, które w kręgu uczelni amerykańskich czy niektórych zachodnioeuropejskich działają od lat, u nas wciąż wymagają pracy. Trzeba też podkreślić, że w kulturze polskiej czy nawet europejskiej otwartość na donacje na rzecz uczelni jest mniejsza niż w kulturze amerykańskiej. Brakuje zachęt instytucjonalnych (np. ulg podatkowych) dla podmiotów zainteresowanych włączeniem się w kapitały

żelazne. Wreszcie wypracowanie właściwych polityk inwestycyjnych, systemów monitorowania i raportowania ryzyka oraz zarządzania funduszem wieczystym wymaga odpowiednich kompetencji. W sytuacji uczelni ekonomicznych jest to stosunkowo proste z uwagi na fachową wiedzę i kompetencje. Na tak wczesnym etapie rozwoju Żelaznego UEP podchodzimy do perspektyw jego rozwoju bardzo elastycznie, tak aby nie ograniczać pola wyboru dla naszych potencjalnych darczyńców. Definiujemy potencjalne spektrum obszarów wsparcia, o których wspominałam wyżej, nie eksponując żadnego z nich. Nasz Żelazny UEP ma dopiero kilka miesięcy.

Wreszcie poziom zaufania w biznesie nie jest najwyższy, co wiąże się z jakością kapitału społecznego w Polsce. Niemniej jednak warto podejmować wysiłki ukierunkowane z jednej strony na wzmacnianie stabilności finansowej i możliwości rozwojowych uniwersytetów, choćby poprzez kapitał żelazny, a z drugiej strony na budowanie takiej właśnie platformy współpracy z biznesem. Firma, która wspiera uczelnię, może uzyskać realny wpływ choćby na kształcenie studentów, którzy potem

staną się jej pracownikami. W ten sposób wartość zainwestowana wróci do niej z nawiązką. Podobnie wspieranie badań w określonych obszarach służy innowacyjności, bez której nie sposób dziś osiągać przewagę konkurencyjną na rynku.

Jednocześnie w kontekście zasygnalizowanych wyzwań trzeba mocno podkreślić, że kapitał żelazny, choć tak atrakcyjny i mający potencjał skutecznego łączenia sektora nauki z sektorem biznesu, nie będzie dla uczelni publicznych kompleksowym remedium na problem luki subwencyjnej. To jest rozwiązanie co najwyżej komplementarne wobec innych form finansowania uczelni publicznych. Wdrażanie takich innowacji nie może być traktowane jako argument na rzecz zaprzestania dyskusji o finansowaniu nauki w Polsce, w tym w szczególności o kondycji finansowej uczelni publicznych, do których należą jakże ważne z perspektywy gospodarki uczelnie ekonomiczne.

Prof. dr hab. Barbara Jankowska, ekonomistka,
rektorka Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu

Kapitał żelazny po amerykańsku

Kapitały uczelni amerykańskich są świadome budowane od kilkudziesięciu lat. Fundusze są aktywnie inwestowane, zatem ich wartość zmienia się z roku na rok, czasami niestety spada. Jak dziś (na 30 czerwca 2025 r.) wyglądają pod tym względem najzamożniejsze uniwersytety w USA? Dane są zaczerpnięte z zestawienia opracowanego przez National Association of College and University Business Officers (NACUBO), organizację zrzeszającą urzędników odpowiedzialnych za finanse uniwersytetów. W pierwszej dziesiątce najbogatszych amerykańskich uniwersytetów jest 6 instytucji prywatnych i 4 stanowe, czyli publiczne. Dwie z nich to systemy uniwersyteckie stanów Teksas i Kalifornia.

Uniwersytet Harvarda jest najbogatszą instytucją naukową i edukacyjną na świecie. W 2025 roku dysponował funduszem żelaznym o wartości 55,7 mld dolarów. Przychody z inwestycji zapewniły uniwersytetowi 2,5 mld dolarów na działalność operacyjną, czyli pokryły 40% rocznych kosztów. Na drugim miejscu jest **Uniwersytet Yale** z 44,1 mld dolarów endowmentu, który wygenerował roczne przychody w wysokości 4,5 mld dolarów, z czego 2,1 mld przeznaczono na bieżącą działalność uniwersytetu. Na trzecim miejscu plasuje się **Uniwersytet Stanforda**, który posiada fundusz o wartości 40,8 mld dolarów. Roczna stopa zwrotu z inwestycji w roku fiskalnym 2025 wyniosła 14,3%, co dało 1,9 mld dolarów, czyli 21% kosztów operacyjnych uczelni. Dalej mamy **Uniwersytet Princeton** z funduszem wynoszącym ok. 36,4 mld dolarów, a 1,8 mld zysków przeznaczono na działalność uniwersytetu. Endowment MIT wynosi 27,4 mld dolarów ze stopą zwrotu 14,8%. Szóste miejsce należy do **Uniwersytetów stanu Teksas** (to pierwsza publiczna instytucja w tym zestawieniu), których endowment ma wartość 27,2 mld dolarów. **Uniwersytet Pensylwanii** ma 24,8 mld dolarów kapitału żelaznego, który w poprzednim roku budżetowym przyniósł 12,2% zwrotu z inwestycji. Z tej kwoty 1,12 mld dolarów przeznaczono na wsparcie działalności uniwersytetu. Na ósmym miejscu jest **Uniwersytet Texas A&M**, który łącznie (sam uniwersytet i jego funda-

cja) dysponuje funduszem w wysokości 22,2 mld dolarów. Dalej jest prywatny **Uniwersytet Michigan** z endowmentem o wartości 21,2 mld dolarów, który przyniósł aż 15,5% zwrotu. Fundusz przeznaczył 538 mln dolarów na działalność uniwersytetu. Na 10 miejscu znalazły się **Uniwersytety Kalifornijskie** (cały system, podobnie jak w Teksasie) z funduszem o wartości 20,1 mld dolarów. Łącznie 10 najbogatszych uczelni w USA dysponuje kapitałem żelaznym o wartości 320 mld dolarów. Daje to średnią 32 mld na uniwersytet.

Trochę skromniej wygląda to w gronie wszystkich 678 uczelni uwzględnionych w tabeli, choć ich łączny kapitał żelazny ma wartość 954 mld dolarów (to nieomal równowartość polskiego PKB). Średni kapitał jednej uczelni wynosi 1,4 mld dolarów, a mediana to 260 mln dolarów. To wskazuje, że większość z nich ma kapitały znacząco niższe od czołówki. Warto dodać, że poprzedni rok obrachunkowy (do końca czerwca 2025) był bardzo korzystny dla uniwersyteckich finansów. W roku 2024 ta sama grupa uczelni miała kapitał o wartości 880 mld dolarów. Oznacza to wzrost rok do roku o 8,4%.

Powyżej wskazałem najbogatsze uniwersytety i stanowe systemy uniwersyteckie, jednak w gronie 678 uczelni na samym dole tabeli są oczywiście te najbiedniejsze, których nazwy nikomu w Polsce nic nie mówią. Ostatni jest American Baptist College z funduszem o wartości 2,8 mln dolarów, przedostatni jest Western Governors University z kapitałem 3,7 mln dolarów, a na trzecim miejscu od końca Florida Polytechnic University z 3,7 mln dolarów kapitału. Można te „drobne” sumy pomnożyć przez 3,7, żeby sprawdzić, jak to wygląda w złotych. Może zwłaszcza informacja o tempie wzrostu kapitałów tych niedużych uczelni – odpowiednio o 127,5%, 12,6% i 31,3% – będzie zachętą do podjęcia wysiłku zbudowania własnego kapitału żelaznego przez polskie uczelnie.

Piotr Kieraciński

Rozmowa z dr Sylwią Hałas-Dej, prorektorką ds. rozwoju i współpracy z otoczeniem, Prezeską Fundacji Rozwoju Akademii Leona Koźmińskiego oraz Dziekan Koźmiński Executive Business School

Inwestycja w trwałość uczelni

Oparcie części działalności uczelni na kapitale żelaznym umożliwia większą niezależność od innych, zewnętrznych źródeł finansowania. Daje możliwość prowadzenia długoterminowej, przemyślanej polityki finansowej i przyjęcia dłuższego horyzontu planowania strategicznego. Pozwala rozwijać uczelnię spokojniej, odważniej i bardziej odpowiedzialnie.



Fot. ALK

Akademia Leona Koźmińskiego jako pierwsza uczelnia w Polsce utworzyła w 2023 roku własny kapitał żelazny i od tego czasu konsekwentnie rozwija ten instrument długofalowego finansowania. O tym, dlaczego uczelnia zdecydowała się na taki model, po co go rozwija, jak działa on w praktyce i czy może stać się bardziej powszechnym rozwiązaniem w polskim szkolnictwie wyższym, rozmawiamy z dr Sylwią Hałas-Dej.

Czym dla Akademii Leona Koźmińskiego jest kapitał żelazny?

Kapitał żelazny jest dla nas narzędziem odpowiedzialnego myślenia o przyszłości uczelni. Dobra szkoła wyższa nie może funkcjonować wyłącznie w logice bieżącego budżetu, najbliższego naboru czy krótkiego cyklu strategicznego. Jeśli naprawdę chce przyciągać talenty, rozwijać ambitne badania, wzmacniać kadrę i uruchamiać projekty wyprzedzające rynek, potrzebuje także stabilnego narzędzia finansowego, które pozwala patrzeć dalej. Właśnie tym jest dla nas kapitał żelazny. Nie traktujemy go jako dodatku ani symbolicznego gestu. To trwały fundament rozwoju i wyraz odpowiedzialności za kolejne pokolenia studentów, naukowców i partnerów uczelni.

Jak działa ten model w praktyce?

Jego logika jest prosta, choć znaczenie strategiczne bardzo duże. Kapitał podstawowy pozostaje nienaruszalny. Środki przekazane przez darczyńców nie są wydawane przez uczelnię, lecz inwestowane zgodnie z przyjętą bezpieczną strategią. Celem jest stałe pomnażanie wartości funduszu, a wykorzystaniu na działania rozwojowe uczelni podlegają wyłącznie wypracowane zyski.

Taki model od dawna obecny jest w najlepszych uczelniach świata. Harvard definiuje endowment jako źródło długoterminowego finansowania oparte na darowiznach, z którego co roku wypłacana jest część środków na działalność uczelni, podczas gdy pozostała wartość nadal pracuje na przyszłe pokolenia. W roku fiskalnym 2025 wartość tego funduszu Harvard określił na 56,9 mld dolarów, a roczna wypłata z endowmentu wyniosła 2,5 mld dolarów.

Dlaczego ten model ma dziś tak duże znaczenie dla uczelni?

Bo pozwala odejść od myślenia wyłącznie krótkoterminowego. Oparcie części działalności uczelni na kapitale żelaznym umożliwia większą niezależność od innych, zewnętrznych źródeł finansowania. Daje możliwość prowadzenia długoterminowej, przemyślanej polityki finansowej i przyjęcia dłuższego horyzontu planowania strategicznego. Pozwala rozwijać uczelnię spokojniej, odważniej i bardziej odpowiedzialnie. Wiodące uczelnie biznesowe na świecie wykorzystują różne instrumenty finansowe, które pozwalają im realizować misję w sposób bardziej ambitny i długofalowy. Kapitał żelazny jest jednym z nich.

Na ile jest to także próba przeniesienia do Polski najlepszych światowych praktyk?

To nie jest kwestia kopiowania rozwiązań, tylko mądrego korzystania z doświadczeń najlepszych. Fundamentalną różnicą między uczelniami biznesowymi w Polsce i na świecie jest mechanizm ich finansowania. W amerykańskich uczelniach kapitał żelazny i pozyskiwanie środków od darczyńców są czymś naturalnym. W Polsce ten model dopiero się rozwija, a nawet ułamek skali znanej z najlepszych uniwersytetów może mieć u nas ogromne znaczenie. Taki fundusz nie musi być gigantyczny, by realnie zmieniać jakość myślenia o rozwoju uczelni.

Na co konkretnie mają pracować zyski wypracowane przez kapitał żelazny w Akademii Leona Koźmińskiego?

Na obszary, które naprawdę decydują o sile uczelni. Pierwszy to studenci i młode talenty. Jedną z naszych ambicji jest zapewnienie wysokiej jakości edukacji osobom z całego świata, które wyróżniają się największym potencjałem. Chcemy, aby Akademia Leona Koźmińskiego była dla nich miejscem pierwszego wyboru.

Drugi obszar to kadra akademicka. Równie ważnym celem jest budowanie pozycji uczelni pierwszego wyboru dla wybitnych naukowców, badaczy i praktyków biznesu. Zyski z kapitału żelaznego mają wspierać rozwój kadry, między innymi poprzez stypendia wyjazdowe, rozwój naukowy i zapraszanie zagranicznych wykładowców na kontrakty gościnne.

Trzeci obszar to autorskie projekty badawcze i innowacyjne. Chodzi o stworzenie miejsca, które pozwoli wyjść poza logikę wyłącznie grantową i konkursową, rozwijać własne idee, prowadzić pogłębione analizy i współtworzyć odpowiedzialny społecznie biznes przyszłości.

Ważnym elementem pozostaje także rozwój kampusu i infrastruktury, bo jakość uczelni buduje się nie tylko programem i ludźmi, ale również przestrzenią, która wspiera rozwój nowoczesnej edukacji i badań.

Jaką rolę odgrywa w tym modelu Fundacja Rozwoju Akademii Leona Koźmińskiego?

Kluczową. Wraz z utworzeniem kapitału żelaznego Akademii Leona Koźmińskiego powołała Fundację Rozwoju i powierzyła jej zarządzanie tym funduszem. To bardzo ważny element całego systemu, bo w takim projekcie nie wystarczy mieć dobrą ideę. Trzeba jeszcze zapewnić bezpieczeństwo, transparentność, odpowiedzialne zarządzanie i jasne reguły przeznaczania wypracowanych środków. Fundacja dba właśnie o te elementy. Troszczy się o to, aby zyski trafiały na cele zgodne z misją uczelni i wzmacniały jej rozwój w długim horyzoncie. To rozwiązanie od początku zostało zaprojektowane jako trwałe i odpowiedzialny mechanizm instytucjonalny.

Czy kapitał żelazny ma szczególne znaczenie dla uczelni niepublicznych?

Sytuacja uczelni publicznych i niepublicznych w Polsce nie jest taka sama. Uczelnie publiczne funkcjonują w innym modelu finansowym, mają inne instrumenty systemowe i inny poziom oparcia w środkach publicznych. Uczelnie niepubliczne znacznie silniej odczuwają potrzebę dywersyfikacji źródeł finansowania i budowania własnych mechanizmów stabilności. Dlatego kapitał żelazny jest dla nich narzędziem realnej odporności instytucjonalnej. Pozwala prowadzić rozwój w dłuższej perspektywie, planować odważniej i zmniejszać zależność od bieżących wpływów.

To nie znaczy, że uczelnie publiczne nie powinny myśleć w ten sposób. Przeciwnie, uważam, że w przyszłości będzie to coraz ważniejsza praktyka dla całego środowiska akademickiego. Ale dla uczelni niepublicznych jest to dziś szczególnie istotne, bo bezpośrednio wzmacnia ich zdolność do prowadzenia ambitnej polityki rozwojowej. Co jest jednak ważne i co chcę podkreślić – mechanika kapitału żelaznego jest stosowana na świecie przede wszystkim przez uczelnie prywatne, w celu zapewnienia długofalowej stabilności uczelni. W przypadku uczelni publicznych stabilność jest zachowana poprzez model finansowania oparty na pieniądzu podatkników. Uczelnie publiczne nie budują endowmentu często, a nawet jeśli tak, to czynią to na podstawie tych samych mechanizmów co uczelnie prywatne. Ewenementem na skalę świata byłoby tworzenie w uczelniach publicznych kapitałów żelaznych opartych na środkach publicznych.

Czy poza samym mechanizmem finansowym równie ważna jest społeczność ludzi i firm, które ten kapitał współtworzą?

Zdecydowanie tak. Kapitał żelazny nie jest wyłącznie konstrukcją finansową. Jest także wspólnotą odpowiedzialności za przyszłość uczelni. Wokół Akademii Leona Koźmińskiego rozwija się grono darczyńców i partnerów, którzy rozumieją, że inwestycja w edukację jest w istocie inwestycją w jakość przyszłego kapitału ludzkiego, naukowego i gospodarczego. Rosnące zainteresowanie takim modelem współpracy to bardzo ważny sygnał. Pokazuje, że relacja między biznesem a edukacją może opierać się nie tylko na bieżących projektach, ale również na długofalowym współtworzeniu wartości i wspólnej odpowiedzialności za przyszłość.

Czy w Polsce dojrzeła kultura takiego myślenia o edukacji?

Myszę, że tak, choć wciąż jesteśmy na początku tej drogi. Budowanie kultury filantropii i długoterminowego inwestowania w edukację to proces, który wymaga dialogu i współpracy wielu środowisk: akademickich, biznesowych i instytucjonalnych. To nie dzieje się z dnia na dzień. W Polsce przez długi czas inwestycje w edukację były częściej postrzegane jako gest wsparcia niż jako świadome współtworzenie wartości. Tymczasem w krajach anglosaskich czy w Australii inwestycje edukacyjne często traktuje się w sposób bardzo pragmatyczny, wręcz biznesowy, jako inwestycję w ludzi, kompetencje, przywództwo, innowacje i długofalową konkurencyjność gospodarki. Im lepiej będziemy to rozumieć jako społeczeństwo, tym większa będzie szansa, że podobne mechanizmy staną się naturalnym elementem rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce.

Czy widzi pani kapitał żelazny jako praktykę, która z czasem stanie się bardziej powszechna?

Tak, uważam, że będzie coraz bardziej powszechna. Nie sądzę, by w krótkim czasie stała się standardem wszystkich uczelni, ale jestem przekonany, że jej znaczenie będzie rosło. Świat akademicki działa dziś w warunkach dużej zmienności, presji kosztowej, konkurencji o najlepszych studentów i naukowców, a także rosnącej potrzeby prowadzenia badań i projektów wykraczających poza logikę krótkoterminową. W takich warunkach trwałe źródła finansowania stają się niezwykle cenne.

Kapitał żelazny daje wolność strategicznego działania. Pozwala uczelniom planować szerzej, budować ambitniejsze cele i zachować ciągłość rozwoju mimo zmieniającego się otoczenia. W tym sensie widzę go jako jeden z ważnych kierunków myślenia o przyszłości polskich uczelni.

Po czym pozna pani, że projekt rozwijania kapitału żelaznego naprawdę się uda?

Po konkretnych efektach w życiu uczelni i ludzi, którzy ją tworzą. Sukcesem będzie moment, w którym zobaczymy, że dzięki wypracowanym zyskom więcej utalentowanych studentów mogło podjąć studia, więcej wybitnych naukowców związało swoją przyszłość z Akademią Leona Koźmińskiego, a uczelnia zyskała zdolność do prowadzenia projektów badawczych i rozwojowych, których wcześniej nie dałoby się sfinansować w tak odważny sposób.

Ale jest też drugi wymiar sukcesu. Będzie nim sytuacja, w której pytanie nie będzie już brzmiało, czy uczelni potrzebny jest kapitał żelazny, tylko jak stworzyć go mądrze i odpowiedzialnie. Jeśli uda się przesunąć w Polsce sposób myślenia o finansowaniu rozwoju uczelni, będzie to wartość nie tylko dla Akademii Leona Koźmińskiego, ale dla całego środowiska akademickiego.

Rozmawiała Paulina Łukaszk

Rozmowa z dr. hab. Sebastianem Skuzą, prof. uczelni na Uniwersytecie Warszawskim, ekonomistą i prawnikiem, byłym wiceministrem finansów i wiceministrem nauki, autorem koncepcji zmiany finansowania instytucji naukowych poprzez zastąpienie dotacji celowych subwencjami.

Dokapitalizować uczelnie publiczne

Warto tworzenie kapitału żelaznego uczelni publicznych poprzez dokapitalizowanie w formie obligacji wprowadzić jako zasadę do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, i równocześnie wpisać, że co roku co najmniej określony procent PKB jest przekazywane uczelniom w formie obligacji, a ich wartość dla każdego podmiotu jest ustalana algorytmem.

Czy polskie uczelnie mają jakiś kapitał podstawowy i czy wiemy jaka jest jego wartość?

Kapitał podstawowy to własne środki na finansowanie działalności, obecny w każdej jednostce prowadzącej działalność. Odzwierciedleniem tego kapitału w uczelni są np. nieruchomości czy też aparatura badawcza, i jest on wykazywany w sprawozdaniu finansowym uczelni. Z kapitałem tym wiąże się pewne wyzwanie. W ostatnich latach uczelnie podlegające Ministerstwu Nauki wykazywały ten kapitał, według sprawozdań finansowych, na poziomie około 37 miliardów złotych. To bardzo niewiele. Zaskoczyła mnie ta kwota. Moim zdaniem nie odzwierciedla ona właściwie wartości majątku uczelni. W mojej ocenie to skutek amortyzacji. Na pewno należałoby tę wartość uaktualnić poprzez nową realną wycenę.

Czy dobrze rozumiem, że pana intencją jest, by wzmocnić kapitał uczelni poprzez przekazanie im obligacji Skarbu Państwa?

Tak. Moją intencją jest budowanie kapitału żelaznego z wykorzystaniem instrumentu przekazywania uczelniom skarbowych papierów wartościowych. Czyli de facto państwo przekazywałoby nieodpłatnie uczelniom obligacje skarbowe na kapitał. Beneficjentem takiego dokapitalizowania byłyby uczelnie publiczne. Są to autonomiczne, niezależne państwowe osoby prawne. Jest zasadnicza różnica między uczelniami kręgu anglosaskiego i amerykańskiego, gdzie kapitały żelazne są powszechnie spotykaną praktyką, a uczelnie są prywatne. Również kultura tworzenia kapitału żelaznego, która w Wielkiej Brytanii była obecna od czasów średniowiecza, oraz jej wpływ na rynek brytyjski i amerykański stawiają nas w zupełnie innej sytuacji. Nie zbierzemy znaczących środków od absolwentów czy donatorów. Zatem uważam, że musimy w pierwszej kolejności oprzeć się na zasobach państwa. Żeby było jasne: nie wyobrażam sobie, że polskie uczelnie miałyby tak duże kapitały żelazne, jak uczelnie amerykańskie, i że finansowałyby się wyłącznie z korzyści pochodzących z ich inwestowania.

Taka sytuacja, czyli dokapitalizowanie uczelni publicznych obligacjami, w małej skali już miała miejsce.

Tak, pierwsza tego typu sytuacja miała miejsce, gdy były kładzione podwaliny pod reformę 2.0. W ustawie wprowadzającej przepisy Ustawy 2.0 sformułowano podstawę prawną (artykuł 310) do podziału między uczelnie obligacji skarbowych o wartości nominalnej 3 miliardów złotych. Pragnę podkreślić, że były one przekazane na kapitał, a nie na bieżące przychody uczelni. W przepisach powyższego artykułu znalazło się też zastrzeżenie, że środki ze sprzedaży tych papierów wartościowych mogą zostać przeznaczone wyłącznie na wydatki majątkowe lub na spłatę zadłużenia zaciągniętego na inwestycje. Zawarto tam również konieczność uzyskania zgody ministra finansów na sprzedaż obligacji przed terminem ich wykupu.

Skąd się wziął ten pomysł?

Gdy w latach 90. pracowałem w Ministerstwie Finansów, polski sektor bankowy był restrukturyzowany z wykorzystaniem mechanizmu nieodpłatnego przekazywania skarbowych papierów wartościowych celem wzmocnienia kapitałowego banków. Zajmowałem się też zawodowo przez wiele lat Bankiem Gospodarstwa Krajowego. Pod koniec lat 90. bank miał kapitał statutowy na poziomie około 160-170 milionów złotych. W roku 2008 mogło to być około 1,1-1,2 miliarda złotych. Aktualnie wartość kapitału statutowego BGK kształtuje się na poziomie ponad 34 miliardów złotych. To bardzo duży progres. Budowanie kapitału zajęło trochę czasu, ale należy podkreślić, że zdecydowana większość tego dokapitalizowania, myślę że około 20 miliardów złotych, miało formę nieodpłatnego przekazania skarbowych papierów wartościowych. W czasach, gdy byłem podsekretarzem stanu w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego i Nauki, udało się powielić ten sam schemat i instrument finansowy, który był stosowany do restrukturyzacji sektora bankowego i dokapitalizowania Banku Gospodarstwa Krajowego, do wzmocnienia sektora szkolnictwa wyższego. Tę myśl i praktykę należałoby kontynuować.

Uczelnie dostawały obligacje także po tej pierwszej transzy. Jakiego typu były te papiery skarbowe?

W ostatnich latach uczelnie zwykle otrzymywały mix obligacji, na przykład określony procent obligacji dwuletnich zerokuponowych (które nie generują odsetek), obligacji pięcioletnich i dziesięcioletnich. Papiery pięcioletnie i dziesięcioletnie generują dla uczelni wpływy odsetkowe. Pierwsze obligacje, przekazane uczelniom w 2019 roku, to były dwuletnie obligacje zerokuponowe, czyli nie naliczano i nie wypłacano od nich odsetek, ale po dwóch latach następował ich wykup, to jest środki przekazywano na konto uczelni. Obligacje przekazywane przez pierwsze lata dla laureatów pierwszego konkursu IDUB stanowiły wartość 11% zwiększonej subwencji, zamiast 10% zapisanych w Ustawie 2.0. Dodatkowe 10% wzrostu stanowiło bufor w przypadku, gdyby uczelnia chciała zbyć obligacje skarbowe przed terminem ich wykupu. Warunki rynkowe mogłyby wskazywać na konieczność zbycia obligacji z dyskontem.

Uważam, że podobnie jak niegdyś banki, tak teraz należałoby dokapitalizować uczelnie publiczne. Zakładam, że nie chodzi o jakąś wielką kwotę jednorazowo, ale można wprowadzić do ustawy algorytm podziału przekazywanych obligacji skarbowych analogiczny np. do podziału subwencji.

O jakich wartościach pan myśli?

To temat do pogłębionej dyskusji. Osobiście wartość przekazywanych corocznie obligacji odniósłbym do Produktu Krajowego Brutto – przykładowo 0,1 procenta PKB rocznie, to około 4 miliardów złotych. Oczywiście lepiej by było, gdyby udało się przekazać obligacje o wartości 0,2 procenta PKB, czyli około 8 miliardów złotych.

Niemniej 8 miliardów złotych to jest prawie 20% tego, co dzisiaj idzie z budżetu państwa na naukę i szkolnictwo wyższe.

Oczywiście, ale mówimy tu o kapitale. Co roku odkładamy taką kwotę, która osiada w kapitale, nie jest wydatkowana, ale przez 8-10 lat przynosi posiadaczom, czyli uczelniom, odsetki. Skoro obecnie mówimy o 37 miliardach złotych kapitału uczelni podległych MNiSW, to dodając po 8 miliardów rocznie, moglibyśmy w kilka lat ten kapitał podwoić. Myślę, że taka kwota naprawdę jest realna. To jest szczególnie ważne teraz, gdy nakłady na badania i rozwój spadają, z około 1,56 proc. PKB w 2023 roku do 1,41 proc. PKB w 2024, a perspektywy nie napawają optymizmem.

I co uczelnie będą z tego miały, co będą mogły zrobić z tym kapitałem, skoro on jest żelazny, czyli nienaruszalny?

Nie zakładam budowania kapitału, który byłby całkowicie nienaruszalny w formie instrumentów finansowych, tylko przez pewien okres. Środki z wykupu obligacji mogłyby zostać przeznaczone na inwestycje albo na spłatę już zaciągniętych kredytów inwestycyjnych, bądź utrzymywane w bezpiecznych instrumentach finansowych, a uczelnie czerpałyby korzyści z inwestowania. Stworzeniem kapitału żelaznego nie załatwimy wszystkich bolączek polskiej nauki, ale zbudujemy coś, co tworzy wysoki bufor na przyszłość, co pozwala myśleć o uczelni w perspektywie dłuższej niż jedna czy dwie kadencje rektora. Myślę, że przez te początkowe – nazwijmy je pilotażowymi – lata obcowania z obligacjami uczelnie nauczyły się już z nich korzystać.

Czy do realizacji pańskiego pomysłu potrzebne są zmiany w prawie?

Tak, zmiany prawne są niezbędne. Pierwsze obligacje przekazano uczelniom na podstawie ustawy o przepisach wprowadzających ustawę Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce



Fot. UNIF

z 2018 roku. Później możliwość przekazywania obligacji także pokazywała się w prawie. W 2020 roku w ustawie o budżecie zapisano możliwość przekazywania papierów skarbowych laureatom konkursu IDUB. Było też takie upoważnienie w samych przepisach ustawy budżetowej. W roku bieżącym premier na podstawie ustawy o budżecie na rok 2026 może dokapitalizować każdą dowolnie wybraną państwową osobą prawną, a uczelnie publiczne należą do tej grupy, i ma na to ustawowy limit, ogółem 1 mld złotych. Jednak warto wprowadzić tworzenie kapitału żelaznego uczelni publicznych poprzez dokapitalizowanie w formie obligacji jako zasadę do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce i równocześnie wpisać do tego aktu, że co roku określony procent PKB jest przekazywany uczelniom w formie obligacji, a ich wartość dla każdego podmiotu jest ustalana algorytmem. Chodzi o to, żeby to było rozwiązanie systemowe, a nie działania uznaniowe.

Gdyby już do tego doszło, to jaka jest granica dokapitalizowania uczelni, jaka jest perspektywa?

Proponowałbym po prostu wzmacniać uczenie permanentnie. Przykładowo, teraz mamy w ustawie mechanizm minimalnej subwencji. Podobnie mógłby funkcjonować mechanizm wzmacniania kapitału żelaznego uczelni.

To znaczy, że państwo zadłużałoby się, aby dokapitalizować uczelnie?

Skarb Państwa emitowałby dług. Jednak muszę powiedzieć, że dopóki uczelnia nie sprzedawała tych obligacji i byłyby one na bilansie uczelni, to poprzez mechanizm konsolidacji w jednostkach sektora finansów publicznych nie powodowałyby to pogorszenia relacji państwowego długu publicznego do PKB.

Czyli one nie powiększałyby państwowego długu publicznego?

Dokładnie tak – poprzez mechanizm konsolidacji. Dopóki obligacje skarbowe znajdowałyby się na bilansach uczelni, powiększałyby dług Skarbu Państwa, ale nie powiększałyby

długu publicznego. Podam przykład: gdyby uczelnie miały wolne własne środki i nabyły obligacje skarbowe, to mamy do czynienia z finansowaniem potrzeb pożyczkowych państwa wewnątrz sektora finansów publicznych, a to nie powoduje wyjścia długu poza sektor. To znaczy, że nie pokazujemy zadłużenia sektora publicznego w tym sektorze.

Kiedy można lub należałoby zacząć to robić?

Moim zdaniem jak najszybciej. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, jak trudno jest zmieniać ustawę, zwłaszcza gdy chodzi o działania mające skutki finansowe. Ale moim zdaniem warto.

Czy to by były te obligacje, które przynoszą bieżące odsetki?

To już byłaby decyzja wykonawcza ministra finansów. Myślę, że gdyby zostało przesądzone przyjęcie takiego rozwiązania, minister kontynuowałby dotychczasową praktykę, to jest obligacje byłyby przekazywane w zdywersyfikowanym pakiecie, o jakim mówiłem wcześniej.

Pojawiła się też propozycja emitowania obligacji przez uczelnie. Czy to możliwe?

Ustawa o obligacjach stanowi, kto może emitować obligacje, a katalog podmiotowy nie wymienia wprost uczelni. Z kolei z generalnego zapisu tej ustawy wynika, że może to robić każda osoba prawna, która prowadzi działalność gospodarczą. Trzeba wypełnić te dwa warunki. I tu powstaje wątpliwość prawna co do działalności gospodarczej prowadzonej przez uczelnie: czy ta działalność musi być prowadzona bezpośrednio, czy pośrednio; jaka musi być jej skala, np. czy okazjonalne wynajmowanie powierzchni można uznać za prowadzenie takiej działalności? Nie ma co do tego pewności. Natomiast nie ma przeciwskażeń natury prawnej co do możliwości zaciągania przez uczelnie kredytów. Czy zatem uczelnie, zwłaszcza te większe, które mają możliwości i zaplecze finansowe, nie powinny mieć możliwości emisji obligacji? Z rozmów z rektorami i kanclerzami niektórych uczelni wynika, że zadłużenie w takiej formie nie wpłynęłoby negatywnie na finanse uczelni, a mogłoby pomóc uzyskać środki tu i teraz. Moim zdaniem, jak najbardziej jest zasadne, żeby tę możliwość odblokować.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Rys. Sławomir Makal

Opowiedzieć folk

W maju 1996 roku ukazał się pierwszy numer czasopisma, mającego wówczas formę biuletynu, „Gadki z Chatki”. Chatka wskazywała na Chatkę Żaka (dziś Akademickie Centrum Kultury i Mediów Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej), czyli miejsce, w którym działała (i do dziś działa) Orkiestra Świętego Mikołaja, znany już wtedy zespół folkowy, organizator festiwalu Mikołajki Folkowe, ale także instytucję, która jest do dziś współwydawcą periodyku. Drugim (pierwszym) jest Stowarzyszenie Animatorów Ruchu Folkowego, odpowiedzialne także za wspomniany festiwal. Członkowie zespołu byli też inicjatorami utworzenia, pierwszymi redaktorami i autorami czasopisma. Nie traktowali pisma jako zabawy, ale coś bardzo poważnego i potrzebnego, gdyż nie znaleźli jego odpowiednika na rynku, a widzieli i odczuwali rosnące zainteresowanie problematyką folkową. Wspominają, że nie było nawet (to było przed czasami internetu) zebranych w jednym miejscu informacji o wydarzeniach folkowych w Polsce. Ta konstatacja walczy przyczyniła się do powołania czasopisma. Od pierwszego numeru „Gadki” miały numer ISSN. „Nikt o folku nie pisał, więc postanowiliśmy sami pisać o sobie” – mówi Agnieszka Matecka, jedna z założycielek periodyku, autorka, redaktorka i... menedżerka Orkiestry Świętego Mikołaja.

„Oto macie przed sobą pierwszy numer gazety folkowej. Jest to periodyk, na łamach którego zajmować będziemy się szeroko rozumianym pojęciem folku, czyli działaniami inspirowanymi przez kulturę ludową” – pisał w pierwszym wstępie redakcyjnym Radosław Zalewski. Te słowa do dziś trafnie oddają charakter czasopisma. Autorami tego numeru byli także Bogdan Bracha, Agnieszka Matecka-Skrzypek, Marcin Skrzypek, Magda Opoka i Katarzyna Tarkowska. Czasopismo rozwijało się, dorabiając się własnego layoutu (doliczyłem się pięciu a może nawet sześciu wersji w ciągu trzydziestu lat), grona autorów, linii redakcyjnej – stale rozwijanej. Pod tytułem „Gadki z Chatki” czasopismo ukazywało się do grudnia 2014 roku, czyli do numeru 115. Kolejny zeszyt, numerowany podwójnie jako 116-117, ukazał się w kwietniu 2015 roku pod nowym tytułem „Pismo Folkowe” (z nowym layoutem i numerem ISSN, co oczywiste). Zachowano problematykę i ciągłą numerację, która wskazywała, że „Gadki z Chatki” nie zniknęły, ale się zmieniły, dojrzały we wszystkich możliwych aspektach. Jak mówi A. Matecka: „Z gazetki informacyjnej, stały się periodykiem opinii”. Co jednak ciekawe, poszukiwania dobrego określenia na to, co i w jakiej formule przedstawia czasopismo, trwały od samego początku. Na okładkach numerów 1-8 „Gadek z Chatki” znajdujemy podtytuł „Gazeta Folkowa”, numery 9-25 oznaczone są jako „Biuletyn Folkowy” (to zapewne było nawiązanie do formy graficznej), a wreszcie, już w numerze 26/2000, pojawia się podtytuł „Pismo Folkowe”, który potem stał się po prostu tytułem. Układ graficzny tytułu i podtytułu przewrotnie pozwalał odczytywać go jako

„Gadki Folkowe. Pismo z Chatki” – brawa dla grafika, nawet jeśli to nie on był autorem tego pomysłu.

„Pismo” wciąż jeszcze ukazywało się w wersji czarno-białej. W pełnym kolorze pokazało się na rynku wraz z numerem 1-2/2021. Na trzydziestolecie ukazał się numer 178/2026. W praktyce te 178 numerów ukazało się w 151 zeszytach, bowiem 27 wydań miało podwójną numerację. Każdego roku ukazywało się 4-5 zeszytów.

Jak każdy periodyk, tak i „Pismo Folkowe” ma działy. Nie wymienię wszystkich, jakie pojawiały się w trzydziestoletniej historii (było ich kilkadziesiąt), ale warto wskazać, co mieści się pomiędzy okładkami. Obecnie każdy numer otwiera „Sonda”, w której prominentni artyści, naukowcy zajmujący się folkiem czy animatorzy ruchu folkowego wypowiadają się na postawione przez redakcję tematy, oczywiście związane z kulturą tradycyjną. Treść czasopisma wypełniają wywiady z artystami, badaczami, artykuły o wydarzeniach artystycznych, tradycjach ludowych, instrumentach. Nie tylko krajowych, ale także na świecie. Poszczególne numery mają tematy dominujące, a bywają nimi kultury ludowe czy muzyka ludowa innych krajów. Prezentowane i recenzowane są płyty, książki i wydarzenia nurtu folkowego.

Periodyk, choć mocno osadzony w środowisku naukowym, nie znajduje się na ministerialnej liście czasopism punktowanych. Ma jednak radę naukową złożoną z 9 badaczy z UMCS, KUL, UJ, Instytutu Sztuki PAN i Uniwersytetu Wileńskiego. Wśród autorów periodyku jest wielu naukowców. Wspomnieć chciałbym zwłaszcza prof. Jerzego Bartmińskiego z UMCS, nieżyjącego od paru lat koryfeusza polskiej etnolingwistyki, związanego także z poszukiwaniami ludoznawczymi Orkiestry Świętego Mikołaja i Mikołajkami Folkowymi.

Redakcję ścisłą – „lubelską” – tworzą: dr Agata Kusto (redaktorka naczelna), Agnieszka Matecka-Skrzypek i Damian Gocół (z-cy naczelnej) oraz Agnieszka Góra-Stępień, Bogdan Bracha, Małgorzata Wielgosz i Wojciech Bernatowicz. Redakcja ma stałych współpracowników w Warszawie i Poznaniu.

Bogdan Bracha, twórca i lider Orkiestry Świętego Mikołaja, uważa, że cennym dorobkiem „Pisma Folkowego”, którego nie da się podważyć, jest to, że stanowi ono gigantyczne archiwum informacji o tym, co działo się przez ostatnie trzy dekady w polskim folku, czyli części kultury inspirowanej twórczością ludową. Gdyby nie było „Pisma”, byłibyśmy ubożsi o wiedzę o tym, jak wyglądało odrodzenie zainteresowania muzyką tradycyjną i innymi tradycyjnymi formami wypowiedzi artystycznej. Ja bym dodał, że nie tylko o wiedzę chodzi, ale także o rozumienie, czym folk jest, jakie były drogi jego odkrywania i rozwoju, a w niemałym stopniu także poznania naukowego tego żywego nurtu kultury.

Piotr Kieraciński



Rozmowa z dr. hab. inż. Jarosławem Protasiewiczem,
dyrektorem Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego

Od informacji do innowacji

Nowa strategia zakłada wdrożenie spójnej polityki naukowej obejmującej ścieżki rozwoju osób prowadzących działalność badawczą. Polityka ta zapewni równowagę między działalnością operacyjną a naukową, wzmocni synergię badań z wdrożeniami oraz stworzy zachęty do publikowania wyników na podstawie projektów operacyjnych.

Zacznijmy od spojrzenia wstecz. Jak ocenia pan realizację poprzedniej strategii OPI i czym zasadniczo różni się ona od nowej?

Dotychczasowa strategia na lata 2021–2025 skupiała się na ekstensywnej rozbudowie portfolio produktowego i usługowego, zdobywaniu know-how w nowych obszarach, takich jak AI oraz dywersyfikacji źródeł przychodu poprzez pozyskiwanie nowych projektów i finansowania. Choć doprowadziło to do dynamicznego wzrostu OPI pod względem finansowym i kadrowym oraz zwiększenia oferty usług i produktów, rozwój ten w niektórych obszarach miał charakter ekstensywny – tworzone coraz więcej systemów informatycznych bez wystarczającej konsolidacji, automatyzacji czy poprawy interoperacyjności. W nowym horyzoncie strategicznym na lata 2026–2031 OPI przechodzi do etapu rozwoju intensywnego, który wzmacnia dojrzałość organizacyjną i technologiczną. Rozwój intensywny będzie się koncentrował na optymalizacji, automatyzacji i innowacjach, dążąc do zwiększenia efektywności bez konieczności proporcjonalnego zwiększania zasobów. Przykłady takich działań to wdrożenie AI, konsolidacja istniejących systemów oraz automatyzacja kluczowych procesów wytwórczych.

Jakie są najważniejsze cele nowej strategii OPI?

Nowa strategia Ośrodka Przetwarzania Informacji koncentruje się na budowie nowoczesnej, odpornej i dojrzałej organizacji, zdolnej do działania w dynamicznym środowisku technologicznym. Kluczową rolę odgrywają w niej dane, informacja oraz sztuczna inteligencja. Chciałbym, aby nasz instytut jeszcze skuteczniej wspierał realizację polityki publicznej w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego. Strategia obejmuje siedem głównych celów, które wyznaczają kierunki rozwoju OPI. Należą do nich m.in. osiągnięcie dojrzałości organizacyjnej oraz umocnienie pozycji jako dostawcy centralnych e-usług dla nauki. Planujemy także rozwój instytutu jako lidera badań w obszarze IT i sztucznej inteligencji oraz budowę pozycji centrum wiedzy o nauce. Nowa strategia zakłada wdrożenie spójnej polityki naukowej obejmującej ścieżki rozwoju osób prowadzących działalność badawczą. Polityka ta zapewni równowagę między działalnością operacyjną a naukową, wzmocni synergię badań z wdrożeniami oraz stworzy zachęty do publikowania wyników na podstawie projektów operacyjnych. Istotne są również stabilne finansowanie, rozwój infrastruktury naukowej oraz troska o kompetencje i dobrostan pracowników. Realizacja tych celów będzie wspierana przez konkretne projekty wdrożeniowe.

W nowej strategii pojawia się Centrum Badań nad Nauką i Szkolnictwem Wyższym, które ma rozpocząć działalność w czerwcu 2026 roku. Jaką rolę będzie ono pełnić?

To jedno z kluczowych przedsięwzięć naszej nowej strategii. Centrum Badań nad Nauką i Szkolnictwem Wyższym ma być miejscem, w którym łączą się kompetencje analityczne, badawcze i technologiczne. Jego zadaniem będzie prowadzenie pogłębionych analiz dotyczących funkcjonowania systemu nauki, oceny efektywności różnych instrumentów polityki publicznej oraz identyfikowania trendów i wyzwań. Chcemy, aby nowa jednostka OPI była zapleczem eksperckim dla administracji publicznej, ale także partnerem dla środowiska akademickiego. Ważnym aspektem będzie również rozwijanie metodologii badań opartych na dużych zbiorach danych oraz ich wizualizacji w sposób przystępny dla decydentów. Liczymy, że działalność centrum przyczyni się do bardziej świadomego i opartego na danych zarządzania nauką w Polsce.

Kolejną jednostką ma być Centrum Informatyczne Nauki. Czym będzie się ono zajmować?

Ośrodek Przetwarzania Informacji widzę jako Centrum Informatyczne Nauki. Będzie ono odpowiedzialne za rozwój i utrzymanie kluczowych systemów informatycznych wspierających naukę i szkolnictwo wyższe. Jednak jego rola nie ograniczy się do funkcji technicznych. Chcemy, aby było to miejsce, w którym powstają nowoczesne rozwiązania technologiczne odpowiadające na realne potrzeby użytkowników. OPI ma być miejscem integrującym zasoby infrastrukturalne, kompetencje technologiczne i eksperckie, stanowiące serce transformacji cyfrowej polskiego szkolnictwa wyższego. Centrum będzie przestrzenią współpracy dla zespołów IT, analityków danych, projektantów UX i ekspertów z sektora nauki, wspólnie rozwijających rozwiązania o charakterze strategicznym. Będzie ono również rozwijać kompetencje w zakresie przetwarzania dużych zbiorów danych, cyberbezpieczeństwa oraz integracji systemów. Istotnym zadaniem będzie także zapewnienie wysokiej jakości usług cyfrowych dla instytucji naukowych oraz administracji publicznej.

Jak nowa strategia wpisuje się w szerszy kontekst cyfryzacji państwa?

Nasza strategia jest spójna z kierunkami rozwoju cyfryzacji państwa, w szczególności w zakresie wykorzystania danych i sztucznej inteligencji. OPI od lat pełni istotną rolę w tym obszarze, a teraz chcemy ją jeszcze wzmocnić. Zakładamy

rozwój interoperacyjności systemów, co oznacza łatwiejszą wymianę danych między różnymi instytucjami. Chcemy również wspierać tworzenie standardów i dobrych praktyk w zakresie zarządzania danymi. Ważnym elementem jest także zwiększenie dostępności usług cyfrowych dla użytkowników końcowych, w tym naukowców, studentów i administracji. Nasze działania mają przyczyniać się do wzmacniania nowoczesnego, efektywnego i przejrzystego państwa.

Jaką rolę w realizacji strategii odegra sztuczna inteligencja?

Sztuczna inteligencja będzie jednym z kluczowych narzędzi wspierających realizację naszych celów. Planujemy jej wykorzystanie przede wszystkim w analizie danych, automatyzacji procesów oraz tworzeniu nowych usług dla użytkowników. Dzięki AI możliwe będzie na przykład identyfikowanie trendów w nauce, analiza dorobku naukowego czy wspieranie procesów ewaluacyjnych. Jednocześnie jesteśmy świadomi wyzwań związanych z wykorzystaniem tych technologii, choćby takich jak kwestie etyczne czy bezpieczeństwo danych. Dlatego dużą wagę przykładamy do odpowiedzialnego wdrażania rozwiązań opartych na sztucznej inteligencji, zgodnie z obowiązującymi standardami i regulacjami.

Jakie zmiany odczują użytkownicy systemów tworzonych przez OPI?

Ambicją OPI, wyrażoną w naszej strategii na lata 2026–2031, jest umocnienie pozycji instytutu jako głównego dostawcy centralnych usług cyfrowych dla polskiej nauki i szkolnictwa wyższego. Od ponad trzech dekad tworzymy, utrzymujemy i rozwijamy kluczowe systemy informatyczne dla administracji publicznej, uczelni, instytutów badawczych i obywateli, zapewniając dostęp do rzetelnych danych, nowoczesnych narzędzi oraz usług cyfrowych o znaczeniu strategicznym dla państwa. Realizacja tego celu strategicznego stanowi bezpośrednią odpowiedź na rosnące oczekiwania użytkowników, dynamiczny rozwój technologii oraz potrzebę dalszej cyfrowej transformacji sektora nauki. Dzięki realizacji nowej strategii, użytkownicy powinni przede wszystkim zauważyć większą spójność i intuicyjność systemów. Dążymy do tego, aby korzystanie z naszych usług było jak najprostsze i najbardziej efektywne. Planujemy wprowadzenie nowych funkcjonalności, które ułatwią dostęp do danych i ich analizę, a także poprawią komunikację między różnymi systemami. Chcemy, aby nasze rozwiązania były nie tylko funkcjonalne, ale także przyjazne i dostępne dla wszystkich użytkowników. Do 2031 roku OPI planuje także uruchomić minimum pięć nowych ogólnopolskich usług cyfrowych, które będą wspierać uczelnie, jednostki naukowe, administrację oraz obywateli w dostępie do informacji, raportowaniu, analizie danych i procesach edukacyjnych.

OPI posiada status Państwowego Instytutu Badawczego, uzyskało kategorię naukową. Jakie jest miejsce działalności badawczej w tej strategii?

Nasza nowa strategia zakłada dalszy rozwój badań w obszarze informatyki technicznej i telekomunikacji, ze szczególnym naciskiem na rozwiązania o wysokim potencjale wdrożeniowym. Instytut będzie rozwijał badania dotyczące systemów informatycznych, sztucznej inteligencji oraz współpracy człowieka z technologią. Ważnym kierunkiem pozostaną zagadnienia związane z analizą dużych zbiorów danych, cyberbezpieczeństwem, architekturą systemów oraz nowoczesnymi metodami wytwarzania oprogramowania. OPI to nie tylko nauki informatyczne, nowa strategia zakłada także ambitne cele w zakresie nauk społecznych. Nasi naukowcy będą rozwijać m.in. badania naukometryczne, analizy jakościowe i ilo-



Fot. OPI-PIB

ściowe dotyczące nauki i szkolnictwa wyższego oraz monitoring karier absolwentów. Strategia zakłada wzrost liczby publikacji wysoko punktowanych. Efektem tych działań będzie otrzymanie kategorii równoważnej z najwyższą A lub A+ zarówno w naukach socjologicznych, jak i informatyce technicznej i telekomunikacji. Jednocześnie planowane jest stopniowe poszerzanie zakresu badań o zagadnienia związane z zarządzaniem i jakością w nauce i szkolnictwie wyższym, co może prowadzić do utworzenia w OPI nowej dyscypliny – nauki o zarządzaniu i jakości. Podsumowując nasze cele naukowe: do roku 2031 OPI ugruntuje swoją pozycję jako interdyscyplinarny ośrodek badań o wysokiej jakości, rozpoznawalny w kraju i za granicą, systematycznie zwiększający wpływ swoich badań na rozwój nauki, edukacji i praktyki wdrożeniowej.

Kto i w jaki sposób tworzył ten dokument?

Strategia została opracowana przy dużym zaangażowaniu pracowników OPI. Ich doświadczenie i znajomość codziennych wyzwań pozwoliły, jak sądzę trafnie, określić potrzeby rozwojowe organizacji. Dzięki temu dokument zawiera realistyczne i jednocześnie ambitne rozwiązania. Wspólne wypracowanie strategii zwiększa jej użyteczność i szanse skutecznej realizacji. Wzmacnia także poczucie współodpowiedzialności za jej wdrażanie wśród kadry.

Jak wyobraża pan sobie OPI po zakończeniu realizacji tej strategii?

Widzę OPI jako nowoczesną, dynamiczną organizację, która łączy kompetencje technologiczne i badawcze, a jednocześnie odgrywa kluczową rolę w systemie nauki i szkolnictwa wyższego. Chcemy być instytucją, która nie tylko dostarcza narzędzia, ale także aktywnie wspiera rozwój polityk publicznych i podejmowanie decyzji opartych na danych. Mam nadzieję, że dzięki realizacji strategii uda nam się zbudować silną pozycję zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Najważniejsze jest jednak to, aby nasze działania realnie przyczyniały się do rozwoju sektora szkolnictwa wyższego i nauki i wspierały jego funkcjonowanie.

Rozmawiał Sławomir Rybka

Między oceną a rozwojem nauki

W poszukiwaniu równowagi

Analiza funkcjonowania systemu nauki wymaga podejścia interdyscyplinarnego, obejmującego perspektywę psychologiczną, socjologiczną, ekonomiczną oraz zdrowotną. Pozwala to pełniej rozpoznać zarówno mechanizmy jego działania, jak i ich konsekwencje dla jednostek oraz całych środowisk.

Niniejszy tekst nie ma charakteru krytyki obowiązującego systemu ewaluacji działalności naukowej. Stanowi próbę spokojnego namysłu nad warunkami prowadzenia badań i sposobami interpretacji ich rezultatów. Jest także wyrazem uznania dla osób i środowisk, które przez lata angażowały się w rozwój nauki i szkolnictwa wyższego, często również poza formalnymi obowiązkami. Obecny model jest efektem tych działań, podejmowanych w zmieniających się warunkach oraz przy różnych doświadczeniach instytucjonalnych i badawczych. Celem niniejszych rozważań jest zarysowanie możliwych kierunków dalszej refleksji, bez formułowania jednoznacznych rozstrzygnięć.

Porównywalność

W wielu obszarach życia społecznego podejmuje się próby uwzględniania zróżnicowanych warunków wyjściowych, tak aby wynik w większym stopniu odzwierciedlał przygotowanie i kompetencje, a w mniejszym przewagę wynikającą z punktu startu. Może to stanowić punkt wyjścia do refleksji nad interpretacją osiągnięć naukowych. W praktyce funkcjonowania nauki widoczne jest bowiem wyraźne zróżnicowanie warunków prowadzenia badań. Poszczególne ośrodki akademickie działają w odmiennych realiach organizacyjnych, infrastrukturalnych i finansowych. W jednych przypadkach dostęp do aparatury i finansowania jest szeroki, w innych pozostaje ograniczony. Różnice te wynikają najczęściej z uwarunkowań historycznych i strukturalnych, a nie z poziomu zaangażowania badaczy.

W konsekwencji możliwości realizacji projektów tempo ich rozwoju oraz zakres osiąganych rezultatów mogą się istotnie różnić. Ocena dorobku naukowego powinna zatem zachowywać przejrzystość i porównywalność, a jednocześnie uwzględniać rzeczywiste warunki prowadzenia badań. Oznacza to potrzebę równoważenia aspektów merytorycznych z uwarunkowaniami organizacyjnymi, ekonomicznymi i społecznymi,

a także z czynnikami trudniej mierzalnymi, takimi jak presja instytucjonalna, dostęp do czasu na badania, stabilność zatrudnienia czy zmienność oczekiwań wobec środowiska naukowego.

Kontekst finansowy

System nauki funkcjonuje w warunkach ograniczonych zasobów, co nadaje działalności badawczej wyraźny wymiar ekonomiczny. Finansowanie badań, utrzymanie infrastruktury, dostęp do aparatury, koszty publikacji i możliwości mobilności naukowej wpływają bezpośrednio na zakres oraz tempo realizowanych prac badawczych. Osiągnięcia naukowe pozostają więc w pewnym stopniu powiązane z dostępnością środków finansowych i zapleczem organizacyjnym. W tle oceny obecny jest nie tylko poziom merytoryczny wyników, lecz także skala nakładów umożliwiających przeprowadzenie badań oraz upowszechnienie ich rezultatów. W tym sensie interpretacja dorobku naukowego pozostaje związana z szerszym kontekstem gospodarczym i instytucjonalnym. Trudno oczekiwać porównywalnych efektów badań naukowych, jeśli nie towarzyszą im porównywalne warunki finansowania.

Istotną rolę odgrywają programy finansowania badań realizowane przez Narodowe Centrum Nauki, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju oraz instrumenty europejskie, w tym program Horizon Europe i granty European Research Council. Ich znaczenie dla rozwoju nauki pozostaje kluczowe, jednak wysoki poziom konkurencji sprawia, że wsparcie otrzymuje jedynie ograniczona część wniosków. W rezultacie wiele koncepcji badawczych nie znajduje możliwości realizacji nie z powodu braku potencjału, lecz z powodu ograniczonej dostępności środków.

Sytuacja ta pogłębia zróżnicowanie możliwości prowadzenia badań. Uczestnictwo w projektach finansowanych zewnętrznie sprzyja dalszemu rozwojowi, zapewniając dostęp do infrastruktury, zespołów badawczych i kolejnych źródeł finansowa-

nia. Jednocześnie osoby i zespoły, które z różnych powodów nie uczestniczą w takich projektach, mają mniejsze możliwości rozwijania własnych koncepcji badawczych. Powstaje więc mechanizm, w którym dostęp do środków sprzyja jego dalszemu zwiększaniu, natomiast brak takiego dostępu może utrudniać wejście do głównego nurtu działalności badawczej. Dotyczy to szczególnie osób znajdujących się pomiędzy etapem wczesnej kariery a pozycją w pełni ugruntowaną.

Ryzyko

Badania naukowe z natury rzeczy wiążą się z niepewnością wyniku. Ocena projektów opiera się na wiedzy eksperckiej i przewidywaniach dotyczących ich potencjalnego znaczenia. W przypadku badań o wysokim stopniu innowacyjności ryzyko niepowodzenia stanowi naturalny element procesu poznawczego. Zdarza się jednak, że wizja badawcza wykracza tak daleko poza aktualne kierunki rozwoju dyscypliny, iż trudno ją jednoznacznie osadzić w obowiązujących ramach interpretacyjnych i priorytetach finansowania. W takich sytuacjach projekty, mimo potencjalnej wartości poznawczej, mogą mieć ograniczone możliwości uzyskania wsparcia.

Dlatego istotne staje się zachowanie równowagi pomiędzy wspieraniem kierunków badań zgodnych z aktualnymi trendami a pozostawieniem przestrzeni dla koncepcji bardziej odległych od dominujących nurtów. Nadmierna koncentracja na obszarach już ugruntowanych może sprzyjać stabilności systemu, lecz zarazem ograniczać jego zdolność do generowania przełomowych idei. Rozwój nauki wymaga nie tylko doskonalenia istniejących rozwiązań, ale także otwartości na podejścia, których znaczenie ujawnia się dopiero w dłuższej perspektywie.

Zmienność uwarunkowań

Istotnym elementem pozostaje również zmienność samego systemu nauki w czasie. Kryteria oceny, priorytety finansowania oraz dominujące kierunki badań ulegają stopniowym przekształceniom pod wpływem rozwoju technologii, zmieniających się potrzeb społecznych oraz trendów międzynarodowych. Oznacza to, że działalność naukowa oceniana jest nie tylko w odniesieniu do jakości badań, lecz także w kontekście aktualnych uwarunkowań i oczekiwań, które nie mają charakteru trwałego.

To, co w określonym momencie uchodzi za szczególnie wartościowe i perspektywiczne, po upływie lat może być interpretowane inaczej. Nie powinno to być postrzegane wyłącznie jako błąd, lecz jako element ryzyka wpisanego w proces poznawczy. Ocena dokonywana po czasie może różnić się od tej, która towarzyszyła podejmowaniu decyzji o realizacji badań czy finansowaniu projektów. Z tego względu ocenę warto traktować nie jako jednorazowe rozstrzygnięcie, lecz jako proces, który wraz z rozwojem nauki może podlegać reinterpretacji.

Zjawisko to pozostaje powiązane z obecnością tzw. mód naukowych, które kierują uwagę środowiska na określone obszary badawcze oraz formy ich upowszechniania. Sprzyja to koncentracji wysiłku wokół tematów uznawanych za szczególnie istotne i widoczne w obiegu międzynarodowym, lecz może jednocześnie ograniczać dostrzegalność badań rozwijanych w sposób bardziej długofalowy lub mniej zgodny z dominującymi kierunkami.

Publikowanie

Widoczność wyników badań pozostaje silnie powiązana z kanałami ich publikowania oraz standardami identyfikacji i indeksowania. Publikacje obecne w międzynarodowych bazach danych, wyposażone w trwałe identyfikatory i funkcjonujące w uznanych obiegach wydawniczych są łatwiej odnaj-

dywane, analizowane i cytowane. Jednocześnie opracowania publikowane w lokalnych wydawnictwach, w tym monografie wydawane przez krajowe uczelnie, mogą pozostawać poza głównymi systemami indeksowania lub być w nich reprezentowane w ograniczonym zakresie. W konsekwencji ich widoczność w globalnym obiegu naukowym ulega zmniejszeniu niezależnie od wartości merytorycznej.

Nie oznacza to jednak braku znaczenia takich publikacji. Wydawnictwa uczelniane pełnią istotną funkcję w systemie nauki, wspierając rozwój lokalnych środowisk badawczych i upowszechniając wyniki badań ważnych z punktu widzenia regionu, gospodarki lokalnej lub specyfiki danej społeczności. Zwiększone ukierunkowanie na publikowanie w czasopiśmie o zasięgu globalnym sprzyja umiędzynarodowieniu nauki i podnosi jej widoczność, jednak nie zawsze pozostaje w pełnej zgodności z potrzebami lokalnych społeczności, w których funkcjonują uczelnie. Pojawia się zatem potrzeba zachowania równowagi pomiędzy obecnością w globalnym obiegu naukowym a utrzymaniem społecznej i regionalnej funkcji uczelni.

Transparentność

W refleksji nad oceną działalności naukowej ważne miejsce zajmuje także przejrzystość procesu ewaluacji. Ocena dorobku nie dotyczy wyłącznie efektów końcowych w postaci publikacji i wskaźników bibliometrycznych, lecz obejmuje szerszy kontekst warunków prowadzenia badań, dostępności zasobów i możliwości organizacyjnych. Zwiększenie dostępności informacji o sposobie podejmowania decyzji, na przykład poprzez udostępnianie recenzji po zakończeniu procesu, mogłoby sprzyjać lepszemu zrozumieniu mechanizmów ewaluacyjnych i budowaniu zaufania w środowisku naukowym. Rozwiązania takie wymagałyby jednak szczególnej staranności, tak aby zwiększanie przejrzystości nie prowadziło do naruszenia godności uczestników procesu ani do osłabienia zaufania w środowisku naukowym.

Można również rozważać szerszą dostępność informacji dotyczących projektów, którym przyznano finansowanie, i tych, które go nie uzyskały, a także artykułów przyjętych i odrzuconych w procesach wydawniczych. Przy zachowaniu zasad poufności i ochrony danych mogłoby to przyczynić się do lepszego rozumienia standardów oceny oraz ograniczania niepewności towarzyszącej przygotowywaniu kolejnych wniosków i publikacji.

Niepotrzebna robota?

Przygotowanie projektu badawczego lub artykułu naukowego wiąże się z istotnym nakładem czasu i pracy, często obejmującym wiele tygodni lub miesięcy zaangażowania. W warunkach wysokiej konkurencji część tych działań nie prowadzi do uzyskania finansowania lub publikacji. W efekcie znaczna liczba godzin pracy badawczej i organizacyjnej pozostaje niewidoczna w standardowych systemach oceny, mimo że stanowi istotny element funkcjonowania nauki. Z tego względu także sam proces pozyskiwania środków finansowych zasługuje na uwzględnienie w szerszej refleksji nad oceną działalności naukowej.

Istotnym obszarem pozostaje współpraca nauki z otoczeniem gospodarczym. Przedsiębiorstwa funkcjonują w warunkach konkurencji i koncentrują się na efektywności ekonomicznej, ochronie wyników prac oraz budowaniu przewagi rynkowej. Z kolei działalność naukowa opiera się na poszukiwaniu wiedzy, jej weryfikacji i upowszechnianiu. Różnice te prowadzą do odmiennych oczekiwań wobec współpracy. Partnerzy gospodarczy zazwyczaj koncentrują się na użyteczności, kosztach, poziomie ryzyka oraz przewidywanym czasie zwrotu

inwestycji, natomiast środowisko naukowe częściej ocenia te same działania przez pryzmat wartości poznawczej, poprawności metodologicznej, możliwości publikacji oraz dalszego rozwoju badań. Wypracowanie rozwiązań uwzględniających specyfikę obu podejść wymaga jasnego określenia zasad współpracy, równoważenia potrzeby ochrony wyników z możliwością ich publikowania oraz budowania świadomości komplementarności obu funkcji.

Wspólnota

System nauki funkcjonuje także jako środowisko społeczne, w którym mechanizmy ewaluacyjne oddziałują na codzienną pracę badaczy. Kształtują relacje, sposób współpracy, poczucie stabilności zawodowej oraz kierunki planowania kariery. Działalność naukowa coraz częściej odbywa się w warunkach wysokiej intensywności pracy, rosnących oczekiwań publikacyjnych i ciągłego porównywania osiągnięć. Presja związana z koniecznością uzyskiwania publikacji, pozyskiwania finansowania oraz utrzymywania określonej pozycji w systemie ewaluacyjnym staje się istotnym elementem codziennego funkcjonowania pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych.

Warto przy tym dostrzec naturalną zmienność intensywności pracy i osiągnięć w czasie. Podobnie jak w innych dziedzinach wymagających wysokiego zaangażowania, okresy intensywnej aktywności mogą przeplatać się z etapami pogłębionej analizy, przygotowywania nowych koncepcji czy większego zaangażowania w dydaktykę. Wymaganie stałego utrzymywa-

nia wysokiej dynamiki publikacyjnej lub projektowej w każdym kolejnym okresie oceny może pozostawać w napięciu z naturą pracy badawczej, która często wymaga czasu, koncentracji oraz etapów mniej widocznych w bezpośrednich wskaźnikach.

W tle tych procesów pojawiają się również aspekty psychologiczne i zdrowotne. Ciągłe porównywanie dorobku, niepewność związana z oceną oraz długotrwała presja mogą wpływać na poziom stresu, dobrostan psychiczny i ogólną kondycję zdrowotną pracowników. Efektywność systemu nauki zależy więc nie tylko od mierzalnych rezultatów, lecz także od zdolności jego uczestników do długofalowego i stabilnego funkcjonowania.

Koherentność

W inicjatywach międzynarodowych, takich jak Coalition for Advancing Research Assessment (CoARA – Koalicja na rzecz rozwoju oceny badań naukowych) oraz Declaration on Research Assessment (DORA – Deklaracja w sprawie oceny badań naukowych), podkreśla się potrzebę bardziej całościowego i wielowymiarowego podejścia do oceny działalności naukowej. Obejmuje ono ograniczenie nadmiernego uzależnienia oceny od wskaźników bibliometrycznych, w tym takich miar jak Impact Factor, na rzecz podejścia jakościowego uwzględniającego rzeczywisty wkład badawczy oraz znaczenie prowadzonych prac. Istotne pozostaje także uwzględnianie różnorodności ścieżek kariery naukowej oraz form aktywności, obejmujących badania podstawowe i aplikacyjne, działalność dydaktyczną, orga-



Badania naukowe z natury rzeczy
wiążą się z niepewnością wyniku

Rys. Sławomir Makal

nizacyjną oraz współpracę z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Jednocześnie akcentowana jest potrzeba wzmacniania przejrzystości i odpowiedzialności procesów ewaluacyjnych, a także uwzględniania warunków pracy, kultury współpracy oraz rzeczywistego wpływu badań na rozwój społeczeństwa i gospodarki.

Podejście to wskazuje kierunek dalszych analiz również w odniesieniu do krajowych rozwiązań. Ocena w nauce wykracza bowiem poza funkcję porządkowania dorobku i wpływa na kulturę całego środowiska badawczego, kształt badań, relacje między ludźmi oraz sposób funkcjonowania instytucji. W warunkach silnego powiązania oceny z określonymi wskaźnikami pojawia się tendencja do dostosowywania aktywności naukowej do obowiązujących zasad oceny. Część działań badawczych może być więc ukierunkowana nie tylko na rozwój wiedzy, lecz także na spełnianie wymogów formalnych związanych z punktacją, klasyfikacją i porównywaniem dorobku.

Zjawisko to pozostaje powiązane z funkcjonowaniem rankingów naukowych, które odgrywają istotną rolę w kształtowaniu widoczności instytucji i ich pozycji w przestrzeni międzynarodowej. Choć opierają się na określonych kryteriach metodologicznych, pełnią również funkcję wizerunkową i komunikacyjną. Mogą być postrzegane jako element budowania rozpoznawalności, przyciągania studentów oraz wzmacniania potencjału w zakresie pozyskiwania finansowania i grantów. Tym samym działalność naukowa częściowo wchodzi w obszar oddziaływań o charakterze marketingowym.

Ocena i autonomia

Szczególnego znaczenia nabiera zatem zachowanie równowagi pomiędzy wymogami systemów oceny a autonomią badawczą. Nauka rozwija się najlepiej wtedy, gdy może wykraczać poza aktualne kryteria i schematy, a jednocześnie pozostaje w dialogu z systemem, który ją organizuje i wspiera.

Środowisko naukowe charakteryzuje się różnorodnością stylów pracy oraz odmienną dynamiką powstawania wyników badawczych. Obok działań nastawionych na relatywnie szybkie publikowanie rezultatów funkcjonują projekty wymagające długotrwałego zaangażowania, systematycznej pracy oraz stopniowego dojrzewania koncepcji. Dotyczy to zwłaszcza badań fundamentalnych, interdyscyplinarnych i eksperymentalnych. Sztwyne okresy ewaluacyjne, oparte na krótkookresowej analizie osiągnięć, mogą pozostawiać w napięciu z naturą takich badań. Podobnie czynniki niezależne od samego procesu badawczego, związane z sytuacją życiową i zdrowotną, mogą w warunkach regularnej, ilościowej oceny wpływać na ocenę dorobku w sposób nieproporcjonalny do rzeczywistego potencjału i wcześniejszych osiągnięć.

Znaczenie ma także relacja między działalnością naukową a jakością kształcenia, która w dłuższej perspektywie pozostaje jednym z kluczowych czynników stabilności systemu akademickiego. Wysoki poziom dydaktyki wymaga nie tylko zaangażowania kadry, lecz także dostępu do odpowiedniej infrastruktury, laboratoriów i aktualnych treści kształcenia. Ograniczenie tych elementów może prowadzić do obniżania atrakcyjności studiów, a w konsekwencji do zmniejszenia liczby studentów. Zjawisko to pozostaje powiązane z uwarunkowaniami demograficznymi oraz potrzebą umiędzynarodowienia kształcenia.

Równolegle istotnym aspektem funkcjonowania uczelni pozostają warunki zatrudnienia pracowników. W wielu przypadkach młodzi naukowcy oraz inni pracownicy naukowo-dydaktyczni, niezależnie od wieku, przez kilka lat funkcjonują w oparciu o umowy czasowe, co wprowadza element niepewności i utrudnia podejmowanie długofalowych decyzji zawodowych i osobistych. Może to wpływać zarówno na pla-

nowanie rozwoju naukowego, jak i na poczucie bezpieczeństwa zawodowego.

Ewaluacja i doskonalenie

Przedstawione rozważania wskazują na wielowymiarowy charakter systemu nauki, w którym współwystępują aspekty merytoryczne, organizacyjne, ekonomiczne, społeczne i instytucjonalne. Złożoność ta uzasadnia potrzebę jego analizy z wykorzystaniem podejść naukowych, umożliwiających systematyczną ocenę i weryfikację przyjmowanych rozwiązań w kontekście ich rzeczywistego oddziaływania. Ewaluacja działalności naukowej i ocena pracowników mogą być traktowane jako element procesu doskonalenia systemu pod warunkiem ich powiązania z refleksją nad skutkami wdrażanych mechanizmów.

Znaczenie ma uwzględnienie zmieniających się uwarunkowań demograficznych, ekonomicznych i organizacyjnych, które wpływają na funkcjonowanie uczelni oraz ich zdolność do realizacji zadań badawczych i dydaktycznych. Istotne staje się projektowanie rozwiązań stabilnych, a jednocześnie adaptacyjnych, umożliwiających długofalowe funkcjonowanie systemu bez nadmiernego uzależnienia od krótkookresowych wskaźników ilościowych.

Z perspektywy psychologicznej i organizacyjnej ważne jest również to, w jaki sposób system oceny oddziałuje na zachowania i postawy jego uczestników. Mechanizmy ewaluacyjne mogą wzmacniać zarówno orientację na współpracę i jakość, jak i nadmierną koncentrację na wynikach mierzalnych. Dlatego zasadne wydaje się uwzględnianie w ich projektowaniu czynników związanych z motywacją, poczuciem sprawiedliwości, przewidywalnością oraz stabilnością warunków pracy.

Budowanie zaufania

W tym kontekście istotne jest postrzeganie środowiska naukowego jako współtwórcy zasad jego funkcjonowania. Doskonalenie systemu oceny, mechanizmów finansowania oraz organizacji pracy wymaga uwzględnienia doświadczeń jego uczestników oraz różnorodności ścieżek rozwoju zawodowego. Podejście takie sprzyja budowaniu kultury organizacyjnej opartej na odpowiedzialności, wzajemnym zaufaniu oraz wysokich standardach etycznych. Z punktu widzenia stabilności systemu znaczenie ma również jego odporność na zmienność uwarunkowań zewnętrznych, w tym zmian o charakterze politycznym i gospodarczym. System oparty na długofalowych zasadach, uwzględniający różnorodność funkcji nauki oraz jej społeczne znaczenie, może charakteryzować się większą spójnością i przewidywalnością. Analiza funkcjonowania systemu nauki wymaga podejścia interdyscyplinarnego, obejmującego perspektywę psychologiczną, socjologiczną, ekonomiczną oraz zdrowotną. Pozwala to pełniej rozpoznać zarówno mechanizmy jego działania, jak i ich konsekwencje dla jednostek oraz całych środowisk.

Wspólnym kierunkiem dalszych działań może być dążenie do takiego modelu funkcjonowania nauki, który łączy efektywność z poczuciem sprawiedliwości, przejrzystością oraz stabilnością. System rozwijany w sposób refleksyjny i oparty na wiedzy może sprzyjać zarówno wysokiej jakości badań, jak i tworzeniu warunków umożliwiających długofalowy rozwój środowiska naukowego. Reasumując, ewaluacja i ocena pracowników wymagają nie tylko wiedzy i staranności, lecz także głębokiej odpowiedzialności etycznej, aby formułowane rozstrzygnięcia pozostawały sprawiedliwe, proporcjonalne i wolne od pocho-

Nauka jako produkcja

Co AI ujawnia w akademii?

Część I

Definiując wartość naukową przez to, co policzalne – liczbę artykułów, cytowań, jednostek w wykazie – system akademicki nieświadomie zdefiniował ją przez to, co da się wyprodukować bez rozumienia. Każda metryka jest pułapką, określa, co będzie optymalizowane, nie to, co jest naprawdę ważne.

Diagnoza: Jak system akademicki wytworzył swojego Dyzmę

Nikodem Dyżma, bohater powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, robił karierę nie dzięki kompetencjom, lecz dzięki sprawnemu symulowaniu ich posiadania. Był człowiekiem powierzchwni: rozumiał, że wystarczy brzmieć odpowiednio, by zostać uznanym za odpowiedniego. Polska literatura dała nam w nim postać, która okazuje się zaskakująco pojemna, i która w kontekście współczesnej akademii nabiera nowego, niepokojącego wymiaru.

Nie chodzi jednak o indywidualne przypadki nieuczciwości. Chodzi o coś głębszego: o to, że nowe narzędzia generatywnej sztucznej inteligencji sprawiają, iż pewien typ kariery akademickiej – kariery opartej na zewnętrznych oznakach produktywności naukowej, nie zaś na rzeczywistej pracy intelektualnej – stał się łatwiejszy do zbudowania niż kiedykolwiek wcześniej. I że nie jest to wyłącznie problem ludzkiej słabości, lecz przede wszystkim problem struktury.

Weber i „człowiek fachowy”

Max Weber w słynnym wykładzie *Nauka jako powołanie i zawód* (1917) opisywał nowoczesną naukę jako dziedzinę nieodwracalnej specjalizacji. Wiedza postępuje, pisał, bo każdy bada coraz węższy wycinek rzeczywistości coraz dokładniej. Ale w tym procesie coś się traci: sens pytania o całość. Weberowski Fachmensch, człowiek fachowy, to ktoś, kto opanował swój fragment rzeczywistości doskonale, nie pytając, po co właściwie to robi. Nauka przestaje być powołaniem (Beruf w pełnym, niemal religijnym sensie), a staje się zawodem.

Weber nie potępiał tej przemiany jako moralnego upadku. Widział w niej smutną, ale obiektywną konieczność. Martwił go jednak duch, który tej zmianie towarzyszył: zanik pytania o sens, o miejsce wiedzy szczegółowej w szerszym obrazie rzeczywistości ludzkiej. Gdyby żył dziś, prawdopodobnie rozpoznałby w systemach parametrycznej oceny uczelni – w punktach ministerialnych, wskaźnikach Impact Factor, licznikach cytowań – instytucjonalizację swojej prognozy. Akademia stała się fabryką wskaźników. Liczy się to, co mierzalne.

Ortega i „uczony barbarzyńca”

José Ortega y Gasset szedł o krok dalej. W *Buncie mas* (1929) postawił diagnozę, która po niemal stu latach nie straciła nic na ostrości. Opisał nowy typ człowieka wykształconego, który pojawia się w nowoczesnym społeczeństwie naukowym: kogoś, kto zna swoją wąską dziedzinę doskonale, ale poza jej granicami jest kompletnym ignorantem i, co ważne, nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ortega nazwał go bárbaro especialista – barbarzyńcą specjalistą. Paradoks jest tu kluczowy: ten człowiek nie jest barbarzyńcą z zewnątrz cywilizacji. Jest barbarzyńcą wyhodowanym przez cywilizację, w jej sercu, przez jej własne instytucje. Jego wąska biegłość daje mu złudne poczucie bycia człowiekiem w pełni ukształtowanym intelektualnie. Potrafi pisać artykuły, posługiwać się metodologią, cytować literaturę przedmiotu. Nie potrafi jednak myśleć poza narzuconą mu ramą.

Ortega pisał o naukowcu, który jest zarazem biegły w swoim wycinku i cywilizowanym nieukiem poza nim. Wiedza bez formacji: bez filozofii, bez historii idei, bez wrażliwości na to, co leży poza specjalnością, tworzy człowieka powierzchni, który jednak jest przekonany, że dotknął głębi.

Pułapka własnej logiki

Jest w tej sytuacji pewna ironia, której nie sposób pominąć. System parametrycznej oceny nauki nie powstał wbrew akademii, powstał z jej wnętrza, jako odpowiedź na realne problemy: brak transparentności, niemożność porównywania dorobku między ośrodkami, potrzebę jakiegokolwiek kryterium odróżniającego pracę rzetelną od pozornej. Bibliometria miała być remedium na subiektywizm. Liczby miały zastąpić domysły. Impact factor, indeks Hirscha, punkty ministerialne – to wszystko narzędzia stworzone przez ludzi, którzy szczerze wierzyli, że obiektywizacja oceny jest dobrem nauki.

W polskim kontekście moment przełomowy nastąpił w 2018 roku, gdy wicepremier Jarosław Gowin przeprowadził przez Sejm tak zwaną Konstytucję dla Nauki – ustawę Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, która zastąpiła cztery wcześniejsze akty

prawne i wprowadziła nowy model ewaluacji dyscyplin. Reforma Gowina miała umiędzynarodowić polską naukę i wymusić jakość przez konkurencję. Uprawnienia do nadawania stopni naukowych powiązano z kategoriami uzyskanymi w parametrycznej ocenie, punktacja czasopism stała się walutą akademicką, a publikacja w języku angielskim przepustką do awansu. Intencje były modernizacyjne, efekt uboczny – głęboki i trwały: system, który miał promować jakość, w praktyce zaczął promować ilość przeliczalną na punkty. Jak zauważył później wiceminister nauki Maciej Gdula, reforma Gowina „w zasadzie oderwała naukowców od dydaktyki; sprawiła, że relacje naukowców ze studentami przestały się liczyć, a zaczęły się liczyć tylko relacje z artykułami”.

Krytycy reformy, zarówno z lewej, jak i z prawej strony, zwracali uwagę, że Konstytucja dla Nauki narzuciła akademii logikę darwinistyczną: przetrwanie najlepiej przystosowanych, gdzie przystosowanie mierzy się punktami, a selekcja odbywa się przez rankingi i kategorie. Uczelnie rywalizują o status badawczy, naukowcy o sloty publikacyjne, dyscypliny o miejsce w wykazie. Jest w tym coś z dziewiętnastowiecznego ewolucjonizmu społecznego: wiara, że wolna konkurencja jednostek nieuchronnie prowadzi do postępu gatunku. Że jeśli puścimy naukę w wyścig – dobrze zaprojektowany, z jasnymi regułami – na końcu zostanie to, co najwartościowsze.

Sam Gdula, socjolog, a zarazem wiceminister nauki w rządzie Donalda Tuska, zaproponował odmienną metaforę. W dyskusji o ewaluacji apelował, by na system nauki patrzeć nie jak na zawody sportowe, lecz jak na ekosystem, na las, który „może mieć różne funkcje: można na niego patrzeć jako na miejsce produkcji desek – ale takie patrzenie zaowocuje monokulturą, ale też można patrzeć na niego jako na miejsce wypoczynku, miejsce zbierania runa leśnego, ostoji bioróżnorodności czy edukacji”. Metafora lasu zakłada, że nauka potrzebuje różnorodności – nie tylko gatunków szczytowych, ale i podszycia, grzybni, martwego drewna – i że nie wszystko, co w niej wartościowe, da się zmierzyć wskaźnikiem cytowań.

Metafora ta spotkała się z krytyką i to z wielu stron. Jedni widzieli w niej wygodną retorykę chroniącą słabe ośrodki przed konsekwencjami oceny. Inni, zwłaszcza przedstawiciele nauk ścisłych, pytali, czy ekosystemowe myślenie o nauce nie jest po prostu rezygnacją z rozróżniania między tym, co dobre, a tym, co mierne. Las jest piękną metaforą, ale nie pisze artykułów i nie składa wniosków grantowych. Pytanie, które się z tej metafory wyłania, jest jednak trafne: czy jedyną alternatywą dla darwinistycznego wyścigu jest pozbawiona kryteriów łagodność,

czy istnieje trzecia droga, w której jakość mierzy się inaczej niż punktami, ale nadal się ją mierzy?

Jest w tej asymetrii coś głębszego, co warto nazwać wprost. W sporze o kształt nauki zwolennicy podejścia parametrycznego mają do dyspozycji broń, której druga strona nie posiada: precyzję. Kto mówi o „ekosystemie”, „formacji” czy „powołaniu”, ten mówi językiem, który łatwo wykipić jako sentymentalny. Wystarczy jedno celne pytanie techniczne – o wskaźnik, o metodę, o konkretny wynik – by człowieka broniącego szerszej wizji nauki postawić w roli pięknoducha, który nie zna się na rzeczy. Filozofujący humanista, złapany na nieznajomości szczegółu statystycznego, traci wiarygodność szybciej niż technokrata, który nigdy nie przeczytał Kuhna.

Ta retoryczna asymetria ma poważne konsekwencje strukturalne. Sprawia, że głosy wzywające do namysłu nad sensem mierników, nawet gdy są merytorycznie uzasadnione, brzmią w instytucjonalnej debacie jak głosy przegranych: ludzi, którzy nie potrafili się dostosować i szukają alibi w filozofii. Tymczasem pytanie o to, po co mierzymy, jest pytaniem logicznie wcześniejszym od pytania, jak mierzymy i wymaga kompetencji, której żaden wskaźnik nie zastąpi. Ortegowski barbarzyńca specjalista rozpoznaje tu swój najskuteczniejszy odruch obronny: nie muszę rozumieć całości, skoro potrafię udowodnić, że ty nie rozumiesz mojego szczegółu.

Definiując wartość naukową przez to, co policzalne – liczbę artykułów, cytowań, jednostek w wykazie – system akademicki nieświadomie zdefiniował ją przez to, co da się wyprodukować bez rozumienia. Każda metryka jest pułapką, określa, co będzie optymalizowane, nie to, co jest naprawdę ważne. Skoro awans zależy od liczby publikacji, system nagradza produkcję publikacji. Gdy narzędzia AI umożliwiają tę produkcję na masową skalę, jest to jedynie logiczna konsekwencja wcześniejszych wyborów, konsekwencja, której ani darwinistyczny wyścig Gowina, ani ekosystemowy las Gduli nie zdołały przewidzieć.

Można powiedzieć, że technokraci nauki, ci, którzy z powołania zbudowali jej fabrykę, przygotowali swoją własną zgubę. Nie przez złe intencje, lecz przez niedocenienie tego, czego żadna metryka nie zmierzy: intelektualnej substancji, której AI nie posiada i której naśladowanie bez posiadania jest dziś łatwiejsze niż kiedykolwiek. Weberowski Fachmensch sam zaprojektował maszynę, która go zastąpi i sam ją wpuścił do gry, tworząc reguły, które grę tę umożliwiają.

(Za życzliwą lekturę, dyskusję i uwagi dziękuję Jakubowi Ryłowskiemu. A. Krzyż)

Rząd łagodzi skutki ewaluacji dla podmiotów doktoryzujących

Rada Ministrów przyjęła projekt ustawy łagodzącej skutki ewaluacji działalności naukowej za lata 2022–2025. Zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce uprawnienie do nadawania stopnia doktora i habilitowania w danej dyscyplinie jest skorelowane z kategorią naukową przyznaną podmiotowi. Najniższą kategorią, która pozwala na korzystanie z tego uprawnienia, jest B+. Uzyskanie kategorii B albo C skutkuje utratą uprawnień do nadawania stopni naukowych.

Uwzględniając głosy środowiska, minister nauki przedstawił projekt ustawy, która wprowadza czasowe (do kolejnej ewaluacji) rozwiązania dotyczące konsekwencji uzyskania kategorii niższej

od B+ w wyniku ewaluacji osiągnięć naukowych w latach 2022–2025. Jeśli podmiot doktoryzujący otrzyma kategorię B w dyscyplinie, będzie mógł nadal prowadzić już rozpoczęte kształcenie oraz postępowania w sprawie nadania stopnia doktora, jednak nie będzie mógł wszczynać nowych postępowań oraz rekrutować nowych doktorantów. Z kolei jeśli otrzyma kategorię C, będzie musiał zapewnić doktorantom kontynuację kształcenia w innym ośrodku. Trwające postępowania nie zostaną przerwane, ale będą przekazane do innej jednostki wskazanej przez Radę Doskonałości Naukowej.

(m)

Rozmowa z dr Katarzyną Hałas z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Gwarancja zatrudnienia

Przydałby się prosty instruktaż, który krok po kroku pokazywałby, jak wygląda proces przygotowania wniosku grantowego. Bardzo tego brakuje w kształceniu doktorantów. Powinno być więcej warsztatów poświęconych pisaniu wniosków o grant

Przez pięć lat łączyła pani studia doktoranckie z pracą zawodową. Czy to było trudne? Jak te dwie rzeczy udało się pogodzić?

Przede wszystkim towarzyszyło mi poczucie satysfakcji, że potrafię to wszystko pogodzić. Trzeba to prostu lubić i mieć w sobie pokłady samodyscypliny. Otrzymywałam stypendium doktoranckie, które w czasach realizowania doktoratu na studiach doktoranckich było wystarczające. W 2023 roku stypendium doktoranckie wynosiło 2163 zł, stypendium projakosciowe 1100 zł, a stypendium rektora 1450 zł (najniższa krajowa wynosiła wówczas 3490 zł brutto, ok. 2709 zł netto, a od 1 lipca 2023 r. wzrosła do 3600 zł brutto, ok. 2784 zł netto). Obecnie stypendium doktoranckie wynosi przed oceną śródokresową ok. 3 466,90 zł brutto, a po ocenie śródokresowej 5 340,90 zł brutto. Najniższa krajowa wynosi w 2026 r. 4806 zł brutto, czyli ok. 3600 zł netto – red.). We wcześniejszych latach stawki te były nieco niższe, jednak nadal mogły stanowić wystarczające wsparcie finansowe. Aby otrzymać stypendium, należało znaleźć się odpowiednio w gronie 50%, 30% oraz 10% najlepszych doktorantów. To doświadczenie nauczyło mnie wiele o sobie, o moich ograniczeniach i sile. Wiedziałam, że chcę skończyć doktorat, nie rezygnując jednocześnie z pracy zawodowej i udało mi się. To był świadomy wybór. Praca na dwóch etatach – bo robienie doktoratu też można nazwać pracą – powodowała, że trudno mi było czasami w pełni rozwijać się naukowo, angażować się w wiele inicjatyw, więc mam poczucie, że nie w pełni wykorzystałam możliwości, jakie oferują studia doktoranckie.

Dlaczego, mimo wystarczającego stypendium, zdecydowała się pani na podjęcie pracy?

Głównie po to, by uniknąć luki w CV. Studia doktoranckie trwały standardowo cztery lata, z możliwością przedłużenia o kolejne dwa. Taka długa nieobecność na rynku pracy może być niekorzystnie postrzegana przez potencjalnych pracodawców, zwłaszcza w branżach, które dynamicznie się rozwijają. Warto jednak podkreślić, że plan zajęć dydaktycznych na studiach doktoranckich był bardzo dobrze skonstruowany i dawał dużą elastyczność. Zajęcia często odbywały się w godzinach wieczornych lub były blokowane w jednym dniu tygodnia, co umożliwiało łączenie nauki z pracą zawodową. Było to istotne nie tylko dla mnie, ale również dla koleżanek i kolegów z mojego roku, którzy równolegle rozwijali swoje kariery zawodowe. Sądzę, że w przypadku branży medialnej szczególnie ważne jest, aby pozostawać aktywnym zawodowo. To środowisko szybko się zmienia, zarówno pod względem technologii, jak i oczekiwań rynku. Dłuższa przerwa może oznaczać utratę kontaktu z aktualnymi trendami i narzędziami, co w konsekwencji utrudnia powrót do zawodu.

Z perspektywy czasu uważam, że łączenie studiów doktoranckich z pracą było wymagające, ale konieczne. Pozwoliło mi zdobywać wiedzę naukową, lecz także budować potrzebne doświadczenie zawodowe i utrzymywać ciągłość rozwoju, co dziś stanowi istotny atut na rynku pracy. Z perspektywy czasu widzę, że było warto, ale wymagało to poniesienia zarówno kosztów emocjonalnych, jak i fizycznych. Grafik był wypełniony po brzegi, a wolny czas stał się luksusem, więc gdy już znalazłam wolną chwilę, starałam się ją w pełni wykorzystać.

Czy młodzi naukowcy są przeciążeni obowiązkami?

Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, bo każdy z nas jest inny i inaczej odbiera obciążenie obowiązkami. Kluczem do sukcesu jest dobra organizacja pracy i zachowanie reguły work-life balance, której hołduje moje pokolenie, tak przynajmniej myślę. Coraz częściej zauważam, że reprezentanci mojego pokolenia już nie przejawiają chęci brania na swoje barki coraz to nowych obowiązków. Rozwój zawodowy i kariera nadal są bardzo ważne, ale z drugiej strony liczy się wolny czas i dobrostan psychiczny. Młodzi naukowcy mają mnóstwo obowiązków, na zasadzie multitasking: należy brać czynny udział w konferencjach naukowych, pisać artykuły, prowadzić zajęcia dydaktyczne, do których trzeba się przygotować, realizować granty, prowadzić badania, sprostać obowiązkom organizacyjnym. Jeśli ktoś dodatkowo decyduje się połączyć robienie doktoratu z pracą zawodową, aby nie wypaść z rynku – a myślę, że takich osób jest wiele – to efekt jest taki, że przez większą część doby jest poza domem pochłonięty pracą. Taki tryb życia z czasem może powodować przeciążenie, co w konsekwencji prowadzi do znużenia, osłabienia motywacji.

Czy grant to dla pani i pani kolegów konieczność do rozwoju badań naukowych, czy tylko dogodna możliwość?

Zdecydowanie traktuję granty jako możliwość rozwoju, szczególnie że do młodych naukowców kierowanych jest wiele konkursów grantowych. Pierwsza myśl: to ogromna szansa, dofinansowanie wyjazdu, samodzielność badawcza. Szczepie mówiąc, brakuje mi jednak systemowej wiedzy, od czego zacząć, jak ten grant pozyskać, jak napisać wniosek, jaki jest właściwy ton i struktura aplikacji. Przydałby się prosty instruktaż, który krok po kroku pokazywałby, jak wygląda proces przygotowania wniosku grantowego. Bardzo tego brakuje w kształceniu doktorantów. Myślę, że powinno być więcej warsztatów poświęconych pisaniu wniosków o grant, podczas których można by znaleźć odpowiedzi na kluczowe pytania: co sprawia, że dany wniosek otrzymuje dofinansowanie, jakie są kryteria oceny? Takie wsparcie jest potrzebne zwłaszcza na początku kariery naukowej.

Jak konieczność publikowania w czasopismach punktowanych wpłynęła na gromadzenie dorobku do doktoratu? Czy bez tej presji byłoby to łatwiejsze?

„Punktoza” była obecna nie tylko przy pisaniu artykułów naukowych, ale również wcześniej, przy aplikowaniu na studia doktoranckie, przy zbieraniu aktywności potrzebnych do stypendiów. Wprawdzie presja motywuje do solidnej pracy, ale także zmusza do przysłowiowego wyścigu szczurów, w którym liczy się ilość, a nie jakość. Nie bez znaczenia jest poziom wewnętrznej samodyscypliny. Jeśli ktoś ma tę cechę dobrze rozwiniętą, presja nie jest dla niego straszna. Dla kogoś o wysokim mechanizmie samokontroli zewnętrzne wymagania są raczej czynnikiem mobilizującym, chociaż również stresującym. Konieczność publikowania w czasopismach punktowanych chyba bardziej ogranicza, niż mobilizuje.

Czy z pani punktu widzenia wprowadzenie szkół doktorskich było dobrym rozwiązaniem? Łatwiej byłoby pani robić doktorat i realizować swoje plany naukowe w nowej sytuacji?

Kształciłam się zgodnie ze starym trybem, byłam studentką studiów III stopnia, więc mogę mówić o swoich przemysłeniach i doświadczeniach z tamtego okresu. Trudno mi oceniać obecny tryb. Z opowieści młodszych koleżanek i kolegów wiem, że teraz większy nacisk kładzie się na prowadzenie badań naukowych, realizowanie projektów badawczych, niż na dydaktykę. To przemawia na korzyść szkół doktorskich. Wydaje mi się, że obecnie trudniej jest się dostać na takie studia, co nadaje im pewien wymiar ekskluzywności, elitarności. W mojej ocenie, nowy system lepiej wspiera doktorantów finansowo. Zapewne w praktyce oba modele kształcenia doktorów mają swoje plusy i minusy.

Uzyskanie doktoratu nie daje gwarancji pracy na uczelni. Czy należałoby wprowadzić w tym zakresie zmiany w prawie, aby motywować młodych ludzi do robienia kariery naukowej?

Nie jestem przekonana, czy to jest kwestia rozwiązań legislacyjnych. To znacznie bardziej złożona kwestia, między innymi związana z finansowaniem szkolnictwa wyższego. Uczelnie dysponują ograniczonym budżetem i mimo szczerych chęci nie są w stanie zaproponować etatu każdej osobie, która obroniła doktorat, nawet jeśli jej dorobek naukowy jest spory i dobrze oceniany. Myślę, że dobrym rozwiązaniem jest możliwość współpracy z uczelnią na umowach cywilnoprawnych, tak jak w moim przypadku: uczelnie zyskują pracownika z wysokimi kompetencjami, a pracownik możliwość realizacji swoich umiejętności w pracy naukowej i dzielenia się wiedzą ze studentami i kolegami. Problem wydaje się złożony – obok gwarancji zatrudnienia ważne jest odpowiednie, wysokie wynagrodzenie, które pozwoli młodemu naukowcowi utrzymać się na posadzie naukowej bez konieczności podejmowania dodatkowej pracy, stworzy możliwości rozwoju naukowego i dostępu do infrastruktury badawczej. Bez tego same rozwiązania prawne nie zmieniają sytuacji.

Ze względu na niski poziom zarobków trudno zachęcić np. informatyka do pracy na uczelni. A czy dla osób z wykształceniem humanistycznym praca na uniwersytecie jest atrakcyjna?

Zatrudnienie na uczelni jest mimo wszystko atrakcyjne, nie tylko dla humanisty, ale też dla przedstawicieli innych dyscyplin. Skrupulatne budowanie kariery akademickiej rozwija umiejętności badawcze, pozwala realizować pasję, nawiązywać i pogłębiać relacje z innymi, uczy w jakimś stopniu pewności siebie i umiejętności komunikacyjnych. Na uczelni potrzeba i informatyków, i humanistów. Nie można dyskryminować jednej dziedziny kosztem drugiej. Środowisko akademickie cechuje różnorodność, a nauka potrzebuje interdyscyplinarności.

Minimalne wynagrodzenie zasadnicze asystenta na uczelni wynosi w tym roku 4825 zł brutto, czyli niewiele więcej niż najniższa krajowa. Co motywuje do podjęcia doktoratu, a potem pracy naukowej, a co zniechęca?

Zniechęcają niskie zarobki oraz wiążąca się z tym konieczność podjęcia dodatkowego zatrudnienia, która nawiasem mówiąc pozwala utrzymywać kontakt z rynkiem pracy. Myślę, że ten fakt decyduje, że wiele osób rezygnuje z kariery akademickiej na rzecz bardziej opłacalnej finansowo ścieżki zawodowej poza akademią. Motywuje prestiż: naukowcy są uznawani za środowisko elitarne, a przynależność do tego kręgu daje poczucie satysfakcji i społeczne uznanie. Czynnikiem motywującym jest możliwość prowadzenia pracy badawczej, pogłębiania wiedzy w swojej dziedzinie. Atutem są elastyczne godziny pracy, na pewno nie tak sztywne, jak w przypadku typowego etatu. Ważna jest też stabilność zatrudnienia, szczególnie w czasach gospodarczej niepewności, oraz praca z młodymi ludźmi, która dodaje energii, ale i uczy pokory.

Młodzi naukowcy są często niewiele starsi od swoich studentów. Czy zdarza się, że nie są darzeni

przez studentów wystarczającą estymą?

Nigdy nie spotkałam się z przejawami lekceważenia czy próbą podważania mojego autorytetu. Paradoksalnie uważam, że młody wiek może być atutem, a nie ograniczeniem, jak może się komuś wydawać. Stosunkowo niedawno skończyłam studia, więc lepiej rozumiem język studentów, ich potrzeby i oczekiwania względem procesu dydaktycznego. Ten fakt, bliskość pokoleniowa pozwala mi łatwiej nawiązywać porozumienie. Czasami zdarzają się zabawne sytuacje, które wynikają z wielkiej różnicy wieku. Na przykład zdarza się, że studenci zagadują mnie per „ty” na uczelnianym korytarzu, nie wiedząc, że za chwilę będą mieć ze mną zajęcia. W mojej opinii o estymie u studentów nie decyduje wiek, tylko inne czynniki, takie jak posiadana wiedza i umiejętność przekazywania informacji, sposób komunikacji z nimi, np. traktowanie ich po partnersku, ale z odpowiednim wyznaczeniem granic.

Rozmawiał Grzegorz Rekiel



For Arch. prywatne

Dr **Katarzyna Hałas** jest absolwentką dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Wydziale Politologii UMCS. W 2023 roku obroniła rozprawę doktorską z zakresu nauk o mediach, poświęconą stanowi e-learningu w szkolnictwie wyższym na przykładzie uczelni wyższych zlokalizowanych w Lublinie. Praca zawierała m.in. analizę uwarunkowań prawnych wdrażania e-learningu w szkolnictwie wyższym. Autorka skoncentrowała się też na przedstawieniu kompetencji metodycznych oraz ukazaniu cech osobowościowych e-nauczyciela. Promotorką pracy była prof. Lidia Pokrzycka. Dr Katarzyna Hałas współpracuje jako wykładowca z Wydziałem Politologii i Dziennikarstwa UMCS. Prowadzi ćwiczenia z public relations. Ma 32 lata.

Mobilność akademicka między deklaracją a praktyką

Potrzebne jest wypracowanie bardziej przejrzystych i dopasowanych do etapu kariery standardów postępowania w jednostkach naukowych, które zapewniłyby ciągłość zatrudnienia i minimalizowały ryzyko sporów w sytuacjach mobilności finansowanej ze środków publicznych.

Mobilność akademicka od lat przedstawiana jest jako jeden z fundamentów nowoczesnej kariery naukowej. W oficjalnym dyskursie powraca przekaz, że bez umiędzynarodowienia, w tym mobilności, nie ma konkurencyjnej nauki. Wyjazdy zagraniczne mają poszerzać kompetencje, budować sieci współpracy i zwiększać widoczność badań. W tym sensie mobilność nie jest już dodatkiem do CV, lecz oczekiwanym elementem ścieżki akademickiej. Jednocześnie za tą narracją kryje się mniej widoczna warstwa organizacyjnej praktyki. W codziennym funkcjonowaniu instytucji akademickich mobilność nie zawsze jest traktowana jako naturalny element wykonywania pracy naukowej. Nierzadko wymaga ona indywidualnych negocjacji dotyczących statusu zatrudnienia, zakresu obowiązków czy sposobu realizacji zadań w macierzystej jednostce w trakcie wyjazdu. W efekcie wyjazd badawczy, na przykład w ramach programu im. Mieczysława Bekkera Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, może zmienić się z projektu naukowego w problem administracyjny.

Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej pracuje nad Krajową Strategią Umiędzynarodowienia Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz zapowiada systematyczne wzmacnianie pozycji Polski w globalnym obiegu wiedzy. W wypowiedziach przedstawicieli resortu nauki aktywność międzynarodowa przedstawiana jest jako warunek skutecznego konkurowania o środki w programach europejskich i zwiększenia obecności Polski w europejskiej przestrzeni badawczej. W rozmowie Piotra Kieracińskiego z ministrem nauki i szkolnictwa wyższego na łamach „Forum Akademickiego” (FA 6/25) w takim kontekście przywoływany jest przykład programu PROM NAWA. Powszechnie akceptujemy postulat, że mobilność ma być narzędziem rozwoju, dyplomacji naukowej i budowania prestiżu. Jest to stanowisko dobrze uzasadnione merytorycznie.

Raport przygotowany przez Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy (OPI PIB) *Mobilność akademicka a kariery naukowców* z 2025 roku pokazuje, że wyjazdy zagraniczne wzmacniają kompetencje, poszerzają wiedzę dziedzinową, wspierają uczenie się nowych metod badawczych, a przede wszystkim prowadzą do powstawania sieci współpracy zwiększających widoczność i produktywność badawczą.

Mobilność jako kłopot

Strategiczny wymiar mobilności znajduje dziś konkretny wyraz właśnie w działaniach NAWA, agencji dedykowanej finansowaniu i wzmacnianiu mobilności badawczej oraz internacjonalizacji polskich uczelni i instytutów. Najnowszy program NAWA, TOP200, nastawiony na przyciąganie do Polski wybitnych naukowców z najlepszych ośrodków, eksponuje stabilne zatrudnienie, przewidywalne warunki pracy badawczej i wsparcie administracyjne jako warunki konieczne, by „talent” rzeczywiście przekładał się na wyniki i współpracę. Wybrzmiewa to w wywiadzie z dr. Piotrem Serafinem z Biura Programów dla Naukowców NAWA (dostępnym na platformie scintifyRESEARCH). To istotny sygnał, ponieważ pokazuje, że mobilność nie jest jedynie transferem człowieka między punktami na mapie, lecz wymaga odpowiedniej organizacji oraz instytucjonalnego wsparcia osoby przyjeżdżającej. Innym przykładem z oferty NAWA jest program im. Stanisława Ulama, który ma na celu zwiększenie stopnia umiędzynarodowienia poprzez wizyty naukowców z zagranicy. Najnowsza, siódma edycja programu różni się istotnie od poprzednich: przyznane środki przeznaczone są obecnie na formalne zatrudnienie w polskiej jednostce. We wcześniejszych edycjach finansowanie miało charakter stypendium przekazywanego bezpośrednio osobie przyjeżdżającej. Choć rozwiązanie oparte na

formalnym zatrudnieniu wiąże się z większą liczbą procedur administracyjnych, to zapewnia większe bezpieczeństwo osobie wizytującej. Staje się ona wówczas częścią polskiego systemu zatrudnienia, zyskując prawa i obowiązki pracownicze porównywalne z innymi osobami zatrudnionymi w jednostce goszczącej. Ma to również znaczenie systemowe, ponieważ osiągnięcia związane z projektem mogą być wówczas w sposób bardziej przejrzysty przypisywane do instytucji goszczącej w procesach ewaluacyjnych.

Można jednak zauważyć, że podobnej filozofii brakuje obecnie w odniesieniu do mobilności w przeciwnym kierunku, czyli w stosunku do osób czasowo wyjeżdżających z Polski. Tutaj oficjalna narracja o mobilności silniej zderza się z praktyką organizacyjną. Wspomniany już raport OPI PIB opisuje bardzo konkretny, biurokratyczny wymiar takich wyjazdów: osoby podejmujące mobilność zmagają się z ustaleniem formalnego statusu w macierzystej jednostce podczas pobytu za granicą, uzgodnieniem sposobu realizacji obowiązków, a nawet z uzyskaniem zgody na wyjazd. Bywa, że stawką mobilności jest status pracowniczy, ponieważ stosowane rozwiązania obejmują całe spektrum: od urlopów płatnych, delegacji i pracy zdalnej na pełnym etacie lub w niepełnym wymiarze czasu pracy (redukcja etatu), aż po urlopy bezpłatne. W codzienności części polskich jednostek mobilność wyjazdowa pracowników akademickich bywa traktowana jako kłopot, który należy zneutralizować kadrowo, nawet za cenę rozwiązań sprzecznych z duchem umiędzynarodowienia i dążeniami do doskonałości naukowej. Na tym gruncie może dochodzić do konfliktów z macierzystą jednostką o podstawowy status zatrudnienia, a wtedy mobilność przestaje być narzędziem rozwoju i staje się kosztownym sporem o elementarne warunki wykonywania pracy i sens mobilności w ogóle.

Mobilność jako nieobecność

Dobrym zwierciadłem jest tu program NAWA im. Miecysława Bekkera, którego deklarowany sens jest prosty: umożliwić doktorantom oraz pracownikom naukowym realizację projektów badawczych i rozwój w zagranicznych ośrodkach, zbudować długofalową współpracę i przełożyć to na jakość pracy naukowej, przy zapewnieniu stypendium oraz środków utrzymania na wyjeździe. W logice tak skonstruowanego programu mobilność stanowi jednak element realizacji podstawowych obowiązków zawodowych pracowników nauki, którymi trzeba być, aby aplikować w programie. Jednocześnie sama agencja finansująca program pozostawia kwestie formalnego statusu osoby wyjeżdżającej w jednostce macierzystej poza zakresem swoich regulacji. W informacjach programowych wskazane jest wprost, że należy uzgodnić kwestie zatrudnienia z jednostką macierzystą we własnym zakresie, a NAWA nie wprowadza ograniczeń dotyczących przyjętych rozwiązań. W praktyce oznacza to, że kluczowy organizacyjny element mobilności – status pracowniczy osoby realizującej projekt – pozostaje całkowicie w gestii indywidualnych ustaleń pomiędzy badaczem lub badaczką a jego lub jej instytucją. O ile doktorant wyjeżdżający w ramach takiego projektu nie jest zwykle postrzegany jako osoba, której należałoby zawiesić stypendium doktoranckie, ponieważ wyjazd stanowi oczywistą część procesu kształcenia i rozwoju, o tyle etatowi pracownicy naukowcy mogą zetknąć się z propozycjami faktycznego „zawieszenia” zatrudnienia w kraju. Ten kontrast dobrze pokazuje, jak łatwo mobilność bywa administracyjnie mylona z nieobecnością w pracy, zamiast być traktowana jako inna forma jej wykonywania. Warto zauważyć, że nie wszystkie instrumenty mobilności finansowane ze środków publicznych były wcześniej konstruowane w taki sposób.

Dobrym punktem odniesienia jest program „Mobilność Plus” Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego (ostatnia edycja programu ogłoszona w 2016 roku). W jego przypadku środki finansowe przyznawane były krajowej jednostce naukowej zatrudniającej uczestnika programu. Warunkiem udziału było więc pozostawanie w stosunku pracy z tą jednostką lub przedstawienie promesy zatrudnienia na okres mobilności. Konstrukcja programu zakładała tym samym, że wyjazd badawczy stanowi element realizacji obowiązków zawodowych, a nie jest aktywnością pozostającą poza relacją zatrudnienia. W tym sensie przykład „Mobilności Plus” pokazuje, że organizacyjne powiązanie mobilności z ciągłością zatrudnienia jest rozwiązaniem, które było obecne w polskim systemie nauki.

Redukowanie etatu na czas wyjazdu czy kierowanie pracownika na urlop bezpłatny mają charakter destrukcyjny i wypychają mobilność poza ramy normalnego wykonywania pracy naukowej. Tymczasem już na etapie aplikowania w programie Bekker wymagał jest wskazanie korzyści dla jednostki macierzystej wynikających z realizacji wyjazdu, co jasno pokazuje, że mobilność powinna być traktowana jako element realizacji obowiązków wobec tej jednostki, a nie jako przerwa w zatrudnieniu. Skala tego problemu zwykle rośnie wraz ze stażem pracy osoby planującej mobilność, szczególnie wtedy, gdy w czasie wyjazdu nadal realizowane są zobowiązania wobec macierzystej jednostki, na przykład w ramach innych projektów badawczych. Nauka nie działa w trybie „stop-start”. Publikacje, analizy, prace redakcyjne, przygotowanie kolejnych grantów, działania organizacyjne czy zarządzanie trwającymi projektami są procesami rozciągniętymi w czasie. W tym kontekście szersze i bardziej elastyczne stosowanie pracy zdalnej w polskich instytucjach naukowych mogłoby w istotny sposób ułatwić realizację mobilności, umożliwiając jednoczesne utrzymanie ciągłości zaangażowania w zadania jednostki macierzystej. Wiele z tych zadań nie znika tylko dlatego, że badacz przebywa przez pewien okres w innym kraju. Wraz ze stażem pracy rośnie również zakres obowiązków organizacyjnych i odpowiedzialności. Do najbardziej oczywistych należą między innymi opieka i mentoring nad studentami oraz młodymi naukowcami, promotorstwo w przewodach doktorskich, udział w komisjach ewaluacyjnych i organizacyjnych, kierowanie zespołem badawczym czy prowadzenie projektów realizowanych we współpracy z innymi jednostkami. Status zatrudnienia osoby wyjeżdżającej ma więc znaczenie nie tylko dla jej sytuacji zawodowej i finansowej, lecz także dla współpracowników oraz całej jednostki macierzystej. Ów status może w różnym stopniu sprzyjać ciągłości realizacji działań, przepływowi rezultatów i „zakotwiczeniu” osiągnięć pracownika w instytucji, a tym samym lepszemu zwrotowi środków inwestowanych przez państwo w mobilność, która powinna przekładać się na podniesienie jakości polskiej nauki.

Utrudnienia związane z organizacją mobilności i uzgodnieniem statusu osoby wyjeżdżającej wpływają więc negatywnie na funkcjonowanie jednostki macierzystej oraz samej osoby wyjeżdżającej. Warto tu mieć na uwadze także dodatkowe formalności i ryzyko finansowe rozwiązań polegających na redukcjach etatów czy urlopach bezpłatnych, które mogą być szczególnie dotkliwe dla osób posiadających zobowiązania rodzinne.

Powrót z wyjazdu

Status zatrudnienia podczas mobilności ma też niebagatelne znaczenie po powrocie z wyjazdu, wpływając na zakres zaległości, które trzeba nadrobić, czy na proces ponownej adaptacji w instytucji macierzystej. Nakłada się to na problemy związane z tym, że system w praktyce nie zawsze premiuje osoby podejmujące mobilność, a czasem może je nawet niezamierzenie karać. Raport OPI PIB wskazuje na spowolnienie tempa

awansu osób uczestniczących w mobilności, co autorzy interpretują jako możliwy objaw słabej merytokratyczności i znaczenia lokalnych zależności, z których wyjeżdżające osoby bywają na pewien czas wykluczone. Wniosek ten brzmi jeszcze mocniej w zestawieniu z krytycznymi diagnozami polskiego środowiska akademickiego, w którym mobilność kadrowa jest ogólnie ograniczona (FA 9/25, tekst prof. Wernera Ulricha). W takim kontekście wyjazd może oznaczać chwilowe „wypadnięcie z obiegu” decyzyjnego, utratę bieżącej obecności w instytucji i osłabienie pozycji w lokalnej społeczności, tym silniejsze, im mniej formalnie osoba wyjeżdżająca związana jest z jednostką macierzystą podczas mobilności. Nie jest to kwestia marginalna, ponieważ raport OPI PIB pokazuje, że właśnie tego rodzaju problemy należą do najczęstszych trudności w podejmowaniu i realizacji mobilności akademickich. Brak jasnych reguł tworzy pole do uznaniowości, a w skrajnych przypadkach także do nadużyć wobec pracowników i pracowniczek.

W programach, w których zagraniczna jednostka przyjmująca nie ma obowiązku zatrudniania osoby realizującej projekt, jak w przypadku programu Bekker NAWA, brakuje rozwiązań, które niwelowałyby formalne bariery w podejmowaniu mobilności. Ich brak sprzyja nierównemu traktowaniu. Pozostawienie tej kwestii wyłącznie w gestii indywidualnych ustaleń pomiędzy beneficjentem lub beneficjentką takiego programu a jednostką macierzystą ma pozornie zaletę elastyczności. W praktyce jednak przenosi ciężar organizacyjny mobilności na pojedyncze osoby, które muszą samodzielnie negocjować podstawowe warunki wykonywania pracy naukowej podczas wyjazdu. Jak pokazują doświadczenia wielu badaczy i badaczek, brak jasnych ram instytucjonalnych sprzyja uznaniowości decyzji kadrowych oraz powstawaniu konfliktów. W tej sytuacji zazwyczaj to osoba podejmująca mobilność będzie w trudniejszej sytuacji, szczególnie że wiele osób unika otwartego sporu wewnątrz akademii, nawet gdy stawką są elementarne warunki pracy.

Program Bekker NAWA uznawany jest w środowisku za prestiżowe osiągnięcie i na stałe wpisał się w strategię umiędzynarodowienia polskiej nauki. Cel i założenia programu są jasne, przejrzyste i zgodne z duchem współczesnej nauki. Można zatem uznać, że środki inwestowane w tego typu inicjatywy są dobrze ukierunkowane. Jednocześnie brak jasnej, formalnej ścieżki regulowania relacji z pracodawcą na czas wyjazdu zagraża nadrzędnej misji programu, czyli realizacji projektów i współpracy z jednostkami zagranicznymi. Dlatego

potrzebne jest wypracowanie bardziej przejrzystych i dopasowanych do etapu kariery standardów postępowania w jednostkach naukowych, które zapewniłyby ciągłość zatrudnienia i minimalizowały ryzyko sporów w sytuacjach mobilności finansowanej ze środków publicznych. Jednym z możliwych rozwiązań byłoby systemowe powiązanie finansowania mobilności z jednostką macierzystą, przy jednoczesnym zapewnieniu ciągłości zatrudnienia osoby wyjeżdżającej. Środki mogłyby być przekazywane do instytucji zatrudniającej, z przeznaczeniem zarówno na wynagrodzenie, jak i dodatkowe finansowanie pokrywające podwyższone koszty utrzymania za granicą (zakwaterowanie, wyżywienie, mobilność). Taki model jasno definiowałby mobilność jako formę wykonywania pracy naukowej, minimalizując problemy dotyczące statusu zatrudnienia. Jeśli państwo inwestuje w umiędzynarodowienie badań i oczekuje zwrotu tej inwestycji w postaci nowych kompetencji, współpracy i publikacji, mobilność nie powinna być dla naukowców i naukowczyń prywatnym ryzykiem organizacyjnym. Powinna stanowić instytucjonalnie chronioną formę wykonywania pracy naukowej, taką, która wzmacnia zarówno rozwój indywidualnych karier, jak i potencjał jednostek macierzystych oraz całego systemu nauki. Bez tego najbardziej ambitne strategie umiędzynarodowienia mogą rodzić frustrację nawet przed faktycznym rozpoczęciem mobilności.

*Dr hab. Krzysztof Miler, Instytut Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN.
Biolog, dwukrotny laureat programu Bekker NAWA*

*Dr hab. Daniel Stec, Instytut Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN.
Biolog, laureat programu Bekker NAWA, opiekun stypendysty Ułam NAWA*



rys. Sławomir Makaj

Łukasz Sułkowski

Konsolidacja bez utraty tożsamości

W badaniach nad łączeniem uczelni powraca pytanie, czy mamy do czynienia z realną poprawą jakości i efektywności, czy z retoryką modernizacji, która w praktyce maskuje centralizację lub cięcia.

Konsolidacja uczelni wraca do debaty publicznej zwykle wtedy, gdy akademia przestaje mieścić się w starych ramach: demograficznych, finansowych, technologicznych lub symbolicznych. W Polsce te cztery czynniki nałożyły się na siebie w sposób, który czyni łączenie instytucji równocześnie kuszącą obietnicą i ryzykownym eksperymentem. Obietnica jest prosta: większy podmiot ma większą zdolność przyciągania talentów, grantów, partnerów gospodarczych i studentów, a także – co w epoce rankingów i bibliometrii nie jest błahością – silniejszą rozpoznawalność marki. Ryzyko jest równie proste: w imię skali można zniszczyć to, co w uniwersytecie bywa najcenniejsze i najtrudniej mierzalne: kulturę organizacyjną, akademicką tkankę wspólnoty, poczucie sensu pracy i specyficzne misje wydziałów oraz szkół.

W Polsce rozmowa o konsolidacji nie jest abstrakcją. Dane statystyczne pokazują, że sektor jest jednocześnie duży i strukturalnie zróżnicowany. Według rejestru POL-on w roku akademickim 2024/25 działały 352 uczelnie, a w badaniu statystycznym ujęto 337 podmiotów składających sprawozdania. Te liczby są istotne nie dlatego, że kierują myśli ku konsolidacjom, lecz dlatego, że wskazują na niejednorodność polskiego szkolnictwa wyższego: obok wielkich ośrodków akademickich, istnieją dziesiątki uczelni mniejszych, o innym profilu i innej logice działania, często silnie zakorzenionych regionalnie. Konsolidacja może więc oznaczać nie tylko wzrost i synergię, ale też realokację zasobów: ludzi, dyscyplin, infrastruktury i prestiżu. To zaś uruchamia konflikty interesów, które nie są patologią, lecz normalnym mechanizmem polityki organizacyjnej w akademii.

W tym miejscu warto postawić pytanie wprost, w jakim stopniu konsolidacja ma być instrumentem ratunkowym (dla „słabszych” lub niedoskalowanych podmiotów), projektem rozwojowym (dla silnych graczy, którzy chcą wejść do wyższej ligi), narzędziem polityki państwa mającym przeobrazić mapę instytucjonalną kraju? W praktyce te trzy logiki często mieszają się w jednym procesie i właśnie ta mieszanina bywa źródłem sukcesu albo porażki.

Czym jest konsolidacja w szkolnictwie wyższym?

W debacie potocznej „konsolidacja” bywa synonimem „fuzji”, co jest nadmiernym uproszczeniem. W zarządzaniu

szkolnictwem wyższym to jednak pojęcie parasolowe, obejmujące zarówno twarde łączenie organizacyjne (powstanie jednego podmiotu prawnego), jak i rozwiązania miękkie: federacje, związki, konsorcja, wspólne centra usług czy porozumienia o wspólnym prowadzeniu określonych działań. Różnica między nimi nie jest semantyczna, dotyczy tego, co w uczelni stanowi „rdzeń”: kto decyduje, kto budżetuje, kto zatrudnia, kto odpowiada za jakość, kto ponosi ryzyko.

W literaturze przedmiotu od dawna pojawiają się ostrzeżenia, że o sukcesie konsolidacji rzadko decyduje sam akt formalny. Kluczowe są due diligence, procesy post-merger: integracja struktur, procedur, kultur, a także „architektura” ładu akademickiego (governance). Doświadczenia międzynarodowe pokazują powtarzalny wzór: koszty transakcyjne i koszty społeczne pojawiają się szybko, a efekty synergii – o ile się pojawiają – zwykle z opóźnieniem i po przejściu fazy turbulencji. Dlatego w badaniach nad łączeniem uczelni powraca pytanie, czy mamy do czynienia z realną poprawą jakości i efektywności, czy z retoryką modernizacji, która w praktyce maskuje centralizację lub cięcia.

W polskich realiach szczególnie ważne jest odróżnienie czterech modeli, które w dyskusjach często się mieszają.

Pierwszy model to włączenie (absorpcja): uczelnia A wchłania uczelnię B, a B przestaje istnieć jako podmiot prawny. W praktyce absorpcja może iść w parze z zachowaniem znacznej autonomii wewnętrznej w formie kolegium, kampusu, wydziałów o odrębnej specyfice albo przeciwnie, z twardą integracją procedur i struktur. To model stosowany w kilku kluczowych polskich przypadkach, do których wrócimy.

Drugi model to fuzja symetryczna (amalgamacja): z dwóch (lub kilku) instytucji powstaje nowy podmiot, często z nową nazwą i identyfikacją graficzną. Ten wariant bywa atrakcyjny marketingowo (bo umożliwia reset marki), ale organizacyjnie jest trudniejszy: trzeba zbudować nową tożsamość i nowy ład akademicki bez oczywistych „spadkobierców” dominujących.

Trzeci model to federacja: konstrukcja prawna, w której kilka jednostek uczestniczących tworzy federację w celu wspólnej realizacji zadań, przede wszystkim w zakresie badań i doktoratów, przy zachowaniu odrębności instytucjonalnej. Polski ustawodawca wyraźnie ograniczył federacje: mogą dotyczyć

działalności naukowej, kształcenia doktorantów, nadawania stopni oraz komercjalizacji wyników badań, przy czym federacja nie ma prowadzić kształcenia na studiach.

Czwarty model to konsolidacja funkcjonalna: integracja wybranych usług (biblioteki, IT, zamówienia publiczne, centra aparaturowe, promocja, fundraising, transfer technologii) bez zmiany podmiotowości prawnej. Wiele systemów traktuje ten wariant jako etap przygotowawczy: ma budować zaufanie i „dowody korzyści”, zanim padnie decyzja o federacji lub fuzji.

W praktyce modele te łączą się w sekwencje. W książce *Fuzje uczelni* wyróżniłem dwie wielkie rodziny konsolidacji: ekonomiczno-restrukturyzacyjne (gdy chodzi o koszty i skalę administracji) oraz strategiczne (gdy chodzi o prestiż, rozpoznawalność i pozycję międzynarodową). Wskazałem też na aktualne dzisiaj trzy blokady, które wracają „wszędzie na świecie”: blokadę władzy (kto będzie rządził), blokadę lęku przed zmianą (kto straci) oraz blokadę kulturową (czy da się połączyć odmienne praktyki i wartości). To intuicja zgodna z klasycznymi analizami: nawet jeśli konsolidacja jest racjonalna ekonomicznie, może być irracjonalna społecznie, jeśli uderza w status, hierarchie i rytuały wspólnoty akademickiej. A akademia, w przeciwieństwie do wielu przedsiębiorstw, ma strukturę władzy rozproszoną: obok zarządzania formalnego istnieją obiegi autorytetu naukowego i symbolicznego, które trudno zmienić uchwałą.

Lekcje z zagranicy: gdy państwo gra *va banque*

Polska dyskusja o konsolidacji zyskuje na jakości, gdy przestaje traktować przykłady zagraniczne jako dekorację, a zaczyna je czytać jako studia przypadku: z kontekstem instytucjonalnym, instrumentami polityki publicznej i kosztami społecznymi.

Przypadek fiński jest często przywoływany jako „model sukcesu”. Aalto University rozpoczął działalność 1 stycznia 2010 r. jako efekt połączenia trzech uczelni: Helsinki School of Economics, Helsinki University of Technology oraz University of Art and Design Helsinki. Oficjalna historia Aalto wprost mówi o fuzji jako punkcie startu nowej instytucji. Warto tu zauważyć dwie rzeczy. Po pierwsze, jest to przykład fuzji symetrycznej z nową nazwą; nie „włączono” jednej uczelni do drugiej. Po drugie, fiński sukces był powiązany z polityką państwa, która uznała, że nowy podmiot ma być instrumentem innowacyjności i umiędzynarodowienia; nie chodziło o doraźne oszczędności, lecz o przebudowę pozycji kraju w globalnym ekosystemie nauki.

We Francji konsolidacja była odpowiedzią na problem fragmentacji i widzialności. Jednym z często przywoływanych impulsów był „szok szanghajski”: pierwsza edycja Academic Ranking of World Universities została opublikowana w czerwcu 2003 r. przez Shanghai Jiao Tong University; ranking stał się następnie bodźcem do reform, bo różnice między czołowymi uczelniami amerykańskimi a rozproszonymi strukturami kontynentalnej Europy okazały się brutalnie widoczne. W przypadku Francji polityka „doskonałości” (m.in. Idex) była projektowana jako długofalowe inwestowanie w grupowania uczelni i laboratoriów oraz zachęcanie do łączenia instytucji w bardziej rozpoznawalne całości. Dobrym przykładem jest Université Grenoble Alpes. Oficjalne materiały tej uczelni wskazują na fuzję trzech „grenobelskich” uniwersytetów w 2016 r. i podkreślają cel wprost: większa widzialność międzynarodowa oraz zdolność przyciągania najlepszych studentów i badaczy. To ważne, bo ujawnia mechanizm: państwowy program (PIA/Idex) i lokalna wola instytucji spotykają się w jednym punkcie – wspólnej trajektorii instytucjonalnej, obejmującej także takie elementy jak jednolita sygnatura publikacyjna czy wspólne struktury doktoranckie.

Skandynawia daje jeszcze jedną lekcję: konsolidacja bywa reformą systemu a nie tylko uczelni. W Danii proces konsolidacji w sektorze uniwersyteckim i instytutów badawczych był szeroką zmianą strukturalną, opisywaną w literaturze jako reforma obejmująca zarówno logikę polityczną, jak i instytucjonalną oraz długie procesy post-merger. Źródła europejskie wskazują, że po reformie liczba uniwersytetów spadła (z 12 do 8), a do uniwersytetów włączono liczne instytuty badawcze. Równocześnie prowadzono ewaluację, aby sprawdzić, czy cele reformy – m.in. większy wpływ międzynarodowy badań i innowacyjność – są realizowane.

Warto podkreślić: w tych krajach konsolidacja była „grą o wysoką stawkę”. W Polsce ten warunek – w sensie skali zachęt i stabilności polityki – jest często kwestionowany w samym środowisku akademickim. Dlatego proste kopiowanie modeli jest zwykle skazane na porażkę, bez porównywalnych bodźców, instrumentów prawnych i czasu, pozostaje imitacja formy bez substancji.

Polskie uwarunkowania:

prawo, bodźce, demografia i kultura instytucjonalna

Polska ma dziś trzy nakładające się „języki” konsolidacji: język prawa, język finansowania i język prestiżu. Pierwszy język, prawny, jest jednocześnie precyzyjny i ograniczający. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce wprost przewiduje federację jako element systemu. Jednak konstrukcja federacji jest wyraźnie „naukowo-doktorancka”: federację tworzy się, aby wspólnie prowadzić działalność naukową, kształcić doktorantów, nadawać stopnie i komercjalizować wyniki badań. Jednostki uczestniczące mogą powierzyć federacji inne zadania, ale z wyłączeniem prowadzenia kształcenia na studiach. W praktyce oznacza to, że federacja nie jest narzędziem integracji dydaktyki w sensie klasycznych studiów, chyba że ustawodawca zmieni reguły gry. Ta luka jest szczególnie ważna, bo to obszar dydaktyki i usług studenckich bywa polem największych „korzyści skali” (wspólne programy, wspólne centra kompetencji, wspólne standardy jakości). Drugi język, finansowy, dotyczy zachęt. Z perspektywy polityki publicznej kluczowe jest, czy państwo „płaci za zmianę”, czy jedynie ją deklaruje. W polskich materiałach i debacie przewijają się różne propozycje. Z jednej strony w środowisku akademickim od lat sygnalizowano, że zachęty w rodzaju kilkuprocentowych dodatków do subwencji są niewystarczające wobec kosztów konsolidacji. Z drugiej strony w 2024 r. minister nauki publicznie mówił o planie zachęty finansowej w postaci zwiększenia subwencji o 10% dla uczelni decydujących się na konsolidację. Równoległe mechanizmy rozporządzeniowe dotyczące „tunelu” subwencji tworzyły możliwość podniesienia subwencji dla podmiotów powstałych w wyniku połączenia – w debacie publicznej pojawia się choćby wskazanie, że połączenie może otworzyć drogę do subwencji rzędu 110% sumy subwencji dotychczasowych podmiotów, choć nie jest to zawsze mechanizm automatyczny. Trzeci język, prestiżowy, działa bardziej subtelnie, lecz bywa silniejszy niż bodźce finansowe. W realiach globalnej konkurencji uczelnie porównują się nie tylko zasobami, ale też narracjami: czy są „uniwersytetem badawczym”, „ośrodkiem innowacji”, „hubem regionalnym”, „marką międzynarodową”. Presja rankingowa i bibliometryczna nie jest jedynym kryterium jakości, lecz realnie wpływa na zachowania instytucji, zwłaszcza w krajach, które czują niedosyt widzialności.

Te trzy języki napotykają polską specyfikę instytucjonalną. Po pierwsze, akademia jest „archipelagiem” dyscyplin i kultur organizacyjnych: medycyna działa inaczej niż humanistyka, politechnika inaczej niż uniwersytet klasyczny, uczelnia artystyczna inaczej niż badawcza. Dlatego konsolidacja „różno-

rodności” bywa trudniejsza niż konsolidacja „podobieństwa” i wymaga projektowania mechanizmów, które nie zniosą różnic, lecz je uporządkują. Po drugie, polskie doświadczenia wskazują, że miękkie formy współpracy często rozbijają się o brak czytelnych celów, budżetów i instrumentów wykonawczych. W analizach dotyczących związków uczelni podkreślano, że wcześniejsze regulacje dawały „formę” bez wystarczającej „treści”, co obniżało motywację do podejmowania ryzyka konsolidacyjnego. Po trzecie, konsolidacja dotyczy polityki kadrowej i statusu. W akademii „władza” nie jest tylko kwestią rektora; jest sumą wpływów wydziałów, dyscyplin, katedr, klinik, grup badawczych. Dlatego w procesach łączenia wraca pytanie o autonomię podmiotów, o budżety jednostek, o odrębność polityki personalnej, o to, kto ma prawo kształtować strategię. Ten kontekst sprawia, że polska konsolidacja, jeśli ma być poważna, musi umieć odpowiedzieć na dylemat: jak budować wspólną zdolność (capacity) bez niszczenia autonomii tam, gdzie jest ona warunkiem jakości. Najciekawsze polskie przykłady nie rozwiązały tego dylematu przez wybór jednej skrajności, lecz przez złożone kompromisy.

Scenariusze i studia przypadków w Polsce

Polskie przypadki konsolidacji warto czytać jak katalog scenariuszy: od miękkiej kooperacji, przez federację, po włączenie i fuzję. Każdy scenariusz jest „modelem zarządzania ryzykiem”: innym ryzykiem obarczona jest federacja badań, innym włączenie uczelni medycznej do uniwersytetu klasycznego, a jeszcze innym pełna integracja struktur uczelni cywilnej i wojskowej.

Pierwszy scenariusz – związek jako etap przejściowy do federacji – najlepiej ilustruje przykład gdański. Związek Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita powstał na wspólny wniosek rektorów trzech uczelni: Uniwersytetu Gdańskiego, Politechniki Gdańskiej oraz Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego; jego statut określa organy i sposób zarządzania. Oficjalne materiały związku podają m.in. skalę potencjału: 44 tys. studentów i ok. 4 tys. pracowników naukowo-badawczych i dydaktycznych oraz ponad 1700 doktorantów. W wypowiedziach programowych, m.in. prof. Krzysztofa Wildego, rektora Politechniki Gdańskiej, związek przedstawiany jest jako narzędzie wzrostu rozpoznawalności (wybór patrona – Daniel Fahrenheit) oraz budowy efektu skali przez wspólne zespoły międzyuczelniane i rozwój centrów wspólnej obsługi. Zwraca uwagę wątek „zarządzalnej skali”: ok. 40–50 tys. studentów jako poziom, przy którym da się łączyć oddziaływanie z kontrolą zarządzającą. Po dekadzie od stworzenia tego aliansu, w 2026 r. scenariusz gdański staje się jeszcze ciekawszy, bo przechodzi w fazę „dyskusji o kształt federacji”. Media i wywiady wskazują, że uczelnie rozważają federację, ale postulują zmiany ustawowe, aby zachować autonomię i elastyczność np. w sprawie sposobu ewaluacji czy przepływu środków powiązanych z programami doskonałości. Jednocześnie pojawiają się informacje o zainteresowaniu uczelni artystycznych dołączeniem do związku. Ten przypadek pokazuje fundamentalną rzecz: konsolidacja w formule federacyjnej jest w Polsce nie tyle problemem „woli” uczelni, ile dopasowania narzędzia prawnego do realnego modelu współpracy, jaki uczelnie chcą budować.

Drugi scenariusz to federacja cząstkowa jako laboratorium integracji naukowej w sektorze wojskowym. Najlepiej ilustruje go istniejąca Federacja Akademii Wojskowych. Jest to przypadek szczególnie interesujący dlatego, że nie mamy tu do czynienia ani z prostą współpracą międzyuczelnianą, ani z klasyczną fuzją, lecz z wykorzystaniem instrumentu przewidzianego w ustawie do budowy wspólnej warstwy badawczej i doktorskiej ponad odrębnymi uczelniami wojskowymi. Federacja Akademii Marynarki Wojennej im. Bohaterów Westerplatte oraz

Lotniczej Akademii Wojskowej powstała w 2021 roku. Sama architektura organizacyjna federacji jest przy tym wymowna: siedziba FAW znajduje się w Gdyni, natomiast biuro szkoły doktorskiej ulokowano w Dęblinie, co pokazuje, że integracja nie polega tu na skupieniu wszystkiego w jednym ośrodku, lecz na rozproszonej współpracy. Jednym z jej celów jest osiągnięcie takiego poziomu działalności naukowej, który umożliwi uruchomienie szkoły doktorskiej i stabilne prowadzenie postępowań o nadanie stopni naukowych. Siła tego modelu ujawniła się w ewaluacji działalności naukowej za lata 2017–2021. FAW była oceniana w pięciu dyscyplinach i uzyskała kategorię A+ w naukach o bezpieczeństwie, kategorii A w automatyce, elektronice i elektrotechnice oraz w pedagogice, a także kategorii B+ w inżynierii lądowej i transporcie oraz inżynierii mechanicznej. To nie jest detal statystyczny, lecz rdzeń sensu całego przedsięwzięcia: federacja uzyskała realną, rozpoznawalną podmiotowość naukową, zdolność prowadzenia działalności ewaluowanej i rozwijania własnych organów awansowych, a więc stała się czymś więcej niż wspólną marką.

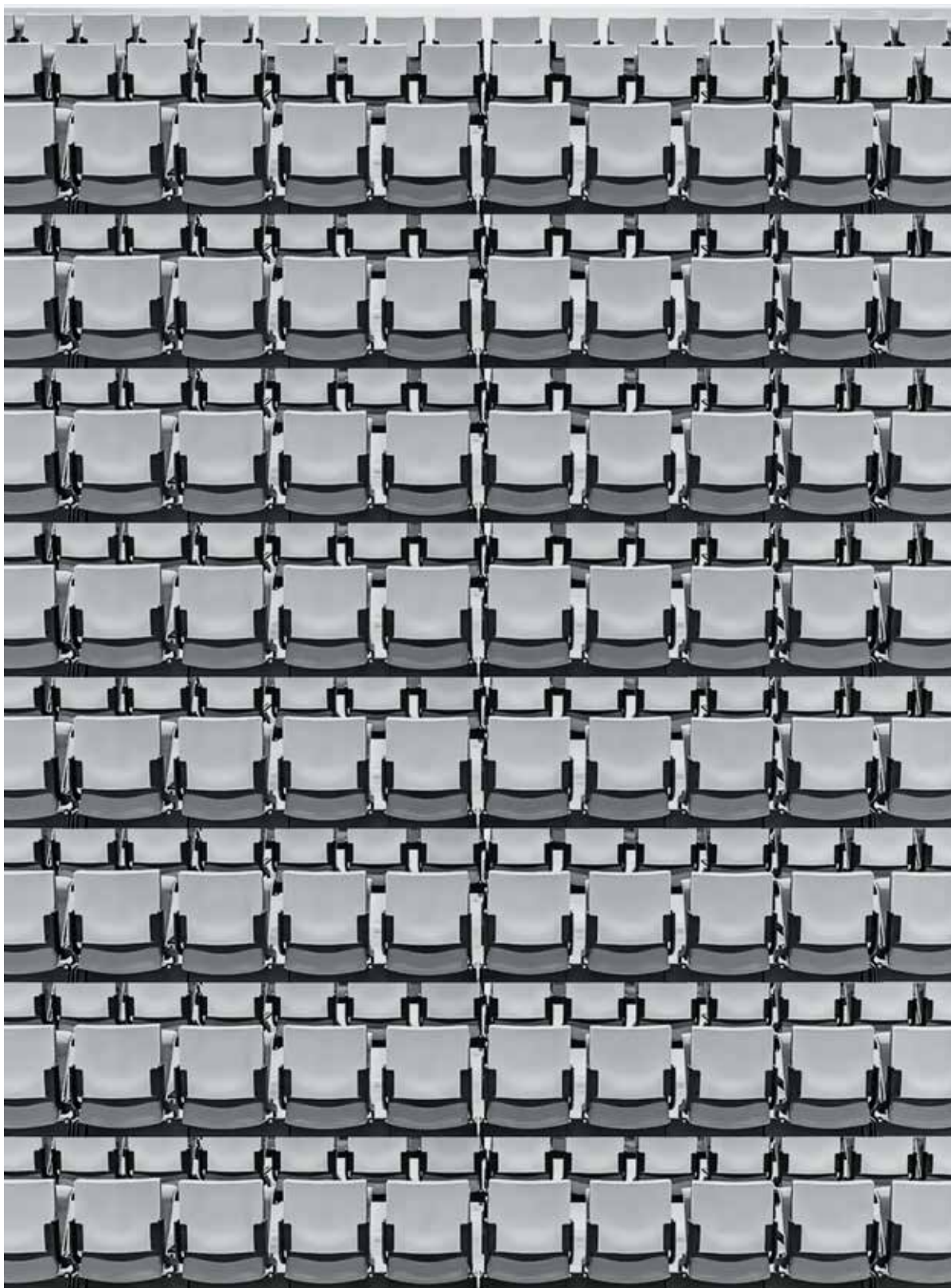
Trzeci scenariusz, włączenie z zachowaniem dużej autonomii wewnętrznej, reprezentuje klasyczny przypadek krakowski. Ustawa z 1993 r. włączyła Akademię Medyczną w Krakowie do Uniwersytetu Jagiellońskiego, znosząc Akademię jako osobny podmiot. W efekcie powstał model, który do dziś jest w Polsce często przywoływany jako kompromis między jednością a autonomią: Collegium Medicum jako grupa wydziałów medycznych w strukturze Uniwersytetu Jagiellońskiego cechuje się daleko posuniętą autonomią. Wewnętrzna autonomia Collegium Medicum nie oznacza separacji, lecz specyficzny układ zarządczy i tożsamościowy: medycyna w uniwersytecie klasycznym zachowuje własną społeczność, rytmy pracy i silne powiązania z systemem ochrony zdrowia. W polskich analizach historycznych podkreślano, że sama konsolidacja była trudna nie tylko formalnie, ale i symbolicznie – wymagała długiego „dochodzenia do wspólnoty” po okresie wyodrębnienia. W tym sensie krakowski przypadek uczy, że włączenie może działać, jeśli równocześnie buduje się mechanizmy ochrony specyfiki (np. medycyny), zamiast próbować ją ujednolicić. Pozytywne doświadczenie konsolidacji skłania UJ do prowadzenia negocjacji z kolejnymi krakowskimi uczelniami na temat możliwości włączenia w struktury Uniwersytetu Jagiellońskiego z wykorzystaniem mechanizmu prawnego federacji.

Czwarty scenariusz, w istocie podobny do przypadku Uniwersytetu Jagiellońskiego, polega na włączeniu z ambicją budowy nowej roli uczelni – to przypadek bydgosko-toruński. Ustawa z 8 października 2004 r. włączyła Akademię Medyczną im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy do Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Powstało wówczas Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera UMK. Ten przykład pokazuje, że włączenie bywa też narzędziem terytorialnego „doskalowania” uniwersytetu, w tym wypadku przez rozszerzenie o silny komponent medyczny, a więc o inny typ infrastruktury, relacji z otoczeniem i logik finansowania. W praktyce przypadek UMK jest często interpretowany jako test, czy model „kolegium” może utrzymać równowagę między integracją a „miastem gospodarczym”. W źródłach rocznicowych akcentuje się wagę samego aktu ustawowego i wcześniejszych uchwał senatów. W szerszej perspektywie to scenariusz, w którym konsolidacja jest także polityką regionalną: Bydgoszcz zachowuje znaczący ośrodek medyczny, ale włączony w większą strukturę uniwersytetu, ulokowanego w sąsiednim dużym mieście.

Piąty scenariusz, twarda integracja cywilno-wojskowa, ilustruje przypadek łódzki. Oficjalna historia wskazuje, że na mocy ustawy z 27 lipca 2002 r. powołano Uniwersytet Medyczny w Łodzi, łącząc cywilną Akademię Medyczną w Łodzi z Woj-

skową Akademię Medyczną w Łodzi; uczelnia rozpoczęła misję 1 października 2002 r. Ten przypadek jest ważny, bo pokazuje konsolidację w warunkach silnej ingerencji państwa i specyficznego interesariusza – struktur obronnych i systemu kształcenia wojskowego. W latach 2024–2026 w debacie publicznej poja-

wiają się projekty związane z reaktywacją WAM, co paradoksalnie uwydatnia, że konsolidacja instytucji może być odwracalna politycznie, jeśli zmieniają się priorytety strategiczne państwa. W kontekście analizy konsolidacji jest to lekcja o trwałości: formalna fuzja nie musi oznaczać trwałego „zamknięcia” narracji



Rys. Sławomir Makal

Konsolidacja uczelni wraca do debaty publicznej

instytucjonalnych, zwłaszcza gdy instytucja ma silny komponent symboliczny i państwowy.

Szósty scenariusz, fuzja dwóch uczelni w jeden nowy uniwersytet, w Polsce dobrze ilustruje Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie. Uczelnia powstała 1 stycznia 2009 r. z połączenia Akademii Rolniczej w Szczecinie i Politechniki Szczecińskiej, co potwierdzają zarówno materiały historyczne uczelni, jak i źródła publiczne. Z perspektywy zarządzania jest to przykład integracji „pokrewnych” profili (techniczny i przyrodniczo-rolniczy), ale nawet tu procesy integracyjne okazywały się długotrwałe. W polskich komentarzach podkreślano, że fuzja instytucjonalna nie kończy się w momencie uchwały, lecz trwa latami jako „konsolidacja operacyjna”. Warto dodać, że polska historia zna jeszcze wcześniejsze fuzje, które budowały nowe uniwersytety regionalne, np. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie (utworzony w 1999 r. z połączenia trzech szkół wyższych: ART, WSP oraz Warmińskiego Instytutu Teologicznego) czy Uniwersytet Zielonogórski (utworzony w 2001 r. z połączenia WSP i Politechniki Zielonogórskiej). Pokazują one, że Polska ma własną tradycję „uniwersytetów z połączenia”, a więc konsolidacja nie jest tu wynalazkiem ostatnich reform, lecz narzędziem używanym etapami od dekad.

Siódmy scenariusz to konsolidacja biznesowo-organizacyjna w sektorze niepublicznym – ma inną logikę, lecz jest równie pouczający. Tutaj dwa przykłady wybrane spośród kilkudziesięciu konsolidacji uczelni niepublicznych zrealizowanych w ostatniej dekadzie. Od 1 sierpnia 2025 r. Wszechnica Polska ANS stała się częścią oddziału warszawskiego Akademii WSB. To przykład integracji, w której kluczową rolę odgrywają: poszerzenie sieci wydziałów przez wiodącą uczelnię o jednostkę w stolicy oraz zdolność do przenoszenia programów kształcenia i usług w ramach większej struktury. W tym samym obszarze warto przywołać jeszcze jeden ważny przykład. W Polsce funkcjonuje federacja niepubliczna w oparciu o instrumenty ustawowe – Federacja Naukowa WSB-DSW Merito, opiswana jako pierwsza tego typu federacja naukowa powołana na mocy ustawy z 2018 r., a utworzona w 2019 r. w celu łączenia potencjału naukowego kilku uczelni mających jednego założyciela. Ten przykład jest szczególnie istotny dla polskiej debaty, bo przeczy stereotypowi, że federacje są wyłącznie „publiczne” albo że narzędzia prawne pozostają martwe. Jednocześnie pokazuje, że w sektorze niepublicznym, gdzie presja rynkowa jest bezpośrednia, bodźce do konsolidacji mogą działać szybciej niż w sektorze publicznym.

Co musi się wydarzyć, aby konsolidacja była sukcesem?

Jeżeli potraktować konsolidację jako narzędzie polityki publicznej i strategii instytucjonalnej, kluczowe staje się pytanie o warunki brzegowe. Co odróżnia konsolidację rozwojową od konsolidacji pozorowanej lub destrukcyjnej?

Po pierwsze, musi istnieć czytelna teoria zmiany. W przykładach zagranicznych (Aalto, Grenoble) konsolidacja była elementem większej opowieści: innowacje, umiędzynarodowienie, widzialność, zdolność do pozyskiwania zasobów. W Polsce ten element bywa rozmyty, bo konsolidację uzasadnia się jednocześnie demografią, pieniędzmi, rankingami i regionalnym rozwojem. To wszystko są ważne racje, ale razem tworzą program zbyt szeroki, by dał się zarządzać. Dobra teoria zmiany odpowiada na pytanie: co dokładnie ma być lepsze za pięć–dziesięć lat i jak to zmierzmy, bez zamieniania wskaźników w fetysz.

Po drugie, potrzebna jest realna stawka w grze. Jeżeli zachęty finansowe są mniejsze niż koszty transakcyjne (prawne, kadrowe, infrastrukturalne, informatyczne) oraz koszty społeczne (spadek morale, odpływ talentów, konflikty), konsolida-

cja będzie racjonalna tylko dla tych, którzy i tak muszą się ratować. Tymczasem konsolidacje rozwojowe wymagają, by opłacało się ryzykować także silnym. W Polsce pojawiają się różne sygnały na temat potrzeby prostych korzyści z konsolidacji: deklaracje zachęty 10% subwencji w debacie publicznej oraz mechanizmy umożliwiający utrzymanie lub zwiększenie subwencji po połączeniu. Jeżeli jednak instrumenty te nie będą stabilne i przewidywalne, uczelnie będą wybierały modele miękkie, minimalizujące ryzyko polityczne.

Po trzecie, konieczne jest zarządzanie trzema blokadami: władzy, lęku i kultury. Blokada władzy wymaga rozstrzygnięć nie tylko personalnych, ale ustrojowych: kto ma kompetencje w sprawach kadrowych, jak wyglądają budżety jednostek, czy utrzymuje się instytucje pośrednie (kolegium, kampus), jak przebiega proces decyzyjny. Blokada lęku wymaga uczciwej polityki gwarancji: co będzie z pracownikami administracji, jakie są ścieżki awansu i mobility, jakie będą kryteria oceny. Blokada kultury wymaga czasu i pracy instytucjonalnej: wspólnych standardów, wspólnych rytuałów, ale także ochrony różnic tam, gdzie są one warunkiem jakości.

Po czwarte, trzeba dopasować narzędzie prawne do celu, a każda konsolidacja jest innym przypadkiem. Jeżeli federacja z definicji nie może prowadzić kształcenia na studiach, a kluczowym celem konsolidacji w danym mieście jest wspólna oferta dydaktyczna czy wspólne programy, to federacja nie rozwiąże problemu, chyba że zostanie zmieniona ustawa lub zostaną stworzone rozwiązania pośrednie (np. konsolidacja funkcjonalna usług edukacyjnych przy zachowaniu odrębności programów). W przykładzie gdańskim dyskusja o federacji ujawnia właśnie tę sprzeczność: uczelnie chcą być razem, ale zachować autonomię, i jednocześnie oczekują, że narzędzie federacji będzie elastyczne.

Po piąte, nie wolno mylić konsolidacji z centralizacją. Centralizacja jest najłatwiejszym „produktem ubocznym” łączenia: skoro mamy jedną strukturę, łatwo uznać, że wszystko musi być jednolite. Tymczasem najlepsze przykłady polskie pokazują, że integracja bywa skuteczna właśnie wtedy, gdy jest selektywna: integruje się to, co daje efekt skali (np. aparatura, systemy wsparcia grantów, zamówienia, wsparcie IT), a zostawia się autonomię tam, gdzie różnorodność jest funkcjonalna (np. część polityk dydaktycznych i klinicznych). W tym sensie model „kolegium”, zarówno w Krakowie, jak i w Bydgoszczy, pokazuje, że można szukać rozwiązań hybrydowych.

I wreszcie – trzeba odwrócić perspektywę. Konsolidacja nie jest celem, jest metodą. Metodą na wytworzenie zdolności instytucjonalnych, których pojedynczym, niedoskalowanym podmiotom coraz trudniej bronić: zdolności do prowadzenia badań interdyscyplinarnych, do umiędzynarodowienia, do budowania infrastruktury badawczej, do profesjonalizacji zarządzania i do utrzymywania jakości w warunkach presji kosztowej.

W istniejącej sytuacji każda uczelnia w Polsce powinna podjąć refleksję nad możliwymi i korzystnymi formami konsolidacji. Jednak polska debata powinna zejść z poziomu „czy łączyć?” na poziom „jak łączyć, żeby nie stracić tego, co decyduje o jakości” i „kiedy nie łączyć, bo potencjalne koszty przewyższają korzyści”. Najbardziej frapujące w polskich doświadczeniach jest to, że najlepsze scenariusze nie są ani czystą fuzją, ani czystą autonomią. To projekty, które chcą zbudować instytucję silniejszą i większą bez utraty tożsamości.

Prof. dr hab. Łukasz Sułkowski, profesor nauk ekonomicznych i humanistycznych, specjalista w zakresie polityk publicznych w szkolnictwie wyższym i nauce. Kierownik Katedry Zarządzania Instytucjami Szkolnictwa Wyższego Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent Akademii WSB.

Nowe zasady tworzenia list czasopism i wydawnictw

Ukazało się też rozporządzenie ministra nauki i szkolnictwa wyższego w sprawie sporządzania wykazów czasopism i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych oraz wydawnictw monografii naukowych. Na jego podstawie powstaną projekty obu wykazów, które Komisja Ewaluacji Nauki przekaze ministrowi. Listy, które mają być gotowe po wakacjach, posłużą do przeprowadzenia ewaluacji jakości działalności naukowej za lata 2026–2030.

Wykaz wydawnictw publikujących recenzowane monografie naukowe będzie podzielony nie – jak do tej pory – na dwie, lecz na trzy kategorie punktowe. Najmniej, 80 punktów, dostaną oficyny, które spełniają etyczne i naukowe standardy dzięki stosowaniu zasad etyki mających przeciwdziałać nieuczciwym praktykom publikacyjnym (zgodnie z wytycznymi Komitetu do spraw Etyki Publikacyjnej, Committee on Publication Ethics – COPE) oraz ustalonej procedury recenzji monografii naukowych, w tym monografii pod redakcją.

Druga kategoria, 140 punktów, obejmie wydawnictwa, które oprócz powyższych warunków publikują recenzowane monografie wnoszące istotny wkład w rozwój krajowej nauki; prowadzą politykę wydawniczą przyczyniającą się do upowszechniania monografii w skali krajowej; stosują jednolite standardy kwalifikowania książek do publikacji, niezależnie od wniesienia opłaty za publikację i wysokości tej opłaty.

Dwieście punktów zostanie przyznane wydawnictwom, które dodatkowo publikują recenzowane monografie wnoszące najbardziej istotny wkład w rozwój krajowej nauki lub istotny wkład w rozwój światowej nauki; prowadzą politykę wydawniczą przyczyniającą się do upowszechniania monografii naukowych w skali światowej; zajmują czołową pozycję w opinii środowiska naukowego z uwzględnieniem pozycji zajmowanej w międzynarodowych zestawieniach klasyfikujących wydawnictwa; stosują jednolite standardy kwalifikowania monografii do publikacji niezależnie od wniesienia opłaty za publikację i wysokości opłaty.

W przypadku czasopism automatycznie w wykazie uwzględnione będą tytuły ujęte w bazach Scopus i Web of Science (Science Citation Index Expanded, Social Sciences Citation Index, Arts & Humanities Citation Index, Emerging Sources Citation Index), recenzowane materiały z konferencji w International CORE Conference Rankings ICORE; a także beneficjentów programu „Wsparcie dla czasopism naukowych”. Fakultatywnie mogą do wykazu zostać włączone czasopisma z baz ERIH+ (European Reference Index for the Humanities and Social Sciences), DOAJ (Directory of Open Access Journals), EBSCO oraz Index Copernicus International (Journal Master List). W tym przypadku wstępnej selekcji będą podlegały czasopisma posiadające krajową i międzynarodową renomę, wywierające szczególnie wpływ na rozwój danej dyscypliny naukowej oraz spełniające etyczne i naukowe standardy. Dla każdego tytułu eksperci sporządzą uzasadnienie.

Ocena będzie przeprowadzana dwuetapowo: najpierw ocena bibliometryczna i przypisanie czasopismom dyscypliny naukowej albo dyscyplin naukowych (to zadanie KEN), a następnie ocena ekspercka (członkowie komitetów PAN). Ocena bibliometryczna będzie dokonywana w oparciu o wartości centylowe wyliczone na podstawie wartości wskaźników wpływu, m.in. CiteScore, Sci-

mago Journal Rank, Journal Impact Factor. W ten sposób czasopismom zostaną przypisane progi punktowe: 200, 140, 100, 70 i 40 punktów.

Do oceny eksperckiej zostaną zakwalifikowane czasopisma istotne dla realizacji celów polityki naukowej państwa, przyczyniające się do popularyzacji nauki, posiadające ustaloną procedurę recenzji naukowej, przestrzegające zasad etyki publikacyjnej zgodnych z wytycznymi COPE. Propozycja zakwalifikowania czasopisma do oceny eksperckiej będzie wymagała uzasadnienia.

W ocenie eksperckiej będzie branych pod uwagę 5 kryteriów: ujęcie czasopisma w międzynarodowych bazach i wartość wskaźników wpływu (0–20 pkt.); rozpoznawalność czasopisma i jego znaczenie dla rozwoju dyscypliny naukowej ze szczególnym uwzględnieniem pozycji w Polsce (0–15 pkt.); poziom merytoryczny artykułów publikowanych w czasopiśmie (0–20 pkt.); publikowanie artykułów naukowych w języku angielskim i umiędzynarodowienie periodyku (0–25 pkt.); upowszechnianie i popularyzacja polskiej nauki, polskiej kultury i myśli technologicznej oraz języka polskiego (0–20 pkt.).

W przypadku czasopism przypisanych do dyscypliny z dziedziny nauk inżyniersko-technicznych, medycznych i o zdrowiu, rolniczych, ścisłych i przyrodniczych oraz weterynaryjnych maksymalna punktacja w wyniku oceny eksperckiej wyniesie 70 punktów, zaś w naukach humanistycznych, społecznych, teologicznych i nauk o rodzinie – 200 pkt.

KEN może też ująć w projekcie wykazu czasopisma znajdujące się w bazach, a niewybrane przez ekspertów – otrzymają one 20 punktów. Możliwe jest też podwyższenie lub obniżenie wartości punktowych o maksymalnie dwa progi. W pierwszym wariantcie chodzi o periodyki, których wartość punktowa nie będzie odzwierciedlała, zdaniem KEN, ich rzeczywistej pozycji naukowej. Druga opcja dotyczy tytułów stosujących nierzetelne praktyki publikacyjne, a konkretnie: liczba wydań specjalnych w roku kalendarzowym poprzedzającym opublikowanie wykazu jest większa niż liczba wydań wynikająca z częstotliwości ukazywania się periodyku lub liczba artykułów opublikowanych w wydaniach specjalnych w roku kalendarzowym poprzedzającym opublikowanie wykazu jest większa niż w wydaniach wynikających z częstotliwości ukazywania się czasopisma.

Recenzowanym materiałom z konferencji naukowych pozostawiono próg 200 punktów dla konferencji z kategorią A*; 140 punktów (A), 70 punktów (B), 40 punktów (C), 20 punktów (Australasian albo Regional). KEN może podwyższyć albo obniżyć punktację o maksymalnie dwa progi w przypadku uznania, że kategoria nie odzwierciedla rzeczywistej pozycji naukowej konferencji.

Rozporządzenie wprowadza uproszczony tryb sporządzania wykazu. Umożliwi to częstszą aktualizację listy, która uwzględni zmianę wskaźników bibliometrycznych, a także pojawienie się w międzyczasie całkiem nowych tytułów – będzie możliwość włączenia ich do wykazu w trakcie ewaluacji. Nowe wykazy, które pojawią się najprawdopodobniej po wakacjach, będą obowiązywać od 1 stycznia 2026 roku. Na ich podstawie zostanie przeprowadzona ewaluacja jakości działalności naukowej za lata 2026–2030.

MK

Zbigniew Drozdowicz

Jeszcze raz o naukowej monografii

Lista wydawnictw publikujących recenzowane monografie była i jest nadal bardzo długa. Znajdują się na niej zarówno oficyny, które przez wiele lat pracowały na swoją renomę, jak i takiej renomy nie posiadające. Niepokoić może również to, że niektóre wydawnictwa wcześniej znane z przestrzegania wysokich standardów naukowości, obniżyły „loty” i zaczęły się dopasowywać do reguł rynkowych.

Jakiś czas temu wypowiadałem się na łamach FA na temat naukowych monografii. Zmiany zachodzące w środowisku akademickim są jednak tak dynamiczne, że trzeba byłoby być prorokiem, aby trafnie przewidzieć to, co może się pojawić po kilku. Dotyczy to również monografii. Zwróć uwagę na kilka kwestii, które mogą mieć wpływ nie tylko na podejmowanie prób napisania takiego dzieła, ale także na ocenę parametryczną dyscypliny; a parametryzacja przecież już puka do drzwi.

Co się nie zmieniło?

Na początek kilka słów o tym, co nie uległo zmianie w sprawie monografii. Po pierwsze zatem nie zmieniło się marzenie uczonych, aby napisać i opublikować w prestiżowym wydawnictwie monografię, która „rzuci na kolana” nawet najbardziej nieprzychylną część akademickiego środowiska, a im samym zapewni miejsce w pantheonie naukowych wielkości. Rzecz jasna pomarażyć można, a czasami nawet trzeba, bo może to okazać się bardziej konstruktywne niż biernie przyglądanie się tym, którzy takie monografie napisali i osiągnęli w nauce znaczące sukcesy. Problem jednak w tym, aby nie poprzestawać na marzeniach. Z mojej akademickiej młodości pamiętam osoby, które „wszem wobec” opowiadały, że pracują nad wielką monografią, na którą nie zdobył się nikt przed nimi. I co? Niestety żadna taka monografia nie powstała. Niektórzy musieli dość szybko pożegnać się z uczelnią, bowiem ich osiągnięcia naukowe były dalekie od obowiązujących wymagań. Inne zadowolili się uzyskaniem stopnia doktora habilitowanego oraz stanowiskiem profesora uczelnianego i uznali, że spełnili już swoją naukową misję. Są również osoby, które nadal snują podobne plany, mimo że weszli już w wiek emerytalny.

Po drugie nie zmieniło się traktowanie naukowych monografii jako osiągnięcia bardziej znaczącego niż naukowy artykuł; nie tylko przez autorów, ale także przez stanowiących kryteria osiągnięć uczonemu i dyscypliny, do której daje on swoją afiliację. Nadal obowiązuje rozporządzenie ministra nauki i szkolnictwa wyższego z 12 grudnia 2016 r. w tej sprawie. Doprecyzowano w nim pojęcie monografii (poprzez wskazanie, że „stanowi ona spójne tematycznie opracowanie naukowe” oraz „przedstawia

określone zagadnienie w sposób oryginalny i twórczy”), wprowadzono kategorię „monografia – dzieło wybitne”, a także wskazano dla niej kryteria (w świetle tego rozporządzenia można do nich zaliczyć tylko te, które otrzymały którąś z 7 nagród). Jednak obniżono minimalną objętość monografii do „co najmniej 6 arkuszy wydawniczych” (wcześniej było 10). Uzupełnieniem był „wzór karty oceny jednostek o zakresie działalności należącym do grupy nauk” oraz przypisane monografiom określone punktacje: wówczas mieściła się ona w przedziale od 25 do 50 pkt. („w przypadku monografii naukowej uznanej za dzieło wybitne”). Wprawdzie mniej korzystny był przelicznik za monografię wieloautorską, jednak korzystniejszy niż za artykuł w czasopiśmie. W późniejszych latach te przeliczniki się zmieniły (w przypadku monografii opublikowanej w którymś z 36 zagranicznych wydawnictw z najwyższej półki można otrzymać 200 pkt), jednak niezmienna pozostała ich wyższa punktacja niż punktacja artykułów w zdecydowanej większości czasopiśmie z ministerialnej listy. Sprawilo to, że zaczęły się pojawiać produkty „monografiopodobne”, jeśli tak można nazwać coś, co jest jedynie „zszywką” wcześniej opublikowanych artykułów.

Nie nawołuję do „polowań na czarownice”. Chcę jedynie powiedzieć, że nie zmieniła się skłonność uczonych do wyszukiwania luk, przez które można się przecisnąć, jeśli kogoś nie stać na pokonanie barier wymagających odpowiednio wysokich kwalifikacji i odpowiednio dużego nakładu pracy. A nie jest to przecież biblijne „ucho igielne”, dostępne jedynie dla najwybitniejszych.

Jednak to, czy etyczne standardy naukowej przyzwoitości nie zmieniły się w ostatnich latach jest już kwestią dyskusyjną. *Kodeks etyki pracownika naukowego* nie jest wprawdzie aż tak starej daty (został uchwalony 13 grudnia 2012 r.), aby można byłoby powiedzieć, że pochodzi z innej epoki, jednak można się poważnie zastanawiać, czy wyraża on już tylko pewne ideały, czy jest również dopasowany do realiów akademickiego życia w naszym kraju. Tak czy inaczej płynna jest granica między zwyczajnym cwaniactwem i nadzwyczajną zaradnością uczonych. Problem w tym, że to, co dla jednego jest wyrazem cwaniactwa, dla drugich stanowi dowód zaradności.

Co się zmieniło?

Przeprowadzona ponad cztery lata temu parametryzacja dyscyplin naukowych pokazała, że dosyć radykalnie zmienił się obraz akademickiej Polski. Niespodzianką dla wielu było pojawienie się na czołowych miejscach ośrodków, o których „potędzie” słyszeli głównie ich pracownicy. A i to nie wszyscy, bowiem zdarzało się, że wysoką kategorię otrzymała jedna czy dwie dyscypliny z takiego ośrodka, a pozostałe znajdowały się w ogniu „peletonu”. Dla osób, które już wcześniej wskazywały, że ministerialna lista czasopism i wydawnictw jest wyrazem paranoi, nie było to jednak wielkim zaskoczeniem. Dla publikacji pretendujących do miana naukowych monografii otworzył się swoisty raj. Lista wydawnictw publikujących recenzowane monografie była i jest nadal bardzo długa. Znajdują się na niej zarówno oficyny, które przez wiele lat pracowały na swoją renomę, jak i takiej renomy nie posiadające. Niepokoić może również to, że niektóre wydawnictwa wcześniej znane z przestrzegania wysokich standardów naukowości, obniżyły „loty” i zaczęły się dopasowywać do reguł rynkowych. Dotyczy to nie tylko polskich wydawnictw, także zagranicznych, które na ministerialnej liście zajmują najwyższe pozycje. Wprawdzie nie dołączyły one jeszcze do grona największych „drapieżników” wydawniczych (takich jak Penguin Random House czy Hachette Livre), jednak już dzisiaj stosują podział publikacji na takie, które mogą przyczynić się do utrzymania naukowego prestiżu, oraz takie, które gwarantują większe zyski ze sprzedaży lub dofinansowania publikacji. Odrębną kategorię stanowią te finansowane w całości przez autora lub jego instytucjonalnego sponsora. Rzecz jasna koszty takiego zewnętrznego finansowania różnią się w poszczególnych wydawnictwach. Jednak jest regułą, że im wyższym prestiżem w środowisku akademickim cieszy się wydawnictwo, tym te koszty są wyższe. Mogli się o tym przekonać autorzy, którzy otrzymywali kosztorysy swoich monografii z kilku takich wydawnictw.

Problemem jest również kwestia recenzowania monografii zgłoszonych do druku. W wydawnictwach zagranicznych z najwyższej ministerialnej „półki” z reguły występuje kilkustopniowy proces opiniowania. Zdarza się, że monografie są odrzucane już na wstępnym etapie, jednak nie na podstawie opinii naukowego specjalisty, lecz odpowiedzialnego za określony dział w wydawnictwie redaktora, który być może orientuje się, czy dana propozycja przyniesie wydawnictwu finansowy zysk. Pozostają jednak wątpliwości, czy ma on odpowiednie kompetencje, aby ocenić książkę również pod względem wartości naukowej, a jego opinia rzadko kiedy jest weryfikowana. W wydawnictwach z niższej „półki” do druku przyjmowane jest albo wszystko „jak leci” (bo plan wydawniczy trzeba czymś zapełnić), albo rekomendacje wydawnicze mają nie-raz charakter grzecznościowy, koleżeński lub tak zdawkowy, że odnosi się wrażenie, iż recenzent nie chciałby ponosić współodpo-

wiedzialności za opublikowanie „naukowego” buba. Mówię to jako osoba pełniąca od wielu lat funkcję redaktora naczelnego takiego wydawnictwa. Zdarzają się oczywiście recenzje, które kończą się negatywną konkluzją. Te jednak można podzielić na takie, w których recenzent jest osobą kompetentną i potrafi wskazać rzeczywiste braki w monografii, oraz takie, w których recenzent ma porachunki z autorem i swoją opinię traktuje jako dobrą okazję do „rozliczenia się” z nim. Tak jest od wielu lat. Ostatnio zwiększyła się jednak nie tylko liczba wydawnictw, które znalazły się na ministerialnej liście, ale także liczba osób, które uzyskały stopień doktora habilitowanego lub profesora i mogą formalnie występować w roli wydawniczych recenzentów. Problem w tym, że jednocześnie nie zwiększyła się znacząco liczba skłonnych poważnie traktować tę rolę.



Dla podejmowania trudu pisania monografii istotne znaczenie ma również ustawa z dnia 20 lipca 2018 r. – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, nazywana również Konstytucją dla Nauki. Teoretycznie regulacje prawne powinny sprzyjać podejmowaniu prób pisania poważnych monografii, bowiem praktycznie zniesione zostało zagrożenie utraty zatrudnienia na uczelni przez tych, którym taka próba się nie powiodła lub potrzebują na napisanie monografii więcej czasu. W praktyce się okazało, że jedni akademicy skorzystali z takiej możliwości i w końcu napisali swoje monografie (mimo że przeniesieni zostali na stanowiska dydaktyczne), natomiast inni potraktowali to, jako zwolnienie z obowiązku aktywności naukowej. Jeśli coś w tym zakresie robią, to są to działania, które umacniają ich w przekonaniu, że naukowo jeszcze wiele mogą – tylko po co i za jakie pieniądze. Osoby, które się „sparzyły” na próbie uzy-

skania stopnia doktora habilitowanego (jeśli tak można powiedzieć o uznaniu ich rozprawy habilitacyjnej za mało wartościową naukowo), mogą oczywiście ponowić próbę, jednak już nie na podstawie tych samych osiągnięć. Urazy bywają jednak tak głębokie, że trudno jest się na to zdobyć, zwłaszcza gdy niedoszli doktorzy są przekonani, że zostali skrzywdzeni przez recenzentów (nieobiektywni recenzenci również w procedurze habilitacyjnej się zdarzają).

Co można zrobić?

Jeśli bym powiedział, że mimo wszystko i mimo wszystkim, którzy uważają, że nie stać nas na napisanie poważnej monografii, należałoby podjąć trud jej napisania, to mógłbym być wzięty za „filozofa”, który się wymądrza, bowiem jestem w o tyle komfortowej sytuacji, że w swoim zawodowym życiu

już nic nie muszę, a to, co zrobiłem, zostało rozliczone zarówno w drodze do tytułu profesora, jak i na uczelnianym etacie. Jest w tym sporo racji, bowiem od ponad trzydziestu lat posiadam tytuł, a od ponad roku jestem osobą wolną od troski o uzyskanie przez dyscyplinę, którą uprawiam możliwie najwyższej oceny parametrycznej. Rzeczona uwolnienie ma pewien wpływ na to, że obecnie mogę więcej czasu poświęcić na pisanie monografii. Obecnie stać mnie na napisanie jednej lub dwóch w roku i dopóki mi to nie przejdzie, nie mam zamiaru zaniechania tego „procederu”. Spotykałem się z pytaniem: po co mi to? Nietety nie potrafię na nie przekonująco odpowiedzieć, by zadowolić moich oponentów, a słowa, że nie chcę im tym pisaniem sprawiać przykrości, zapewne przyjęliby z niedowierzaniem. Co prawda są w akademickim środowisku uczeni, którzy opublikowali więcej monografii niż ja. Należy do nich m.in. amerykański filozof Noam Chomsky. Jednak Polska to jeszcze nie Ameryka.

Teraz poważnie. Produkcję książek i broszur „monografiopodobnych” można byłoby ograniczyć bądź poprzez skrócenie ministerialnej listy oficyn, zwłaszcza krajowych, wydających recenzowane naukowe monografie, bądź poprzez większe zróżnicowanie ich kategorii. Tak czy inaczej, na liście wydawnictw powinny się znajdować tylko te, które mogą się wykazać zarówno doświadczeniem, jak i aktualną ofertą wydawniczą, w której figurują publikacje uczonych o uznanej renomie. Oznaczałoby to uprzywilejowanie wydawnictw uczelnianych. One jednak miewają słabo zorganizowaną dystrybucję. Można byłoby zatem uwzględnić w większym stopniu osiągnięcia w upowszechnianiu książek naukowych oraz ich sprzedaży krajowej i zagranicznej. Można byłoby również wprowadzić bardziej zróżnicowany system punktacji dla poszczególnych dziedzin nauki. Najwięcej jednak zależy od samych uczonych – nie tylko od ich kwalifikacji, ale także motywacji do podjęcia trudu pisania monografii. Zapewne motywacja byłaby większa, gdyby mieli przekonanie, że ich osiągnięcie ktoś potrafi docenić i obiektywnie ocenić.



Foto: Sławomir Makal

Rozmowa z prof. Jolantą Jastrzęb, koordynatorką interdyscyplinarnego i międzyuczelnianego kierunku arteterapia z ramienia Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach

Dom dla róży

Arteterapia to proces długofalowy, który nie zawsze jest procesem łatwym dla uczestnika, gdyż stymuluje go do zmian w sposobie myślenia, zmian w kontekście relacji z innymi, a także do pracy z ciałem.

Katowicka ASP jest jedyną akademią sztuk pięknych w Polsce, która prowadzi studia na interdyscyplinarnym i międzyobszarowym kierunku arteterapia. Jakie były przesłanki do utworzenia tego kierunku w uczelni artystycznej i kto był inicjatorem pomysłu?

Punktem wyjścia były realizowane przeze mnie projekty arteterapeutyczne, a zwłaszcza projekt habilitacyjny pt. „Sztuka narzędziem społecznej terapii”, który realizowałam przez rok w Zakładzie Karnym w Lublińcu. Postanowiłam wykorzystać te doświadczenia w pracy z osobami studentkami. Zaproponowałyśmy wraz dr Małgorzatą Rozenau, z którą wówczas prowadziłam Pracownię I roku Rysunku, współpracę z partnerami zewnętrznymi: Aresztem Śledczym w Katowicach, Zakładem Opieki Długoterminowej EPIONE, a wcześniej z Poradnią Psychologiczno-Pedagogiczną, gdzie studenci przeprowadzili warsztaty w ramach projektu „Druha Przestrzeń”, w których im towarzyszyłyśmy. Spotkałyśmy się z bardzo pozytywnym odzewem ze strony tych wszystkich instytucji.

I to była przesłanka żeby pójść dalej?

Tak, zaczęłam poruszać zagadnienia związane z arteterapią na konferencjach. Na jednej z nich, w 2015 roku, poznałam prof. Katarzynę Krasoń z Uniwersytetu Śląskiego, która stwierdziła, że bardzo podobnie postrzegamy wykorzystanie narzędzi sztuki w terapii. Nawiązałyśmy wówczas współpracę o tyle istotną, że stała się załącznikiem do tworzenia pierwszego w Polsce interdyscyplinarnego kierunku prowadzonego we współpracy trzech uczelni: Uniwersytetu Śląskiego, Akademii Muzycznej i Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Na poziomie studiów I stopnia liderem jest Uniwersytet Śląski, a dwie akademie współtowarzyszą w kształceniu interdyscyplinarnym obejmującym wiele obszarów, co zawsze powinno być fundamentem dla arteterapii.

Dłatego wręcz niemożliwe jest tworzenie kierunku arteterapia tylko w oparciu o własne zasoby uczelniane. A jaka jest koncepcja dyplomowania, gdy mamy do czynienia z trzema uczelniami?

Studia na I stopniu uruchomiliśmy w 2016 roku, mamy już więc około 90 absolwentów i absolwentek. Dyplomy powstają w fenomenalnej pracy zespołowej, o czym mówię wręcz z zachwytem. Seminarium dyplomowe jest prowadzone przez trzy osoby z trzech wspomnianych uczelni.

Jak to się odbywa w praktyce?

Nadzorujemy projekt dyplomowy jednocześnie. Czasami, ze względu na nasze obowiązki uczelniane, spotkania odbywają się online, ale jako wykładowcy często dyskutujemy w związku z opieką nad wspólnym dyplomem. Jak wspomniałam, ważne jest, że seminarium prowadzą trzy różne osoby i to dzielenie się różnymi punktami widzenia jest niezwykle istotne w kształtowaniu świadomości osoby studiującej arteterapię. Taką formułę przyjęliśmy także przy tworzeniu studiów II stopnia, gdzie rola lidera przypada tym razem Akademii Sztuk Pięknych. Dodatkowo nawiązaliśmy współpracę ze Śląskim Uniwersytetem Medycznym, to był wynik naszej dyskusji na temat kompetencji, o jakie powinniśmy zaważać na drugim stopniu, poza wiodącymi kompetencjami artystycznymi i społecznymi. Nasze konsultacje trwały rok, z każdej uczelni mieliśmy trzech ekspertów i wspólnie tworzyliśmy efekty kształcenia dla kierunku arteterapia II stopnia. To był bardzo trudny proces, ale też wiele mówiący nam o tym, jaka ma być sylwetka absolwenta, czego oczekujemy i czego oczekuje rynek pracy. Naszym dążeniem jest, by zawód arteterapeuty był zawodem realnie funkcjonującym w instytucjach.

W niektórych instytucjach pacjenci czy pensjonariusze mogą korzystać z terapii zajęciowej. Czym takie zajęcia różnią się od arteterapii?

Arteterapia uwzględnia o wiele więcej aspektów, które są niezwykle ważne w procesie terapeutycznym. Terapia zajęciowa bardziej koncentruje się na zajęciu czasu, na aktywizacji. Natomiast arteterapia to proces długofalowy, który nie zawsze dla uczestnika jest procesem łatwym, gdyż stymuluje go do pewnych zmian w sposobie myślenia, w kontekście relacji z innymi, a także do pracy z ciałem. Myślę, że w zależności od grupy docelowej mogłabym wymieniać wiele tych czynników.

Obecnie na rynku pracy zapewne częściej można znaleźć oferty dla instruktorów terapii zajęciowej niż dla arteterapeutów.

Tak, jednak terapia zajęciowa nie uwzględnia indywidualnych potrzeb pacjenta. Tymczasem my bardzo dużą uwagę koncentrujemy na indywidualnym wglądzie, na tworzeniu narzędzi diagnostycznych, na procesie pracy, w czasie której nie tylko obserwujemy zachowanie uczestnika terapii, ale w dużym stopniu uwzględniamy wytwór będący częścią procesu terapeutycznego, który poddajemy analizie. Bazując na wszystkich elemen-

tach wynikających z takiego procesu czy działania warsztatowego, wyciągamy wnioski i wykorzystujemy je w dalszej pracy, włączając je w długofalowy proces leczenia. I tu rola arteterapeuty jest niezastąpiona.

Przechodząc do konkretnych przykładów: jakimi doświadczeniami chciałaby się pani podzielić?

Bardzo cenna jest dla nas współpraca z różnymi instytucjami. Aktualnie ze studentami kierunku arteterapia II stopnia i studentami prowadzonej przeze mnie pracowni Sztuka w działaniu realizujemy projekt w Specjalistycznym Szpitalu w Chorzowie, gdzie towarzyszą nam wszyscy lekarze z dzielnego oddziału psychiatrycznego. Pracujemy z osobami w kryzysie psychicznym. Zależy nam wszystkim, żeby wyciągnąć jak najwięcej wniosków z tego, co się w ramach tych warsztatów dzieje i wykorzystać te wnioski w procesie leczenia pacjenta już w formule długofalowej. Obecnie bierzemy udział w trzech ważnych projektach i chciałabym zwrócić uwagę na to, co odróżnia działania arteterapeutyczne od działań partycypacyjnych czy działań artystycznych, ponieważ w ramach pracowni Sztuka w działaniu, którą prowadzę z dr Agatą Szymanek, także współpracujemy z różnymi instytucjami: z aresztami i szpitalami.

Czyli z podobnymi instytucjami jak w przypadku arteterapii.

Tak, ale także z galeriami. Natomiast idea działania artystycznego czy partycypacyjnego jest inna. Polega oczywiście na wspólnym działaniu, na aktywizacji uczestników, jednak w tym przypadku nie wdramy wprost działania terapeutycznego. Tymczasem często mylimy pojęcia, wydaje nam się, że jakiegokolwiek działania wykorzystujące sztukę w pracy z grupą docelową są już działaniami arteterapeutycznymi, a tak nie jest.

Zapewne efekt terapeutyczny tutaj też może się pojawić, ale niejako przy okazji i nie jest celem samym w sobie.

Oczywiście, ten efekt się pojawia, bo w momencie, gdy bierzemy udział w jakimś projekcie, jest to dla nas i dla uczestników bardzo pozytywne. Natomiast nie możemy tu mówić o terapii, która zakłada, że poprzez sztukę mamy dokonać zmiany w procesie długofalowym, w którym mocno doprecyzujemy tematykę, metodykę, narzędzia sztuki i w którym wytwór będzie niósł informację o pacjencie. Chociaż działania artystyczne są również ogromnym zobowiązaniem wobec uczestników i muszą być znakomicie zaplanowane.

Jakie mogą być przykłady takich działań?

Dobrym przykładem są nasze aktualne projekty w Galerii Bielskiej, gdzie jednocześnie realizujemy i działania arteterapeutyczne, i działania partycypacyjne. Nasi studenci w ramach czterech warsztatów zaprojektowali przestrzeń dla adolescentów. Wcześniej spotykali się z tymi młodymi ludźmi i konsultowali jak miałyby wyglądać przestrzeń, do której oni chcieliby przychodzić, przebywać tam i czuć się dobrze. Ten projekt zatytułowany był „Pauza”. Jednocześnie w tym samym miejscu realizujemy – już z nastawieniem arteterapeutycznym – długofalowy projekt „Ogród róży” w kontekście osób w kryzysie psychicznym. W ramach tego zadania chodziło nam o stworzenie na bazie natury pewnego identyfikatora określającego daną osobę. Prace, które powstały, były przez nas analizowane, a kolejny etap wiązał się z budowaniem dla przyszłowiowych kwiatów czy amuletów domu albo schronu. Powstały prace wykonane w glinie, które następnie są wypalane i przyjmują formę czegoś stałego, z czym uczestnicy kojarzą swoją bezpieczną przestrzeń. Tu również pojawia się masa ważnych refleksji i informacji o tych osobach. Kolejne warsztaty są próbą opowiedzenia o świetle, o elementach, które są życiem rośliny,



Jolanta Jastrzab – profesorka sztuk plastycznych, od początku związana z Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach. Koordynatorka interdyscyplinarnego, międzyuczelnianego (Uniwersytet Śląski, Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach, Akademia Muzyczna w Katowicach) kierunku arteterapia z ramienia ASP (2016–2024). Prowadzi wspólnie z dr Agatą Szymanek pracownię Sztuka w działaniu / Terapia społeczna / Rysunek jako komunikat. Artystka wizualna, od 2010 roku realizuje projekty artystyczne w działaniach terapeutycznych (m.in. projekt Sztuka narzędziem społecznej terapii obejmujący cykl warsztatów plastycznych z udziałem kobiet odbywających bezwzględne kary pozbawienia wolności w Zakładzie Karnym w Lublińcu). Członkini Stowarzyszenia Arteterapeutów Polskich „Kajros”. Swoje prace prezentowała na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą. Autorka takich m.in. projektów artystycznych, jak: *Zakłète w łodzi, Szufłady, Zapach dzięki róży, Osiem, Skatepark, Crazy Julka, Kalendarz kobiety, T-shirt, Qurilla, Obserwator/ka, Burnout, Chodźmy pojeździć rowerem po księżycu, MAMAzy, LOVE, Gra, Wolne dni, Pinezki i kreski, DOMS, Ściana*.

które ją posilkują i wzmacniają. Arteterapia przez cały czas posługuje się metaforą, symbolem. W tym projekcie róża jest odniesieniem do nas samych. Kolejny warsztat jest próbą budowania wspólnego ogrodu, w którym możemy już mówić o relacjach pomiędzy uczestnikami. Ten czteroczęściowy scenariusz warsztatów zakłada indywidualną analizę i obserwację uczestników, inaczej niż w projekcie „Pauza”, gdzie ważne było współdziałanie młodych ludzi i poszukiwanie odpowiadających im rozwiązań projektowych.

Czy projekt arteterapeutyczny był prowadzony we współpracy ze specjalistami, którzy na co dzień opiekują się osobami w kryzysie?

Tak, to jest niezwykle ważny aspekt dotyczący wszystkich naszych projektów. Podobnie było w Areszcie Śledczym



Fot. M. Bafeltowska

Festiwal Światła Wdzięczność, NZOZ Egomedica Centrum Zdrowia Psychicznego w Częstochowie, 2024.

w Sosnowcu. W spotkaniach uczestniczył cały sztab funkcjonariuszy, którzy pracują z osadzonymi, a w tym przypadku z recydywistami. W spotkania włączyli się studenci arteterapii II stopnia i Pracowni Sztuka w działaniu. Nasze działania warsztatowe z wykorzystaniem materiałów plastycznych przeordziły się w rozmowę z osobami osadzonymi. Operowaliśmy różnymi skojarzeniami, słowami, które przychodziły nam do głowy; spotkaniu towarzyszyła zabawa połączona z dzieleniem się różnymi sytuacjami. Bawiliśmy się razem znakomicie, choć to może brzmieć paradoksalnie, zwłaszcza z perspektywy opiekuna, który przeżywa stres, wprowadzając po raz pierwszy

młodych ludzi w takie przestrzenie. Na warsztaty zapraszamy osoby chętne, gdyż mamy świadomość, że nie każdy będzie chciał i mógł wziąć udział w takich zajęciach w placówkach penitencjarnych.

Osoby grypsujące raczej nie pojawią się na warsztatach. A zmieniając temat, skoro studia prowadzone są na trzech uczelniach, to czy wszystkie trzy firmują dyplom ukończenia studiów?

Tak, dyplom jest firmowany przez trzy uczelnie i w związku z tym musiał powstać specjalny druk z trzema pieczęciami



Fot. M. Bafeltowska

Moc czerni i bieli, BALANS, Hospicjum Dar Seca w Częstochowie, 2024 Fot. M. Bafeltowska



Fot. A. Pławski

Praca arteterapeutyczna inspirowana zjawiskiem bioluminescencji jako sposób wsparcia pacjenta onkologicznego, Narodowy Instytut Onkologii w Gliwicach, 2024

i podpisami trzech rektorów, zaprojektowany przez jednego z naszych znakomitych projektantów. W sztukach wizualnych fundamentalna jest prezentacja procesu dyplomowania. Szukamy więc w ramach naszych działań arteterapeutycznych i partycypacyjnych możliwości dokumentacji poprzez film albo fotorelacje. Często dokumentujemy wypowiedzi, ale przede wszystkim wytwór uczestników i inne elementy, które tworzą ostateczny efekt projektu dyplomowego. I to w większości jest materiał niezbędny do analiz i pracy badawczej. Elementy, które prezentujemy w formie zdjęć i filmów na wystawie dyplomowej, są materiałem nie ukazującym wprost uczestników procesu, gdyż zwracamy ogromną uwagę na zachowanie anonimowości uczestników. Na studiach I stopnia od początku prezentowaliśmy dyplomy np. w Galerii Rondo Sztuki czy w ramach Miasta Ogrodów. Niezmiennie ważna jest dla nas aranżacja prac, czyli formuła, w jakiej pro-

jekty zostaną zaprezentowane. Publiczna prezentacja dyplomów przekształca się w wystawę autorską naszych absolwentów, którą ostatnio w Mieście Ogrodów można było odwiedzać przez trzy miesiące. Taka formuła sprawdza się, więc chciałabym, aby w przyszłości dyplomy na II stopniu odbywały się także w BWA w Katowicach, jak ma to miejsce w przypadku kierunku grafika czy malarstwo, ponieważ jesteśmy integralną częścią Wydziału Artystycznego ASP. Pracujemy właśnie ze studentami nad koncepcjami tych projektów, więc myślę, że będzie co oglądać.

Arteterapia jest najbardziej mobilnym kierunkiem w ASP, gdyż studenci przemieszczają się pomiędzy trzema uczelniami i biorą udział w projektach zewnętrznych.

Co ważne, na pierwszym i na drugim stopniu mamy koordynatorów na każdej z trzech uczelni. To może wydawać się



Współsluchanie. Głębokie słuchanie, Areszt Śledczy w Katowicach, 2019

prozaiczne, ale jeszcze w czasie wakacji wykonujemy ogromną pracę nad planami studiów i staramy się blokować zajęcia, aby studenci nie musieli się ciągle przemieszczać. Ta cała logistyka jest trudna, ale udaje nam się to koordynować. A jeśli chodzi o instytucje zewnętrzne, to jestem bardzo wdzięczna za współpracę osobom, które nimi zarządzają. ASP dostaje wiele próśb o projekty związane z arteterapią. Nasi absolwenci legitymizują się wykształceniem z obszaru nauk o sztuce, nauk społecznych i medycznych, co jest absolutnie wyjątkowe w kontekście osób zajmujących się tą dyscypliną.

Zapotrzebowanie na pewno jest ogromne, miejmy nadzieję że pojawią się też możliwości zatrudnienia absolwentów.

To są początki. Kształtujemy świadomość, a instytucje przyglądają się nam podczas realizacji projektów.

Często te instytucje są niedofinansowane przez NFZ.

Dlatego podpisujemy umowy o współpracę i angażujemy się w projekty w ramach naszych działań edukacyjnych. Widzimy jak zmienia się świadomość postrzegania tego, co może zdziałać sztuka, jak może ona poprawić funkcjonowanie pacjentów, pensjonariuszy, uczestników projektów arteterapeutycznych. Cały czas trwa walka o zawód arteterapeuty. Stowarzyszenie Polskich Arteterapeutów KAIROS we współpracy m.in. z prof. Anną Stefańską i prof. Katarzyną Krasoń organizują właśnie Kongres Arteterapii w Katowicach, który będzie poświęcony standardom zawodowym. Rozmawiałam niedawno z prof. Robertem Bartelem z zarządu Sekcji Arteterapii Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i Stowarzyszenia „Psychiatria i Sztuka”, który jest jednocześnie pracownikiem UAP i bardzo angażuje się w walkę o standardy arteterapii. Chcielibyśmy, żeby nasz głos stawał się coraz bardziej słyszalny, także w ministerstwie.

Ustalenie standardów jest istotne, zwłaszcza w kontekście ofert kształcenia arteterapeutów na studiów podyplomowych. Pewna uczelnia niepubliczna oferuje

np. studia w wymiarze 200 godzin i 2 semestrów albo kurs arteterapii prowadzony online w wymiarze... 10 godzin.

Wiedząc o tym, jak bardzo wymagający jest proces kształcenia arteterapeutów, sprzeciwiamy się takim ofertom. Nasi studenci spotykają się ze znakomitymi specjalistami, m.in. w dziedzinie psychologii, pedagogiki, psychiatrii, neurologii, onkologii, rehabilitacji, i tego na pewno nie można zastąpić kursem. Jako osoba, która od lat zajmuje się sztuką, wiem, że aby w nią wejść, trzeba w ramach długotrwałych zajęć zapoznać się z medium rysunku, malarstwa, grafiki, rzeźby. I my na pierwszym stopniu dajemy podstawy takiej wiedzy i umiejętności, a na drugim stopniu pogłęwiamy je, pracując ze studentami w kontekście tych mediów, ale już na bardzo zaawansowanym etapie w kontekście pracy arteterapeutycznej. Dydaktycy, którzy wspierają studentów, są profesjonalistami w danych technikach artystycznych.

Mówiliśmy już o organizacji studiów i o dyplomie, a jak wygląda proces rekrutacji na kierunek arteterapia?

Na I stopniu liderem jest Uniwersytet Śląski i rekrutacja przebiega zgodnie z zasadami obowiązującymi na tej uczelni. U nas wygląda to trochę inaczej. Od maja rozpoczynamy cykl konsultacji, które prowadzą eksperci z trzech uczelni. Konsultacje odbywają się online, gdyż mamy wielu kandydatów z całej Polski. Egzamin wstępny na I stopień studiów jest przeprowadzany na Uniwersytecie Śląskim, a na II stopień w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Bardzo mnie cieszy, że kierunek arteterapia rozwija się i widzę, że warto było podjąć wyzwanie związane z jego tworzeniem. Z perspektywy różnych zrealizowanych projektów, pracy z ludźmi, widzę jak bardzo potrzebny jest zawód arteterapeuty. Chciałabym, żeby podobnie jak w innych krajach europejskich, i nie tylko, stało się normą, że osoba arteterapeuty wspiera grono specjalistów i pomaga w poprawie jakości życia osób w kryzysach.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Konrad Maj

Czy chcielibyśmy ulepszyć własne ciało i w jaki sposób?

Raport Centrum HumanTech o postawach polskiego społeczeństwa wobec cyborgizacji

Wyniki naszego badania wskazują zatem na wyraźne rozróżnienie między technologią „przywracającą” a „przekraczającą” naturalne możliwości. Granica akceptacji nie przebiega więc wzdłuż poziomu zaawansowania technologicznego, lecz wzdłuż jej znaczenia psychologicznego i społecznego.

Jeszcze niedawno cyborg funkcjonował głównie jako figura wyobraźni: obecna w literaturze, kinie i debatach futurologicznych. Dziś coraz trudniej utrzymać to przekonanie. Technologie łączące ciało z elektroniką, biotechnologią i algorytmami przestają być wyjątkiem, a zaczynają tworzyć nowy, choć wciąż rozwijany obszar na pograniczu medycyny, sztuki i inżynierii.

Nie chodzi już wyłącznie o rozwiązania medyczne, takie jak rozruszniki serca, implanty ślimakowe czy protezy. Coraz częściej dyskutujemy o mikrochipach monitorujących stan zdrowia, interfejsach mózg-komputer, neuroimplantach wpływających na nastrój czy technologiach, które nie tyle „naprawiają” organizm, ile potencjalnie zwiększają jego możliwości. W tym sensie granica między przywróceniem funkcji a ulepszaniem zaczyna się rozmywać i właśnie to przesunięcie wydaje się dziś najciekawsze z perspektywy psychologicznej.

Bo problem cyborgizacji nie polega wyłącznie na tym, czy technologia jest dostępna. Polega także na tym, jak ją interpretujemy, jakie lęki uruchamia i jakie nadzieje obiecuje spełnić.

Z jednej strony dążenie do przekraczania ograniczeń własnego ciała jest tak stare jak sama ludzkość. Chcemy żyć dłużej, funkcjonować sprawniej, unikać bólu, szybciej się uczyć, lepiej pamiętać. W tym sensie wiele współczesnych technologii można traktować nie jako radykalne zerwanie z przeszłością, lecz jako konsekwentną realizację bardzo starych aspiracji: kontroli nad własną biologicznością. Z drugiej strony im bliżej technologii do tego, co uznajemy za rdzeń „ja” – nasze

tożsamości, autonomii czy prywatności – tym silniejsze pojawiają się opory. Łatwiej zaakceptować rozwiązania, które przywracają sprawność, niż takie, które zmieniają sposób odczuwania, myślenia czy podejmowania decyzji. Łatwiej zgodzić się na „naprawę” niż na „projektowanie” nowego człowieka.

W efekcie powstaje napięcie, które trudno rozstrzygnąć prostą kategorią „za” lub „przeciw”. Cyborgizacja nie jest bowiem jednym zjawiskiem, lecz spektrum możliwych ingerencji: od niemal niewidocznych i powszechnie akceptowanych po takie, które podważają podstawowe intuicje dotyczące tego, czym jest człowiek. W tym sensie pytanie o przyszłość cyborgizacji nie brzmi już: czy do niej dojdzie? W wielu obszarach już do niej dochodzi. Znacznie bardziej trafne wydaje się inne pytanie: jaką formę tej zmiany jesteśmy gotowi zaakceptować i gdzie przebiegają granice tej zgody.

Odpowiedź na to pytanie nie jest wyłącznie kwestią technologii. Jest w równym stopniu kwestią psychologii: naszych lęków, nadziei, doświadczeń i wyobrażeń. To one decydują o tym, czy dana innowacja zostanie uznana za postęp, czy za przekroczenie granicy. Dlatego to wieloaspektowe zjawisko jest warte badań naukowych.

Co znaczy „cyborg”? Od definicji do doświadczenia

Pojęcie „cyborga” funkcjonuje dziś w wielu znaczeniach, co nie ułatwia dyskusji. W języku potocznym odnosi się najczęściej do istoty łączącej cechy człowieka i maszyny, często

w sposób radykalny i widoczny. Tymczasem jego źródło jest znacznie bardziej techniczne. Termin „cyborg” został wprowadzony w 1960 roku przez Manfreda E. Clynesa i Nathana S. Kline’a, którzy użyli go do opisu organizmu zdolnego do funkcjonowania w ekstremalnych warunkach dzięki integracji z systemami technologicznymi. W tym ujęciu nie chodziło o spektakularne „ulepszenie” człowieka, lecz o stworzenie układu, w którym procesy biologiczne i techniczne współpracują w sposób zautomatyzowany, bez konieczności ciągłej kontroli ze strony jednostki.

To pierwotne rozumienie przesuwają punkt ciężkości. Cyborg nie jest jedynie człowiekiem korzystającym z technologii, ale systemem, w którym technologia staje się częścią mechanizmów regulujących funkcjonowanie organizmu. Z takiej perspektywy pojawia się pytanie, które komplikuje intuicyjne rozróżnienia: czy cyborgizacja rzeczywiście jest zjawiskiem przyszłości, czy raczej procesem, który już trwa?

Współczesne społeczeństwa od dawna funkcjonują w ścisłym powiązaniu z technologią. Okulary, aparaty słuchowe, protezy czy rozruszniki serca stanowią przykłady rozwiązań, które nie tylko wspierają funkcjonowanie organizmu, lecz w pewnym sensie stają się jego integralną częścią. Podobnie narzędzia cyfrowe (smartfony, laptopy), choć nie są wszczepione w ciało, pełnią funkcję rozszerzeń procesów poznawczych, przejmując część zadań związanych z pamięcią, planowaniem czy orientacją w przestrzeni. Można więc argumentować, że granica między „człowiekiem” a „technologią” nie jest wyraźna, lecz ma charakter ciągły. Różnica polega raczej na stopniu integracji oraz na tym, czy technologia pozostaje zewnętrznym narzędziem, czy zaczyna funkcjonować jako element systemu biologicznego.

To rozróżnienie dobrze ilustrują konkretne przypadki, które często pojawiają się w debacie o cyborgizacji. Neil Harbisson, artysta z achromatopsją, korzysta z wszczepionej anteny przekształcającej fale świetlne w dźwięk. W jego przypadku technologia nie pełni jedynie funkcji kompensacyjnej, lecz tworzy nowy sposób percepcji świata, który z czasem staje się naturalną częścią doświadczenia. Podobnie Moon Ribas, wyposażona w implant połączony z czujnikami sejsmicznymi, doświadcza trzęsień ziemi jako bodźców cielesnych. Technologia staje tu być narzędziem, a zaczyna współtworzyć sposób bycia w świecie. Jeszcze inny kierunek reprezentuje Stelarc, który w swoich projektach traktuje ciało jako strukturę otwartą na modyfikacje, rozwijając m.in. mechaniczne rozszerzenia sterowane sygnałami mięśni.

Ważny jest również przypadek Kevina Warwicka, profesora cybernetyki z University of Reading, którego często określa się mianem jednego z pierwszych współczesnych „cyborgów eksperymentalnych”. Warwick wszczepił sobie implant RFID, który umożliwiał m.in. automatyczne otwieranie drzwi do laboratorium i logowanie do systemów komputerowych. Jeszcze ciekawszy był jednak sam sens tych eksperymentów: nie chodziło o wygodę jako taką, lecz o sprawdzenie, jak daleko można posunąć sprzężenie człowieka z systemami cyfrowymi. Późniejsze prace związane z jego środowiskiem, w tym eksperymenty Marka Gassona, pokazały również drugą stronę problemu: skoro implant zaczyna przypominać komputer, pojawiają się pytania o złośliwy kod, podatności systemowe i nowe formy naruszenia integralności cielesnej.

Przykłady te nie są reprezentatywne dla większości społeczeństwa, ale pełnią istotną funkcję poznawczą. Pokazują, że możliwe jest takie stopniowe włączanie technologii w strukturę ciała i percepcji, w którym przestaje ona być postrzegana jako coś zewnętrznego. Z perspektywy psychologicznej kluczowe jest jednak nie to, gdzie dokładnie przebiega granica cyborgizacji,

lecz to, jak ludzie ją postrzegają. To właśnie percepcja stopnia ingerencji, a nie jej obiektywny charakter, decyduje o poziomie akceptacji. W tym sensie cyborg nie jest wyłącznie kategorią technologiczną. Jest również kategorią społeczną i psychologiczną, definiowaną przez to, jakie formy integracji człowieka z technologią uznajemy za dopuszczalne, a jakie za przekroczenie granicy.

Od eksperymentu do mainstreamu: kiedy cyborgizacja przestaje być niszą

Przez długi czas cyborgizacja funkcjonowała na marginesie, jako domena eksperymentów artystycznych, badań laboratoryjnych lub spekulacji futurystycznych. Przykłady osób takich jak Harbisson, Ribas, Stelarc czy Warwick można było traktować jako ilustracje tego, co możliwe, ale niekoniecznie jako zapowiedź tego, co powszechne.

W ostatnich latach ten sposób myślenia zaczyna się jednak stopniowo zmieniać. Rozwój technologii ingerujących bezpośrednio w ciało i układ nerwowy przyspieszył na tyle, że przestaje być ograniczony do wąskich środowisk eksperymentalnych. Coraz większą rolę odgrywają projekty rozwijane przez duże ośrodki badawcze i firmy technologiczne, które dysponują zasobami pozwalającymi na skalowanie tych rozwiązań. Jednym z najbardziej medialnych przykładów są prace nad interfejsami mózg-komputer, prowadzone zarówno w środowisku akademickim, jak i przez prywatne firmy, w tym Neuralink Elona Muska. Ich podstawowym celem pozostaje dziś zastosowanie medyczne, przede wszystkim wspieranie osób z uszkodzeniami układu nerwowego w odzyskiwaniu utraconych funkcji. Ale trudno powiedzieć, w jakim kierunku działalność tych firm będzie ewoluowała.

Z punktu widzenia społecznego wpisuje się to w dobrze znany model: technologia jako narzędzie terapii i rehabilitacji. Jednocześnie jednak te same rozwiązania otwierają możliwość ich przyszłego wykorzystania w celach wykraczających poza leczenie: zwiększania zdolności poznawczych, integrowania człowieka z systemami cyfrowymi czy poszerzania zakresu ludzkiej percepcji. W tym miejscu pojawia się istotne przesunięcie. Cyborgizacja przestaje być rozpatrywana jako zbiór odosobnionych przypadków, a zaczyna być postrzegana jako potencjalny kierunek rozwoju technologii, który może w różnym stopniu dotyczyć coraz większej liczby osób.

Zmienia się również sposób jej społecznej interpretacji. Rozwiązania, które jeszcze niedawno mogły być odbierane jako radykalne, zaczynają być przedstawiane w kategoriach funkcjonalnych: jako rozszerzenie medycyny, zwiększenie komfortu życia lub poprawa efektywności. W rezultacie granica między „leczeniem” a „ulepszaniem” ulega stopniowemu przesunięciu, często w sposób trudny do jednoznacznego uchwycenia.

Właśnie w tym miejscu ważne stają się szersze narracje ideowe. Jedną z nich jest transhumanizm, z którym silnie kojarzony jest Nick Bostrom. W jego ujęciu rozwój technologii pozwalających przekraczać biologiczne ograniczenia nie jest ekscentrycznym dodatkiem do cywilizacji, lecz jednym z możliwych kierunków jej dalszego rozwoju. To oczywiście nie znaczy, że transhumanizm dostarcza gotowych odpowiedzi. Przeciwnie, raczej uwidacznia skalę napięcia między obietnicą poprawy kondycji ludzkiej a obawą przed utratą czegoś istotnego w samym człowieczeństwie.

Z perspektywy psychologicznej oznacza to, że jednostki coraz częściej stają wobec realnej, a nie hipotetycznej możliwości skorzystania z tego typu rozwiązań. W takiej sytuacji postawy wobec technologii przestają być abstrakcyjne i zaczynają przyjmować bardziej złożony, warunkowy charakter.

Społeczna akceptacja cyborgizacji: czego dowiedzieliśmy się z badań

To właśnie na tym etapie szczególnego znaczenia nabiera pytanie o to, w jaki sposób ludzie oceniają różne formy integracji technologii z ciałem oraz jakie czynniki wpływają na poziom ich akceptacji. Odpowiedzi na to pytanie próbowaliśmy szukać w naszym badaniu.

W styczniu 2026 roku opublikowaliśmy w Centrum Human-Tech Uniwersytetu SWPS raport z ogólnopolskiego badania dotyczącego postaw wobec technologii modyfikujących ciało i umysł. W badaniu wzięły udział 2233 dorosłe osoby dobrane poprzez Panel Badawczy Ariadna w sposób odzwierciedlający strukturę populacji pod względem podstawowych cech demograficznych. Zamiast pytać o ogólny stosunek do „cyborgizacji”, przedstawiliśmy respondentom zestaw 20 konkretnych technologii, obejmujących zarówno rozwiązania już funkcjonujące, jak i takie, które pozostają na etapie rozwoju lub spekulacji. To podejście pozwoliło uchwycić bardziej zniuansowany obraz postaw społecznych, pokazując, że nie mają one charakteru jednolitego, lecz zależą od kontekstu zastosowania danej technologii.

Najbardziej wyraźny wzorec dotyczy funkcji przypisywanej technologii. Rozwiązania o charakterze zdrowotnym i naprawczym, takie jak mikrochipy monitorujące stan zdrowia, nanotechnologie wspierające regenerację komórek czy terapie genowe ograniczające ryzyko chorób, uzyskują wyraźnie wyższy poziom akceptacji. Wpisują się one w dobrze ugruntowany społecznie model interwencji medycznej, w którym technologia służy przywracaniu sprawności i poprawie jakości życia. Znacznie więcej kontrowersji budzą natomiast rozwiązania ingerujące w obszary związane z autonomią i tożsamością, takie jak bezpośrednie interfejsy mózg-internet czy koncepcje „uploadu umysłu”. W tych przypadkach technologia przestaje być postrzegana jako wsparcie, a zaczyna być interpretowana jako potencjalna zmiana sposobu funkcjonowania człowieka.

Wyniki naszego badania wskazują zatem na wyraźne rozróżnienie między technologią „przywracającą” a „przekraczającą” naturalne możliwości. Granica akceptacji nie przebiega więc wzdłuż poziomu zaawansowania technologicznego, lecz wzdłuż jej znaczenia psychologicznego i społecznego. Co istotne, wysoki był także odsetek odpowiedzi „trudno powiedzieć”. W zależności od technologii wynosił on około 13–16 procent, co można interpretować jako przejaw nie tyle braku opinii, ile niepewności wobec rozwiązań, które nie zostały jeszcze w pełni oswojone społecznie. To ważna grupa, ponieważ jej postawy mogą być szczególnie podatne na zmianę pod wpływem doświadczeń, języka debaty publicznej czy marketingu technologicznego.

Analiza pokazała także znaczenie wieku. Młodsze osoby wykazują większą otwartość na różne formy integracji technologii z ciałem, podczas gdy wraz z wiekiem rośnie poziom sceptycyzmu, szczególnie wobec rozwiązań ingerujących w organizm w sposób trwały. Jednocześnie technologie o charakterze medycznym utrzymują stosunkowo wysoki poziom akceptacji we wszystkich grupach wiekowych. Ważne okazały się także wcześniejsze doświadczenia związane z modyfikacją ciała. Osoby posiadające tatuaże, piercing czy korzystające z zabiegów medycyny estetycznej częściej deklarują większą otwartość wobec bardziej zaawansowanych form ingerencji. Sugeruje to, że granice akceptacji mają charakter dynamiczny i mogą ulegać stopniowemu przesuwaniu w zależności od wcześniejszych doświadczeń.

Polski wynik na tle świata: podobny wzór, podobne lęki

To, co zobaczyliśmy w naszych danych, nie jest zresztą zjawiskiem odosobnionym. Polski wzór okazuje się zaskakująco spójny z wynikami badań międzynarodowych. W raporcie Pew Research Center dotyczącym postaw wobec technologii ulepszających człowieka szczególnie wyraźnie widać, że ludzie znacznie chętniej popierają implanty mózgowe wtedy, gdy mają one przywracać utracone funkcje. Duża większość badanych akceptuje ich użycie, gdy celem jest zwiększenie możliwości



Rys. Sławomir Majal

rchu u osób sparaliżowanych albo leczenie spadku sprawności poznawczej związanego z wiekiem. Jednocześnie znacznie więcej oporu pojawia się wtedy, gdy podobne technologie miałyby służyć poprawianiu zdolności zdrowego człowieka ponad przyjętą normę.

Podobne napięcie ujawnił projekt SIENNA, realizowany w różnych częściach świata (m.in. USA, Niemcy, RPA czy Brazylia). Z jednej strony część respondentów dopuszczała technologie mające poprawiać inteligencję, emocje czy moralność, z drugiej jednak wyraźnie rósł sceptycyzm wobec rozwiązań naruszających podstawowe intuicje dotyczące natury człowieka, zwłaszcza gdy dotyczyły one skrajnego wydłużenia życia czy głębokiej ingerencji w tożsamość.

Jeszcze inną warstwę ujawniły badania Opinion Research prowadzone na zlecenie Kaspersky Lab. Tam bardzo silnie wybrzmiewały dwa rodzaje obaw: przed cyberatakami na „ulepszone” ciało oraz przed nierównościami społecznymi wynikającymi z nierównego dostępu do technologii. To niezwykle ważne, bo pokazuje, że akceptacja cyborgizacji nie zależy wyłącznie od tego, czy dana technologia jest atrakcyjna lub funkcjonalna. Zależy również od tego, czy ludzie mają poczucie, że będzie bezpieczna, dobrowolna i sprawiedliwie dostępna.

Jeśli zestawić te wyniki z naszym badaniem, wyłania się dość stabilny mechanizm. Ludzie akceptują technologię wtedy, gdy rozumieją jej cel, potrafią oszacować ryzyko i mają poczucie zachowania kontroli. Opór pojawia się wtedy, gdy technologia zbliża się do obszarów związanych z autonomią, tożsamością albo przewagą społeczną.

Umysł poza czaszką: dlaczego technologia tak łatwo wchodzi w „ja”

Debata o cyborgizacji dotyczy nie tylko ciała, lecz także umysłu. W tym miejscu szczególnie użyteczna okazuje się koncepcja „rozszerzonego umysłu”, sformułowana przez Andy’ego Clarka i Davida Chalmersa. Jej podstawowa intuicja jest prosta: procesy poznawcze nie muszą kończyć się na mózgu. Mogą być współtworzone przez elementy środowiska zewnętrznego, w tym przez technologie.

To ujęcie pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego wiele osób nie traktuje już smartfona, wyszukiwarki czy cyfrowego kalendarza jako zwykłych narzędzi. One realnie przejmują część funkcji poznawczych: pamiętania, planowania, orientacji czy wyszukiwania informacji. Klasyczne badanie Betsy Sparrow i współautorów, znane jako opis tzw. efektu Google’a, pokazało, że gdy ludzie wiedzą, iż informacja będzie dostępna później, słabiej zapamiętują jej treść, a lepiej pamiętają, gdzie ją znaleźć. To nie musi oznaczać „głupienia”. Oznacza raczej reorganizację procesów poznawczych.

W erze dużych modeli językowych ten proces może się jeszcze pogłębiać. Być może coraz bardziej zasadne będzie mówienie nie tylko o efekcie Google’a, lecz szerzej o delegowaniu części myślenia systemom cyfrowym. I właśnie tu widać ważną ciągłość: cyborgizacja ma dwa oblicza. Jedno jest spektakularne, wszczepialne, „hardware’owe”. Drugie jest codzienne i niemal przezroczyste, polega na tym, że część naszych procesów poznawczych już teraz rozgrywa się w partnerstwie z technologią. Być może to właśnie to drugie oblicze przygotowuje grunt pod pierwsze?

Miedzy spełnieniem marzeń a nowym źródłem presji

Jeśli spojrzeć na wyniki badań oraz rozwój technologii w szerszej perspektywie, trudno uznać cyborgizację za zjawisko całkowicie nowe. Nowe są przede wszystkim środki. Motywacje pozostają w dużej mierze niezmiennie. Dążenie do poprawy

zdrowia, zwiększenia sprawności czy przekraczania ograniczeń własnego ciała ma długą historię i znajduje odzwierciedlenie w wielu obszarach życia społecznego. W tym sensie technologie cyborgizacyjne można interpretować jako kontynuację wcześniejszych praktyk, tyle że realizowaną przy użyciu bardziej zaawansowanych i bezpośrednich narzędzi.

Jednocześnie jednak współczesne rozwiązania wprowadzają jakościową zmianę. Coraz częściej ingerują nie tylko w funkcjonowanie ciała, lecz także w procesy poznawcze i emocjonalne, a więc w obszary silnie związane z poczuciem tożsamości i autonomii. To właśnie ten aspekt, a nie sam poziom zaawansowania technologii, okazuje się kluczowy dla ich społecznej oceny.

Nasze badania pokazują wyraźnie, że akceptacja cyborgizacji ma charakter warunkowy. Technologie są przyjmowane wtedy, gdy ich funkcja jest czytelna i społecznie uzasadniona, a odrzucane lub kwestionowane w sytuacjach, w których pojawiają się wątpliwości dotyczące kontroli, granic ingerencji lub potencjalnych konsekwencji społecznych. W szczególności dotyczy to rozwiązań wykraczających poza model medyczny i zmierzających w kierunku zwiększania możliwości zdrowych osób.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabierają trzy obszary. Pierwszym są ramy regulacyjne. Rozwój technologii ingerujących w ciało i układ nerwowy wymagają jasnych zasad dotyczących bezpieczeństwa, prywatności, odpowiedzialności oraz zakresu dopuszczalnych zastosowań. Nasz raport pokazał, że respondenci najczęściej wskazują tu na połączenie autonomii jednostki i roli środowisk naukowych, przy niewielkim zaufaniu do instytucji religijnych i umiarkowanym do politycznych. To ciekawy wynik: nie chodzi o pełną deregulację, lecz raczej o regulację opartą na wiedzy eksperckiej i szanującą indywidualną autonomię.

Drugim obszarem jest edukacja i komunikacja społeczna. Skoro znacząca część społeczeństwa nie ma jeszcze jednoznacznie ukształtowanej opinii na temat wielu technologii, sposób ich przedstawiania może w istotny sposób wpływać na poziom akceptacji. Technologie postrzegane jako zrozumiałe i funkcjonalne są oceniane inaczej niż te, które pozostają niejasne lub kojarzą się z niekontrolowaną ingerencją.

Trzecim obszarem są nierówności i dostęp. W miarę jak technologie ulepszające człowieka będą się rozwijać, pojawi się pytanie o to, kto i na jakich warunkach będzie mógł z nich korzystać. Potencjalne różnice w dostępie mogą prowadzić do nowych form nierówności, które wykraczają poza dotychczasowe podziały społeczne. To szczególnie ważne, bo technologia, która miała być narzędziem poprawy życia, może stać się zarazem źródłem nowej presji: edukacyjnej, zawodowej, kulturowej. To, co dziś jest wyborem, jutro może stać się oczekiwaniem.

Wszystkie te elementy pokazują, że przyszłość cyborgizacji nie jest wyłącznie kwestią rozwoju technologicznego. W równym stopniu zależy od decyzji społecznych, instytucjonalnych i kulturowych. W tym sensie cyborgizacja nie powinna być postrzegana ani jako nieunikniony kierunek rozwoju, ani jako zjawisko, które można jednoznacznie ocenić w kategoriach zagrożenia lub postępu. Jest raczej procesem, w którym możliwości technologiczne spotykają się z ludzkimi potrzebami, wartościami i ograniczeniami.

To, w jakim kierunku proces ten będzie się rozwijał, pozostaje otwartą kwestią. I właśnie dlatego jego analiza wymaga nie tylko wiedzy technicznej, lecz także uważnego namysłu nad tym, jak rozumiemy granice ingerencji w człowieka oraz jakie konsekwencje jesteśmy gotowi zaakceptować.

Dr Konrad Maj, kierownik Centrum HumanTech, Zakład Sztucznej Inteligencji, Wydział Projektowania2, Uniwersytet SWPS w Warszawie

Karolina Ćwiek-Rogalska

Badania odzyskiwania i utraty

Różnice między pamięcią a historią często bywają przeceniane – tę pierwszą uważamy za łatwiejszą do zafałszowania, bardziej subiektywną, podczas gdy ta druga, ubrana w szaty statecznej akademickiej dyscypliny i wyposażona w warsztat i tradycję, wygląda poważniej. O ograniczeniach historii, a zwłaszcza historiografii, zapisywania historii, historycy dyskutują od lat i stała się ona poważną częścią refleksji nad tym, jak pracujemy ze źródłami.

W 1945 roku granice Polski zostały przesunięte na zachód. Ta zmiana wiązała się z masową migracją: co czwarty mieszkaniec i co czwarta mieszkanka Polski zmieniła swoje miejsce zamieszkania. Wiele osób znajdowało się w ruchu już wcześniej. Wojna i związane z nią zbrodnie, pogromy, praca przymusowa i zsyłki sprawiły, że przymusowe migracje stały się częścią codziennego doświadczenia wielu osób. To także doświadczenie mojej rodziny, obecne w historiach opowydanych przez Dziadków, czasami mniej, czasami bardziej chętnie. Słuchanie ich i zadawanie pytań – czasami dokładnie tych samych co zawsze, pozwalających opowieściom toczyć się utartym, rytualnym torem, a czasami nowych, wytrącających ze schematów, którymi wędruje nasza pamięć – było moim pierwszym etnograficznym doświadczeniem. Kierowałam się wtedy tylko intuicją, ale ciekawość badawcza została rozbudzona. Jesienią 2024 roku ukazała się książka *Ziemi. Historie odzyskiwania i utraty*, w której podsumowałam zbierane przez szesnaście lat doświadczenia badawcze, i wróciłam do podstawowego pytania towarzyszącego mi od dzieciństwa: jak to się stało, że moi Dziadkowie latem 1945 roku przyjechali na „Ziemie Odzyskane”?

Dyscyplina

Nazywam tę książkę etnografią w domu, wychodzącą, wydeptaną po tych samych, wciąż i wciąż, uliczkach, wypatrzoną w krajobrazie, wyczytaną we własnych i cudzych rodzinnych albumach, wysiedzianą na muzealnym zapleczu i w czytelnich archiwów, wyjeżdżoną, wypytaną celowo i przypadkiem w Polsce, tej, która była i która się potem stała, i po Niemczech, które być przestały i są nadal. Wychodzona po czyichś śladach i wyszukana we własnych sposobach opowiadania: w zauważaniu tropów tam, gdzie rośnie tylko trawa, chwytaniu zapachów, które balansują na granicy złudzenia, obracaniu paciorków pamięci, która może jest jeszcze czyjaś, a może już powpadała między szpary w podłodze. Świadomie poruszam się między dyscyplinami: etnologią, kulturoznawstwem, historią, poszukując odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Książka ukazała się w debiutującym wówczas Wydawnictwie Radia Naukowego,

poza listami ministerialnymi. Zaznaczam to, bo zrobiłam to świadomie. Zależało mi przede wszystkim na pracy ze wspólnymi redaktorami wydawnictwa, bo to ona pozwoliła mi na uwolnienie potencjału tkwiącego w gromadzonych historiach.

Etnologię i antropologię kulturową studiowałam przede wszystkim w Warszawie, gdzie „fachu” uczyłam się najpierw na dwuletnim tzw. laboratorium etnograficznym prowadzonym przez Katarzynę Waszczyńską, a później na seminarium u Karoliny Bielenin-Lenczowskiej. Te studia uznaję za formacyjne dla moich późniejszych zainteresowań, choć większość stopni naukowych uzyskałam w kulturoznawstwie, które później formalnie przemieniło się w część większej dyscypliny nazywanej się dzisiaj naukami o kulturze i religii. Swoje poszukiwania kontynuowałam podczas stypendiów i staży, m.in. na Uniwersytecie Karola w Pradze u Barbory Spalovej, na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles u Lieby Faier i na Uniwersytecie Cambridge u Yael Navaro. Porównywałam szkoły antropologiczne, przyglądałam się miejscowym sposobom prowadzenia badań i pisania artykułów i książek. Współpracowałam z etnologami, socjologami, literaturoznawczyniami i historykami.

Etnologia i antropologia kulturowa – od niedawna z powrotem samodzielna dyscyplina naukowa, na jakiś czas skreślona z listy, ale dzięki intensywnym staraniom środowiska badawczego na nią przywrócona – pracuje specyficzną metodą: badaniami terenowymi. Chociaż tego typu badania nie są obce i innym dyscyplinom, te etnologiczne polegają głównie na tym, że staramy się jak najgłębiej zanurzyć w terenie, którym się zajmujemy: to zanurzenie jest ucieleśnionym byciem na miejscu, obserwacją, wreszcie także uczestnictwem w życiu ludzi, którzy tam mieszkają. Tradycyjnie były to zwykle obszary geograficznie odległe, jak Wyspy Trobrianda (Kiriwina), archipelag na Pacyfiku, gdzie swoje badania prowadził Bronisław Malinowski, ale z czasem wyłoniły się i inne sposoby prowadzenia takich badań: blisko, a nawet w domu. I to dosłownie, bo przecież temat badawczy, który nas pociąga, może znajdować się tuż za rogiem. Długa podróż wcale nie jest konieczna. Co innego dystans, ten oczywiście trudniej jest wypracować.

Sam kształt badań terenowych nie zależy jednak od naszego przestrzennego dystansu wobec miejsca. Zamieszkując gdzieś na dłużej, przyglądamy się temu, co dzieje się w okolicy, jak się o tym mówi i pisze, jak ludzie reagują i jak ubierają w opowieść to, co się im przytrafia. Wejść w życie danej społeczności, znaleźć w niej swoje miejsce, to antropologiczne credo. Etnolożka, uczestnicząc w danych wydarzeniach na miejscu, opisuje je później z pewnego dystansu. Zupełnego dystansu ani nie chcemy, ani nie możemy uzyskać, także dziś, kiedy możemy uczestniczyć w tym, co się dzieje, rozmawiając przez telefon, czytając na bieżąco wiadomości i posty w platformach generowania treści. Choć etnolożka na bieżąco prowadzi dziennik, często dopiero po powrocie porządkuje materiał i stara się wypracować formę opowieści, tekst artykułu czy książki. Mogłoby się zatem wydawać, że jeśli badania prowadzimy „w domu” – wracamy do miejsca swojego pochodzenia, od początku jesteśmy świadomi wielu powiązań i dużo łatwiej jest znaleźć rozmówców – są one łatwiejsze. Nic bardziej mylnego.

Problemy zaczynają się dość szybko. W końcu nawet przyjeżdżając z powrotem do miejsca, gdzie się urodziliśmy czy wychowaliśmy, jesteśmy już często zanurzeni w innym świecie: mamy za sobą studia w innym mieście, niezależny багаż doświadczeń, pracujemy, mamy rodzinne obowiązki gdzieś indziej. A w tym „domu”, do którego wracamy, może pamiętać nas sprzed lat, a może tylko ledwie kojarzą. Stajemy się więc na początku osobami zawieszonymi między różnymi tożsamościami, poszukującymi punktu wejścia z powrotem w miejsce, z którego wyjechaliśmy, a teraz chcemy się mu przyjrzeć z uzyskanym dystansem i zastosowaniem metod, których się nauczyliśmy.

Najważniejsza z nich to empatia. Wywiad etnograficzny to bowiem nazwa myląca. Nie pracujemy z kwestionariuszem, osoby, które z nami rozmawiają, nie wypełniają ankiet, nie chodzi nam o statystyki ani reprezentacyjne próby. Przeciwnie, to właśnie długotrwała, baczna obserwacja, poparta staranną autoanalizą, najlepiej prowadzoną na bieżąco w dzienniku, staje się podstawą wysnuwanych przez nas wniosków. A wywiad to po prostu rozmowa, czasami wielokrotna, bo wracamy do naszych rozmówców, zadzierzgują się między nami więzi. Bywa i tak, że wracając po latach w kiedyś dobrze znany sobie teren, widzimy zmiany, możemy dokonać rewizji argumentów, które wysuwa-

liśmy kiedyś. Etnografia jako sposób prowadzenia badań, ale i specyficzny sposób pisania, pozwala wrócić po własnych śladach w miejsca, w których już kiedyś byliśmy.

Granice między etnografią, etnologią i antropologią kulturową są tym, co często wprawia w konfuzję nie tylko osoby postronne, jest też często przedmiotem namysłu dla praktyków. W tradycji anglosaskiej, etnografia to sposób prowadzenia badań, ale także pisanie: bliskiego studiom przypadku, którym się zajmujemy, ale i literackiego – prowadzenia narracji tak, żeby osoba czytająca miała szansę poczuć i zrozumieć, gdzie byliśmy i jak to właściwie wyglądało. Niekoniecznie chodzi w nim o cytowanie całych ustępów z nagranych, a później przepisanych wywiadów, zebrane przez nas w trakcie badań narracje nie są tu podstawą, bo dopiero bycie w terenie prowadzi do wniosków. Cytujemy więc także nasze zapiski z dziennika. Opisuujemy własne usytuowanie społeczne, czyli to wszystko, z czym przychodzimy i jak jesteśmy odbierani przez innych, próbując dociec, co na to wpływa. W ten sposób możemy też przeanalizować, czemu ktoś może nie chcieć z nami rozmawiać, mając do tego pełne prawo, albo dlaczego ktoś inny powiedział nam to, a nie coś innego.

W przypadku badań prowadzonych „w domu” usytuowanie społeczne staje się szczególnie istotne. W końcu nie przyjeżdżamy jako obcy, którzy dopiero muszą nauczyć się topografii miasta czy wsi, znaleźć przystanek autobusowy i dowiedzieć się, czy wiszący na nim stary rozkład jazdy jeszcze w ogóle obowiązuje, czy zarośnięte wzgórze za zabudowaną nowym osiedlem dróżką to dawny cmentarz, a w niepozornym szarym bloku przy drodze kiedyś była zlikwidowana obecnie szkoła podstawowa, skupiająca wokół siebie wspomnienia większości mieszkańców. Przyjeżdżamy jako częściowo swoi, ale to „częściowo” jest tutaj kluczowe.

W końcu nie jesteśmy wyłącznie badaczami z tego czy innego instytutu bądź uczelni, jesteśmy dziećmi konkretnego rodzica, wychowankami tego czy innego liceum, znajomymi osób, które teraz zajmują się czymś w okolicy. Wchodzimy w swoje stare-nowe buty i staramy się zrozumieć nasze usytuowanie i wpływ, jaki wywiera na to, do jakich wiadomości uzyskamy dostęp. Interpretujemy rzeczywistość nie z poziomu wielkich narracji, ale tego, co usłyszymy i zaobserwujemy w codzienności, która



Źródło: Zuzanna Błaszczyk-Konieczna

Zdjęcie pochodzi z oprowadzania kuratorskiego pn. „Ile w nas z centralaków” po wystawie stałej Muzeum Ziemi Wałeckiej, którą autorka współtworzyła m.in. na podstawie badań terenowych.

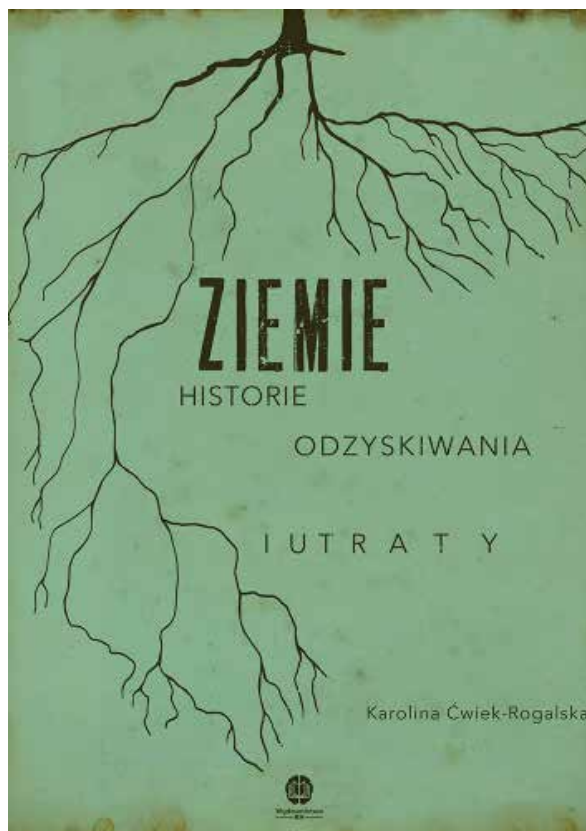
może z pozoru wydawać się nudna albo nieciekawa. I rzeczywiście, w trakcie długotrwałych badań terenowych nie zawsze coś się dzieje: bywają dni jednostajne, słyszymy te same historie, pada deszcz i droga, którą musimy się przedostać z jednej miejscowości do drugiej, rozmokła i rozmiękła tak, że wcale nie chce się wychodzić z domu. A jednak wychodzimy, idziemy, słuchamy i przyglądamy się. I na tym też częściowo polega ta dyscyplina. W końcu dyscyplina oznacza także i to: realizację celów pomimo braku motywacji.

Granice

Swoje pierwsze badania terenowe prowadziłam na Suwalszczyźnie północnej, w okolicach miejscowości Przerośl. Tym, co zwróciło moją uwagę w słyszanych narracjach, był temat zniknięcia dotychczasowych sąsiadów – ewangelików. Postanowiłam zająć się tym tematem i zastanowić, w jaki sposób opowiada się o wyjazdach protestantów, często przymusowo wciąganych na wojskowych i po wojnie traktowanych na równi z wysiedlonymi Niemcami. Zafascynowała mnie nadal widoczna w terenie dawna granica polsko-pruska, prześwitująca nadal w dzisiejszej granicy między województwem podlaskim a warmińsko-mazurskim. Granica stała się powracającym leitmotivem moich badań. Doktorat napisałam o jednej czeskiej gminie na pograniczu Czech i Niemiec, z której wysiedlono jej dotychczasowych niemieckich mieszkańców, a ich miejsce zajęli Czesi i Słowacy. Cykl habilitacyjny poświęcony był Pomorzu Środkowemu.

Prowadząc badania, szybko zetknęłam się z innym problemem: jak radzić sobie z brakiem źródeł. Nie zawsze bowiem – zwłaszcza wtedy, kiedy sięgamy w naszych badaniach w nieco dalszą przeszłość – można nadal spotkać osoby, które pamiętają jakąś wersję tego, co się wydarzyło i chcą się tymi wspomnieniami podzielić. Wówczas w sukurs przychodzą archiwa. Teraz, kiedy razem z moim zespołem badawczym pracujemy nad porównaniem procesów wysiedlania i osadnictwa na dawnych ziemiach niemieckich w Polsce, Czechach i Słowacji, często posilujemy się archiwami. Z jednej strony po to, by zrozumieć procesy administracyjne, interesuje nas bowiem zwłaszcza zetknięcie z rzeczami określanymi jako „poniemieckie”, „po Němcích”. Jak próbowano nimi zarządzać? Skąd brały się kategorie prawne i zwyczajowe? W jaki sposób przebiegał proces konfiskacji, a potem redystrybucji tego, co zostało po poprzednich, niemieckich mieszkańcach? Z drugiej strony zwracamy się w stronę archiwów, żeby uzyskać dostęp do tuż powojennych wydarzeń, których większość naszych rozmówców – z drugiego i trzeciego pokolenia, urodzonego już po 1945 roku – pamiętać nie może i które często nie zachowały się w rodzinnej historii.

Archiwa nie są jednak substytutem pamięci, nie są też bardziej wiarygodne niż ona. Przechowują wersje historii, często na skutek wojen i katastrof niekompletne, poddane już pewnej obróbce ze strony archiwistów, opracowane i opisane w zespolach i teczkach. Oczywiście, zamawiając daną jednostkę i pracując w archiwalnym reżimie – tylko tyle a tyle materiałów danego dnia, rękawiczki, ostrożne przerzucanie kolejnych kart – możemy zawsze liczyć na niespodziankę. Czasami coś, co nazywa się zupełnie niewinnie, skrywa prawdziwe skarby, czasami bardzo dosłowna nazwa nas zmyli i spędzamy czas na lekturze akt dotyczących sporów o przebieg pochodów pierwszomajowego. Czasami brakuje tego, co najciekawsze, bo zostało zubytkowane, czyli wycofane z obiegu albo nigdy do archiwum nie trafiło. Kiedy indziej to w domowych archiwach, tych, które pokazują nam rozmówcy w trakcie badań terenowych, natykamy się na to, o czym tylko czytaliśmy w sprawozdaniach znalezionych w instytucjonalnych archiwach.



Badania terenowe i archiwalne dopełniają się więc, nie stanowiąc własnego przeciwieństwa. Różnice między pamięcią a historią często bywają przeceniane – tę pierwszą uważamy za łatwiejszą do zafałszowania, bardziej subiektywną, podczas gdy ta druga, ubrana w szaty statecznej akademickiej dyscypliny i wyposażona w warsztat i tradycję, wygląda poważniej. O ograniczeniach historii, a zwłaszcza historiografii, zapisywania historii, historycy dyskutują od lat i stała się ona poważną częścią refleksji nad tym, jak pracujemy ze źródłami. Refleksji nieobcej także etnologom i pamięcioznawcom, bo badania nad pamięcią powoli przekształcają się w osobną dyscyplinę, wypracowującą własne teorie i metody, choć nieusankcjonowaną jeszcze żadnym rozporządzeniem, czy wreszcie: kulturoznawcom.

Bo to właśnie w tej ostatniej dyscyplinie także sytuuję swoje badania. Dobór źródeł, wśród których znajdują się te pozyskane w trakcie badań terenowych, ale i teksty kultury czy archiwa, wykracza bowiem poza ramy starszych i bardziej tradycyjnych dyscyplin, pozwala mi jednak na poszukiwanie polifonii, współbrzmień. I właśnie taki cel przyświecał mi również przy pisaniu *Ziem*: by pozwolić czytelnikom usłyszeć jak najwięcej głosów, takich, które czasami giną wśród innych, tych słyszanych rzadziej albo takich, które niekoniecznie potrafimy usłyszeć.

Dr hab. Karolina Ćwiek-Rogalska, prof. IS PAN, antropolożka, kulturoznawczyni i bohemistka, profesorka w Instytucie Sławistyki Polskiej Akademii Nauk, od 2022 roku kieruje zespołem badawczym utworzonym w ramach ERC Starting Grant, akronim „Spectral Recycling”, który bada relacje między pozostawionymi przez społeczności niemieckie i niemieckojęzyczne przedmiotami a nowymi osadnikami w wybranych regionach Polski, Czech i Słowacji.

Książka Karoliny Ćwiek-Rogalskiej „Ziemie. Historie odzyskiwania i utraty” była nominowana do wielu liczących się nagród: Nagrody im. Jana Długosza, Nagrody im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego, Nagroda im. Marcina Króla, Nagród Historycznych „Polityki”, Mądra Książka Roku 2024.

red.

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Profesor Józef Kazimierz Ziemacki (1856–1925)

Wybitny chirurg, patriota, odnowiciel
Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie

Utalentowany chirurg-praktyk, uczony, wykładowca na uczelniach wyższych w Charkowie i Petersburgu, jeden z czołowych działaczy Polonii petersburskiej, odnowiciel i profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, człowiek o wysokich zaletach moralnych, odważny Polak, podkreślający w czasach zaborów swoją polskość.

Józef Kazimierz urodził się 6 (18) września 1856 r. w Wilnie w rodzinie szlacheckiej Franciszka i Amelii Ziemackich. Jego dziadek Andrzej, dziedzic niewielkiego folwarku w Dachniach w powiecie oszmiańskim, uczestniczył w powstaniu Tadeusza Kościuszki. Wuj Józef zginął w powstaniu listopadowym, drugi wuj Rajmund został księdzem i odczytywał w kościołach manifest Rządu Narodowego, za co w Wilnie w 1863 r. został rozstrzelany. Ojciec Józefa, Franciszek, odziedziczył posiadłość w Dachnie i tam gospodarzył. Chłopiec był wychowany w tradycji patriotycznej i zaszczepiona w dzieciństwie polskość towarzyszyła mu przez całe życie.

W 1866 r. wstąpił do I klasycznego Gimnazjum w Wilnie. „Na ławie gimnazjalnej zakłada tajną bibliotekę polską, biorąc w ten sposób udział w tlejącym i niebezpiecznym wówczas ruchu narodowym i kontynuując dawne tradycje rodzinne” (Karol Kosiński).

Dwa razy Petersburg

W 1875 r., po ukończeniu Gimnazjum, Józef Ziemacki wyjechał do Petersburga i został studentem Wydziału Przyrodniczego Uniwersytetu Petersburskiego. Rok później przeniósł się do Wojskowej Akademii Lekarskiej. W tym okresie wykazał się jako polski patriota, dlatego był kilkakrotnie aresztowany i pod koniec studiów został relegowany z uczelni. Podobnie jak w Wilnie założył bibliotekę polską i został jej pierwszym bibliotekarzem. Po zamachu na Aleksandra II w 1880 r. policja petersburska dokonała w mieszkaniu Ziemackiego rewizji. Znalaziono u niego bibliotekę polską i został z tego powodu uwięziony. Po dwu miesiącach wypuszczono go, ale bez prawa powrotu do Akademii.

Z trudem udało mu się dostać pozwolenie na studia w Dorpacie, dokąd wyjechał jesienią 1880 roku. W ciągu kolej-



Józef Ziemacki – lekarz, profesor Uniwersytetu Wileńskiego. Fotografia portretowa w uroczystym stroju akademickim. Autor Jan Bułhak. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygnatura: 1-N-679.



Józef Ziemacki. Źródło: licencja CCBY-SA4.0
https://pl.wikipedia.org/wiki/J%C3%B3zef_Kazimierz_Ziemacki#/media/Plik:J%C3%B3zef_Ziemacki.jpg

nych dwóch lat studiował medycynę na Uniwersytecie Dorpackim. W kolejnych latach odbył studia za granicą: w Wiedniu, Pradze i Berlinie. 7 maja 1883 r. w Dorpacie obronił rozprawę pt. *Beitrag zur Kenntniss der Micrococcencolonien bei septischen Erkrankungen* (Przyczynki do wiedzy o koloniach bakterii pakietowców i ich zakaźnym działaniu) i uzyskał stopień doktora medycyny. Został mianowany asystentem chirurgicznego Oddziału Szpitala Obuchowskiego w Petersburgu i po raz drugi wyjechał do tego miasta.

1 listopada 1883 r. Ziemacki został nadetatowym asystentem Oddziału Chirurgicznego Kobiecego Szpitala Miejskiego Obuchowskiego w Petersburgu. Pracował na tym stanowisku w latach 1884–1885. W tym czasie kilkakrotnie ciężko chorował, nieomal nie stracił życia. W 1886 r. zakażył się tyfusem plamistym, a w 1887 r. dudem powrotnym, gdy zastępco pracował w Instytucie Wyższych Kursów Żeńskich Lekarskich na oddziale chorób wewnętrznych dr. Władimira Kierniga. Po wyzdrowieniu w latach 1887–1890 był zatrudniony jednocześnie w kilku instytucjach medycznych, m.in. w ambulatorium chirurgicznym Szpitala Obuchowskiego i jako lekarz schroniska im. Cesarzewicza Mikołaja Aleksandrowicza, które podlegało charytatywnym instytucjom cesarzowej Marii. Obok intensywnej działalności zawodowej w latach 1887–1890 dokształcał się w Nadzieżdzińskim Instytucie Położniczym.

Znajdował też czas na badania naukowe, opublikował w tym okresie ponad 10 prac z różnych dziedzin medycyny. Pięć opracowań było poświęcone chirurgii, wśród nich: *Próba zastosowania kreoliny w leczeniu ran i owrzodzeń* oraz *Kilka słów o metodzie operacji w sekwestrotonii na szczękach z zachowaniem zębów* („Chirurgiczny Wiestnik” 1888), *Przymywanie jam sta-*



Profesor Józef Ziemacki z żoną Marią i synem Jerzym.
 Źródło: Wikimedia Commons

wowych w chorobach torebek stawowych („Chirurgiczny Lietopis” 1889). Niestety „dotychczasowe zajęcia nie zapewniały mu dostatecznych środków na utrzymanie w drogim Petersburgu. W wieku 33 lat zdobył mocne podstawy z chirurgii i ginekologii i mógł zająć samodzielne stanowisko, zapewniające warunki bytu” (Piotr Szarejko).

Połtawa i Charków

W 1890 r. Ziemacki dostał zaproszenie od Połtawskiego Gubernialnego Zarządu Ziemskiego i wyjechał do Połtawy. Został zatrudniony jako ordynator i objął kierownictwo oddziału chirurgicznego i ginekologicznego w Gubernialnym Ziemskim Szpitalu w Poławie. Przeniósł się do miasta, w którym była niewielka – około 800 osób – ale bardzo aktywna polska wspólnota, dzięki której w 1859 r. został wybudowany Kościół pw. Podwyższenia Krzyża.

Józef Ziemacki zamieszkał w budynku Czebotariowa przy placu Pietrowskim (obecnie plac Konstytucji). Dzięki swemu doświadczeniu „chirurga pierwszorzędowego” zyskał uznanie i rozgłos na całym południu Imperium Rosyjskiego. „Tu zdobył z czasem taką popularność i to nawet w sąsiednich guberniach, skąd przybywali chorzy” (Piotr Szarejko).

W tym okresie Józef Ziemacki, obok pracy zawodowej i praktyki prywatnej, zajmował się dydaktyką na Uniwersytecie w Charkowie. „W ciągu następnych dwu lat, nie przerywając pracy chirurgicznej w Poławie, prowadzi dwa razy tygodniowo wykłady w Charkowie z zakresu patologii chirurgicznej” (Karol Kosiński). W marcu 1893 r. uzyskał stopień docenta prywatnego przy Katedrze Patologii Chirurgicznej na tej uczelni i odtąd łączył życie i pracę w Poławie i Charkowie. Od 1893 do jesieni



Ulica Aleksandrowska i plac Pietrowski w Połtawie. Poczłtówka z pocz. XX wieku. Źródło: Domena publiczna

1896 r. wykładał na uniwersytecie. 13 maja 1895 r. charkowska gazeta „Jużnyj Kraj” zamieściła na karcie tytułowej ogłoszenie: „Doktor medycyny I.F. Ziemacki przeniósł się z Połtawy na stałe mieszkanie do Charkowa. Mieszka przy ul. Staro-Moskowskiej w budynku Gracilewskiego nr 15 (obok Szkoły Realnej)” (obecnie prospekt Bohaterów Charkowa).

Po dwóch latach pracy charkowska uczelnia wysłała Ziemackiego na staż zagraniczny. W jego trakcie uczestniczył w 1894 r. w Zjeździe Chirurgów Polskich w Warszawie, gdzie wygłosił referat. Po powrocie, na posiedzeniu Charkowskiego Towarzystwa Medycznego wygłosił referat pt. *Wrażenia z podróży naukowej za granicą*, który został opublikowany w „Trudach Charkowskiego Medycznego Obszczestwa” (1895). Przebywając w Petersburgu, Ziemacki dwukrotnie starał się o Katedrę Chirurgii Uniwersytetu Charkowskiego. Niestety bez skutku.

Powrót do Petersburga

Jesienią 1895 r. Ziemacki przeniósł się do Petersburga, gdzie tym razem pozostał na ponad 20 lat. W tym okresie, pomimo pracy zawodowej, aktywnie angażował się w życie miejscowej Polonii. Pierwsze pięcioletie przepracował na stanowisku docenta chirurgii i zastępcy profesora przy Katedrze Chirurgii Klinicznej Instytutu Klinicznego dla lekarzy im. W. Ks. Jeleny Pawłowny. W 1896 r. przyznano mu tytuł profesora honorowego. Kierownikiem tego instytutu był jeden z wybitniejszych chirurgów wojskowych XIX w. Nikołaj Sklifosowski (1836–1904), który ostatnie lata życia mieszkał w Połtawie, gdzie został pochowany. Od 1900 r. Ziemacki był konsultantem instytutu i pod nieobecność profesora Sklifosowskiego, głównie z powodu złego stanu zdrowia, często pełnił zastępstwa. Prowadził wykłady z chirurgii operacyjnej i ćwiczenia na zwłokach na kursach dokształcających chirurgów. Na stanowisku konsultanta pozostawał faktycznie do 1917 r., a formalnie do maja 1918 roku.

W latach 1902–1918, po opuszczeniu stałej pracy w instytucie, współpracował ze Zgromadzeniem Sióstr Miłosierdzia Matki Bożej, najpierw jako konsultant oddziałów chirurgicz-

nych, potem jako naczelny lekarz i dyrektor Kliniki Chirurgicznej Zgromadzenia. W 1914 r. został dodatkowo powołany na Katedrę w Instytucie Psychoneurologicznym.

Jako członek Komitetu Polskiego Ziemacki brał udział w akcji wyborczej do I i II Dumi Państwowej (1906, 1907). W latach 1910–1917 był radnym Rady Miejskiej Petersburga/Piotrogradu.

Polskość Ziemackiego

W okresie zaborów Józef Ziemacki nigdy nie krył się ze swoją polsnością. Jako Polak wyraźnie manifestujący swe patriotyczne nastawienie nie mógł piastować wyższych stanowisk (Robert Gawkowski). W 1901 r. był jednym z trzech założycieli Rzymskokatolickiego Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu. W następnym roku został członkiem działającego przy nim Koła Lekarzy Polskich, które w 1908 r. przekształciło się w Związek Polski Lekarzy i Przyrodników. Na zebraniu organizacyjnym wybrany został wiceprzewodniczącym Zarządu nowo powołanego stowarzyszenia, a cztery lata później przewodniczącym zarządu.

W 1906 r. założył Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i został jego prezesem. „Wpływ jego wśród swoich i obcych jest wielki. Nadzwyczaj uczynny i serdeczny, wyświad-

ДОКТОРЪ МЕДИЦИНЫ
І. Ф. Земацкій

перѣхалъ изъ г. Полтавы на жительство въ Харьковъ. Живетъ по Старо-Московской улицѣ, въ домѣ Грацилевскаго, № 15 (возлѣ реального училища). 3020 1—1

Ogłoszenie o przeniesieniu Józefa Ziemackiego do Charkowa. Źródło: „Jużnyj Kraj”, 13 maja 1895.

Leczenie zapalenia grzliczego kości i stawów wstrzykiwaniami pod okostną 10% roztworu chlorku cynku według metody Lannelonguea.

Podał

Dr. Józef Ziemacki,
docent chirurgii w uniwersytecie charkowskim.

W dyskusji na piątym posiedzeniu sekcji chirurgicznej VII. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie, dnia 26. Lipca 1894 roku, powstałej po ciekawym odczytaniu Dra Gąbryszewskiego o wynikach leczenia operacyjnego grzlicy stawów w klinice krakowskiej od roku 1887 do 1893, miałem sposobność zwrócić uwagę zebranych jednocześnie kolegów na zalety leczenia metodą Lannelonguea.

Artykuł Józefa Ziemackiego z okresu charkowskiego *Leczenie zapalenia grzliczego kości i stawów wstrzykiwaniami pod okostną 10% roztworu chlorku cynku według metody Lannelonguea*. Źródło: Polona2 PL. Domena publiczna.

cza rodakom wiele usług i nigdy nie odmawia pomocy. Jego dom gościnny przygarnia wszystkich Polaków, których los zapędził do stolicy carów i którzy potrzebowali Jego pomocy” (Karol Kosiński).

Stały kontakt utrzymywał z rodzinnym Wilnem, corocznie odwiedzając je wraz z żoną Marią i synem Jerzym.

W okresie I wojny światowej przebywał Ziemacki w Petersburgu i ogrom energii włożył w organizację szpitali dla rannych. Był naczelnym lekarzem Lazaretu Wojennego dla oficerów i żołnierzy w Szpitalu Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Matki Bożej, naczelnym lekarzem Szpitala dla rannych żołnierzy Floty Ochotniczej i wreszcie chirurgiem konsultantem w Szpitalu Polskim Rosyjskiego Czerwonego Krzyża. „Ogromny napływ rannych, trudności w zaopatrzeniu w leki i materiały opatrunkowe, ogólny chaos wojenny, wreszcie dokonywanie trudnych operacji – wszystko to stanowiło treść codziennej pracy” (Piotr Szarejko).

Wiosną 1917 r. wyjechał do Piatigorska na Kaukazie, gdzie założył prywatną lecznicę chirurgiczną, zamierzając pracować w niej w czasie letnim. Przewrót bolszewicki spowodował, że Ziemacki pozostał na Kaukazie do kwietnia 1918 r., zajmując się praktyką lekarską także w mieście Jessentuki. Rzeczywistość, jaką urządziła nowa władza sowiecka, skłoniła go do podjęcia

decyzji o powrocie do Wilna. „Doznaje wiele przykrości od rosyjskich władz rewolucyjnych i przez jakiś czas pozostaje ich zakładnikiem. Po utracie całego ciężko zapracowanego mienia w Rosji, w trudnych warunkach materialnych, wraca do ukochanego Wilna w sierpniu 1918 r. z mocnym postanowieniem wskrzeszenia sławnego niegdyś Uniwersytetu Wileńskiego” (Karol Kosiński).

Osiągnięcia naukowe

Ziemacki opublikował ponad 70 prac naukowych (Robert Gawkowski). Wśród tematów jego zainteresowań badawczych były: grzlica chirurgiczna, zwężenie odźwiernika, leczenie garbów i technika gastroenterostomii. Szereg prac ogłosił o seroterapii nowotworów, wykazując ujemne, a nawet wprost szkodliwe wyniki leczenia. Kilka prac poświęcił operacjom kamieni żółciowych, opracował nową metodę opero-

wania rozległych przetok pęcherzowo-pochwowych. Ogłaszał prace także w czasopismach niemieckich i polskich.

Nawet w ostatnich latach życia, będąc już poważnie chory w związku z postępującą miażdżycą, do ostatnich dni zajmował się pisanem prac naukowych; 10 opracowań opublikował w czasopismach polskich, francuskich i angielskich. Niestety nieukończony został pisany przez niego podręcznik chirurgii operacyjnej.

Józef Ziemacki był członkiem wielu towarzystw naukowych i lekarskich, m.in. Towarzystwa Chirurgów Rosyjskich im. Pirogowa, członkiem-korespondentem Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego, członkiem honorowym Towarzystwa Lekarskiego w Lublinie. Wyniki swoich badań naukowych niejednokrotnie ogłaszał na międzynarodowych zjazdach chirurgów. Uczestniczył w zjazdach Towarzystwa Chirurgów Polskich, na jeździe warszawskim w 1912 r. pełnił funkcję przewodniczącego.

Odnovicieli Uniwersytetu Stefana Batorego

Po przybyciu w 1918 r. do rządzonego przez niemieckie władze Wilna Ziemacki zwrócił się do dowództwa okupacyjnego z pomysłem odnowienia uniwersytetu. Niestety propozycja ta



Pracownicy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Piąty w drugim rzędzie od lewej siedzi Józef Ziemacki. Autor Jan Bułhak. Źródło: Polona2 PL. Domena publiczna.

pozostała bez odzewu, gdyż Niemcy żądali niemieckiego języka wykładowego, a Ziemacki proponował język polski. Postanowił zatem realizować swój pomysł siłami żywiołu polskiego. 20 i 22 listopada 1918 r. na łamach „Dziennika Wileńskiego” zamieścił artykuł *O wznowieniu uniwersytetu w Wilnie*, w którym zwrócił się do polskiego społeczeństwa: „Czy jest potrzebny w Wilnie? Na to pytanie niema odpowiedzi przeczącej. Tylko skrajny obskurantyzm odpowie, na co nam uniwersytet? Na pytanie, czy uniwersytet w Wilnie jest potrzebny, społeczeństwo polskie ubiegłymi laty odpowiedziało wielokrotnie twierdząco [...] Utrzymanie Uniwersytetu pociąga koszty wielkie. Ale pamiętajmy o tym, że wychowanie młodzieży polskiej na obczyźnie kosztuje o wiele więcej. Młodzież materialnie wzbogaca inne, nieraz obce nam miasta [...] Ileż bowiem naszych młodzianów słabszej woli, bardziej miękkiego charakteru poszło na marne w obcym środowisku? A przybywa w czasach nowych jeszcze взгляд na wyższe studia dla naszych kobiet. Przecież w wileńskim uniwersytecie kobietom naszym będzie o wiele bliżej osiągać naukę, a nie odjeżdżać w dalekie i nieswojskie kraje! Dlatego nie ma nic dziwnego, że wszystkie miasta na świecie walczą o założenie uniwersytetu”.

23 sierpnia 1919 r. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski mianował profesora Michała Siedleckiego rektorem, a profesora Józefa Ziemackiego prorektorem wskrzeszonego Uniwersytetu Wileńskiego jako Uniwersytetu Stefana Batorego. 14 września 1919 r. prof. Ziemacki został powołany do prowadzenia wykładów z anatomii topograficznej i chirurgii operacyjnej w charakterze profesora nadzwyczajnego. Uroczysta inauguracja 11 października 1919 r. była spełnieniem marzeń Józefa Ziemackiego i było to w dużej mierze zasługą ogromnej jego pracy organizacyjnej. W uznaniu zasług dla organizacji wydziału, jak też i w dziele powstania Uniwersytetu Stefana Batorego Rada Wydziału Medycznego na posiedzeniu 25 kwietnia 1925 r. mianowała go profesorem honorowym.

W czasie wojny polsko-radzieckiej 1920 r. Józef Ziemacki urządził kursy dla pielęgniarek i w dalszym ciągu pracował nad rozwojem uniwersytetu. Po zakończeniu wojny prowadził wykłady, wykonał wiele preparatów anatomicznych dla ćwiczeń ze studentami.

Za wybitne zasługi dla Uniwersytetu Stefana Batorego i polskiej nauki został Ziemacki uhonorowany przez Rzeczypospo-

litą Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, drugiego pod względem rangi polskiego państwowego odznaczenia cywilnego.

Józef Ziemacki zmarł 30 września 1925 r. i został pochowany na jednej z najstarszych nekropolii wileńskich – Cmentarzu Bernardyńskim, obok rodziców (sektor C 32, al. na wprost kaplicy cmentarnej). W październiku 1925 r. w Wilnie ukazało się drukiem wspomnienie pośmiertne autorstwa członka Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego doktora medycyny Karola Kosińskiego. W podsumowaniu o swoim wybitnym rodaku napisał: „Duchy świetlane nie umierają. Zmarły żyje nadal w sercach tych, co Go przeżyli. Wyzwolony z zużytych pęt cielesnych, duch zmarłego pozostanie wiecznie w murach Wileńskiego Uniwersytetu w dostojnym towarzystwie Poczo-buta i Śniadeckich, dopóki stać będzie Wszechnica Wileńska, dopóty nie zaginie pamięć Jej pierwszego odnowiciela – Józefa Ziemackiego. Cześć jego pamięci” („Pamiętnik Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego”, 1925).

Profesor medycyny Józef Kazimierz Ziemacki to wielka postać w gwiazdozbiorze polskich uczonych, których życie wypadło na okres zaborów i odrodzonej Ojczyzny. Jego dorobkiem można by obdzielić kilka osób. Był niezwykle pracowity na polu chirurgii, nauki medycznej, a także na rzecz Polonii, społeczeństwa, i w każdej dziedzinie miał zadziwiające osiągnięcia. A jego spełnione marzenie, odnowienie Uniwersytetu Stefana Batorego, świadczy o wielkim patriotyzmie. Ten artykuł to tylko niewielkie upamiętnienie Wielkiego Człowieka, którego 170. urodziny przypadają w tym roku.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchodźstwa i wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało – profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Książki nadesłane

Edyta GRYKSA-PAJĄK, *„Cynegetica” Gracjusza Faliskusa czyli polowania w czasach antycznych*, Wyd. UŚ, 2024, seria: Classica.

Anna KUCZ, *Kobiety i milczenie w „Pervigilium Veneris”*, Wyd. UŚ, 2024, seria: Classica.

Anna BUDZANOWSKA, *Muślinowa rebelia. Kobiety liberalizmu erudycyjnego oświeceniowej Francji i jego tropy w tradycji feministycznej*, Wyd. UŚ, 2025.

Dariusz PAWELEC, *Wirszapołowie*, Wyd. UŚ, 2025, seria: Inventio.

Barbara KALINOWSKA-WÓJCIK, *W Katowicach się urodziła miłość do Syjonu. Konferencja Katowicka protosyjonistów w 1884 roku – źródła, wydarzenia, postaci, rocznice*, Wyd. UŚ, Muzeum Historii Katowic 2024.

Quentin SKINNER, *Podstawy nowożytnej myśli politycznej. Tom I. Renesans*, tłum. Agnieszka Kuczkiewicz-Fraś, Renata Czechalska, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2024, seria: Biblioteka Myśli Politycznej.

Jarosław SYRNYK, *Łemkowskie rozdroże*, Wyd. UW, Wrocław 2024.

Linda NOCHLIN, *O ciele*, tłum. Agnieszka Nowak-Młynikowska, Wyd. Smak Słowa, Sopot 2024.

Dariusz PAWELEC, *Sztuka (w) realizacji wielokamerowej*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Magdalena OCHWAT, *Więcej-niż-tylko-ludzkie lekcje języka polskiego. Edukacja polonistyczna w czasach kryzysu klimatycznego*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Rejestr przyjęć do prawa miejskiego w Sieradzu 1475-1539, wyd. i oprac. Karol NABIAŁEK, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Katarzyna MALISZEWSKA, *Teatr egzystencjalny w perspektywie biograficznej. Konteksty pedagogiczno-andragogiczne*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Bogdan RUDNICKI, *Hłasko. Nasz nie-współczesny, czyli nowy wspaniały żywot starej manipulacji*, Wyd. Universitas, Kraków 2024.

Marcelina Smużewska

Między Krakowem a Princeton

Naukowa podróż Leopolda Infelda

Mimo sukcesów nie był zadowolony ze swojej sytuacji na uczelni w Polsce. Wszystkie katedry fizyki teoretycznej były obsadzone i nie było dla niego miejsca. Nie miał gdzie awansować, a ambicje niewątpliwie miał. Dlatego zdecydował się na pracę za granicą.

Uważał, że praca naukowa idzie „zygzakami”. Są dni rozpaczy i zwątpienia oraz mniej liczne dni radości. Największym jednak szczęściem dla fizyka jest dzień zrozumienia danego problemu. Zawsze mu się wydawało, że jeżeli coś w przeszłości udało się zrobić, to bardziej z powodu szczęścia, przypadku i pracowitości aniżeli z powodu talentu, którego brak tak często Infeld odczuwał (L. Infeld, Kordian, fizyka i ja. Wspomnienia, Warszawa 1967).

Dzieciństwo na Kazimierzu

Leopold Infeld urodził się 20 sierpnia 1898 roku w Krakowie w rodzinie żydowskiej. Ojciec był kupcem. Na podstawie biografii fizyka można zauważyć, że pierwsze lata życia upłynęły mu w niemal zupełnej izolacji od społeczeństwa, które można by uznać za etnicznie polskie. Owszem, uczył się języka polskiego i czytał książki w tym języku, ale odbywało się to na potrzeby obowiązku szkolnego. Wszyscy jego bliscy i znajomi byli Żydami, co sam autor podkreślał (Tamże). W wieku siedmiu lat rozpoczął naukę w szkole ludowej. Popołudniami chodził do chederu. Infeld „przejął się literaturą polską i pokochał Polskę, nie znając zupełnie Polaków — tylko poprzez jej literaturę” (Tamże). Uwielbiał Mickiewicza i Słowackiego.

Wspominając matkę Ernestynę Kahane napisał, że była ładna i opiekuńcza, ale chyba niezbyt mądra. Natomiast w ojcu, przynajmniej w młodości, widział ideał. Samuel Infeld skończył tylko cztery klasy. Miał zdolności matematyczne. Był schłudny, wręcz pedantyczny. Ubierał się po europejsku. Był pobożny. Znał niemiecki i jidysz, a po polsku mówił z błędami.

W Krakowie w czasie młodości Leopolda żyło więcej członków rodziny Infeldów, którzy zajmowali się handlem skórą i przyborami szewskimi. Salomon Jr. Infeld był szanowany w środowisku krakowskim. Szczycił się tym, że nigdy nie podpisał weksla.

Pierwsze kroki edukacyjne

Gdy młody Leopold planował dalszą naukę w polskim gimnazjum i marzył o zostaniu wybitnym poetą, ojciec zdecydował inaczej. Panicznie bał się, że jego jedyny syn wykształci się i odejdzie w świat, marnując dorobek kupiecki. Martwił się też (co potem okazało się uzasadnione), że syn utraci

wiarę. Chciał go przed tym ochronić, dlatego zdecydował, że młody Leopold będzie się uczył nie na uniwersytecie, ale w szkole handlowej. Aby do tego etapu dojść, konieczne było przygotowanie w szkole wcześniejszego szczebla. Co ciekawe, Leopolda jako nastolatka zupełnie nie pociągała ani fizyka, ani matematyka, uważał je za nudne. W dzieciństwie Infeld dzielił pokój z dziadkiem i starszą siostrą Felicią. Nie miał szczególnie dogodnych warunków do nauki.

W 1909 roku, w setną rocznicę urodzin Słowackiego, w Szkole im. Kazimierza Wielkiego wystawiono sceny z Kordiana. W roli głównej obsadzono młodego Infelda, który zadanie przyjął z radością. Do końca życia pamiętał improwizację na szczycie Mont Blanc, którą zwykł sobie

recytować podczas bezsennych nocy. W swoich wspomnieniach dokonał nawet swobodnego rozbioru logicznego fragmentów Kordiana. Tak jak literaturę, cenił także teatr, do którego uczęszczał wszędzie, gdzie mógł. Jako młodzieniec



Leopold Infeld w 1938 r. Źródło: Wikipedia

miął nawet oddzielny zeszyt na pisane przez siebie recenzje teatralne.

Rodzina Infeldów wakacje spędzała najczęściej w Rabce. Ojciec wynajmował część góralskiej willi, a dzieci chodziły na zajęcia taneczne i uczyły się pływać. Młody Leopold nie był szczególnie wysportowany i czuł się niezgrabny. W wieku 13 lat przeniósł się do szkoły na ul. Smoleńsk, gdzie eksperymentalnie utworzono klasę ósmą. Do szkoły handlowej można było zdawać dopiero w czternastym roku życia. Tam rozwinął skrzydła i stał się najlepszym uczniem, choć przyjaźni nie nawiązał. W kolejnym roku dostał się do Akademii Handlowej, która była rodzajem szkoły średniej.

W szkole tej nauczano trzech języków: polskiego, niemieckiego i francuskiego. Fizyki, algebry i geometrii uczył profesor Lang, który miał do uczniów stosunek zupełnie bezosobowy. „Wyczuwało się w nim temperaturę absolutnego zera” (Tamże), jednak był skrupulatny i dokładny. Młody Infeld chłonał te wykłady. Najbardziej podobało mu się podkreślanie dedukcyjnego charakteru fizyki. Już po pierwszym roku zaczął udzielać korepetycji mniej pojętym kolegom, co stało się dla młodzieńca źródłem skromnego dochodu. W kolejnych latach szkoły pojawiało się coraz więcej zajęć „handlowych”, np. matematyka ubezpieczeniowa. Te niestety Infelda nudziły. Zaczął tęsknić za fizyką i poszukiwać podręczników, które mogły ten głód wiedzy zaspokoić. Przeczytał podręcznik gimnazjalny do fizyki, szkice Stanisława Kramsztyka oraz Zasady fizyki Augusta Witkowskiego. Ta ostatnia pozycja stała się rodzajem biblii dla młodego Infelda. „Być innym od kolegów! Posiadać coś, czego oni nie posiadają! Fizyka dała mi nie tylko przyjemność poznania, wzruszenie związane ze zrozumieniem, dała [...] również poczucie wyższości w stosunku do rówieśników” (L. Infeld, 1967).

Adept nauk fizycznych

Jak do tego doszło, że młody Infeld w końcu dostał się na upragnione studia fizyczne i nie został handlarzem skór? Maturę zdał w gimnazjum realnym. Sam przygotował się z łaciny, której nie uczono w szkole handlowej. W obliczu takiej determinacji syna ojciec „odpuścił”. Leopold zapisał się na studia w 1916 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odczuwał jednak braki w ofercie dydaktycznej i zdecydował się na wyjazd do Berlina.

Tam poznał dr. Josefa Winternitza (1890–1952), działacza komunistycznego, z którym zaprzyjaźnił się na lata. Drugą ważną postacią, z którą zetknął się w Berlinie, był oczywiście Albert Einstein. To pod jego wpływem zainteresował się teorią względności. Napisał rozprawę o falach świetlnych w szczególnej teorii względności, która stała się potem jego rozprawą doktorską w Krakowie. Promotorem był Władysław Natanson (1864–1947).

Jak zauważył Infeld, w tym czasie dokuczały mu problemy tożsamościowe, dlatego być może tak duży wpływ wywarł na niego właśnie wyrazisty Winternitz. „Jakie widoki miał Żyd zamiłowany w literaturze swego kraju w Polsce międzywojennej? Mógł oświadczyć, że jest Polakiem wyznania mojżeszowego. Ale owo «wyznanie mojżeszowe» oznaczało tylko wiarę moich ojców, a nie moją. Mogłem się wychrzcić, jak radzili mi niektórzy profesorowie. Ale zdawałem sobie sprawę, że takie kłamstwo raz popełnione wypaczy mój charakter na resztę życia. Cóż miałem robić? Polacy nie przyjęli mnie do swojego obozu, zawsze patrzyli na mnie jak na obcego. Przez krótki okres mego życia (przed wyjazdem do Berlina) zwróciłem się w kierunku narodowo-żydowskim, podkreślając swoją inność od środowiska polskiego, które mnie nie chciało. Ale środowisko, do którego się przyznawałem, mówiło językiem mi obcym, którego literatura była mi równie obca. Wśród tej rozterki właśnie, nie wiedząc dobrze, czy uważać się za Polaka (którego Polacy nie chcą), czy za Żyda, wyjechałem do Berlina” (Tamże).



Leopold Infeld w 1960 r. Źródło: Wikipedia

Wypowiedź ta brzmi obecnie oskarżycielsko wobec ówczesnych elit naukowych. Bo jak można napotkać niezaprzeczalny talent, nieważne gdzie urodzony, i pozwolić, żeby się zmarnował? Nie jest jednak tak, że każdy młody człowiek czuje się nieco wyalienowany i dopiero poszukuje swojej tożsamości? Czy wychowany w zamkniętej społeczności Infeld mógł się czuć nieswojo na polskim uniwersytecie? Na pewno tak. Problemy tożsamościowe uległy poniekąd złagodzeniu w Berlinie, gdzie był jednym z wielu ubogich emigrantów. Tej identyfikacji nie odrzucał. W tym czasie uświadomił sobie także, że w zasadzie jest komunistą.

W Berlinie Infeld chodził na wykłady Maxa von Laue (1879–1960). Ponieważ nie miał on talentu do wykładania, samorzutnie powstała grupa dyskusyjna składająca się z Infelda, Winternitza, Leo Szilarda (1898–1964) oraz niejakiego Grommera. Trzeba mieć świadomość, że liczebność społeczności młodych fizyków nie przekraczała wtedy 20 osób, a zainteresowanych ściśle teorią względności było jeszcze mniej. Było to więc zajęcie niezwykle elitarne, choć nie wiązało się z prestiżem ani finansowymi apanażami. Infeldowi przypadła do gustu nie tylko atmosfera naukowa ówczesnego Berlina, ale także klimat artystyczny. Zachwycił go teatr, interesowały nowe prądy w sztuce, jak dadaizm. Niestety na wiosnę 1921 roku trzeba było wracać, gdyż młoda żona fizyka Fanny Billig zaszła w ciążę, a sytuacja finansowa młodych małżonków była zła.

Sfrustrowany nauczyciel fizyki

W tym samym czasie nad Wisłę dotarła teoria względności. Nie została przyjęta z zachwytem. Profesor matematyki Stanisław Zaremba (1863–1942) wygłosił dwugodzinny wykład na UJ, w którym ją krytykował. Infeld napisał dwa teksty odpierające tę krytykę. Astronom Tadeusz Banachiewicz (1882–1954) nazwał zaś Zarembę „geometrycznym daltonistą”. Inni jednak nie mieli dość odwagi, żeby zająć stanowisko. Zapewne więc Infeld był uznawany za zdolnego asystenta, który jednak zajmuje się słabo ugruntowanymi, kontrowersyjnymi zagadnieniami. Profesor Natanson nigdy nie zaproponował Infeldowi asystentury, co zmusiło młodego fizyka do poszukiwania pracy poza akademią. Jedni powiedzą, że był to przejaw antysemityzmu i strukturalnych ograniczeń systemu szkolnictwa wyż-

sze, inni, że nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Sam Infeld skłaniał się ku pierwszej grupie argumentów.

W konsekwencji trafił do gimnazjum w Będzinie, gdzie kilka dni w tygodniu nauczał swojego przedmiotu. Dziecko, którego spodziewali się Infeldowie, przyszło na świat martwe. Żona fizyka ledwo przeżyła, a strata już na zawsze położyła się cieniem na jej psychice. Rozwinęła się u niej choroba afektywna dwubiegunowa. Małżeństwo się rozpadło. Infeld był zgorzkniały, że nie ma warunków do pracy naukowej. Do tego bardzo tęsknił za Berlinem.

Kolejnym miejscem zatrudnienia był Konin, w którym spędził dwa lata. Infeld czuł, że stoi w miejscu i był w rozpacz. Tracił kontakt z nauką światową. Zdecydował się na ponowny wyjazd do Berlina. Nie chodziło nawet o powrót do nauki, ale o próbę wytnięcia od bolączek codzienności i spotkanie z Winternitzem. Oprócz Berlina odwiedził wraz z żoną także Drezno, Norymbergę i Frankfurt.

Po powrocie do Polski czekała go wizyta policjantów. Stał się podejrzany ze względu na swoje radykalne poglądy i kontakty. To znacznie ograniczało mu opcje zawodowe. Większość żydowskich szkół miała charakter syjonistyczny. Komunista nie miał w nich racji bytu. Pozostawały nieliczne szkoły radykalne znajdujące się w Warszawie.

W 1926 roku Infeld nauczał w jednej z uboższych szkół spółdzielczych w stolicy. Z czasem dostał też posadę w prywatnym gimnazjum pani Kaleckiej. Działał w Związku Zawodowym Nauczycielstwa Szkół Żydowskich. Uczestniczył też w obradach Polskiego Towarzystwa Fizycznego i chodził na seminarium matematyczne. Poznał profesora Czesława Białobrzieskiego (1878–1953), docenta Aleksandra Rajchmana (1890–1940), profesora Ludwika Wertensteina (1887–1945), doktora Józefa Kramsztyka (1890–1932) oraz Myrona Mathiassona (1897–1940). Z tym ostatnim solidaryzował się w trudnościach zawodowych. Zdolny fizyk, a klepał biedę, dorabiając sobie pracami rachunkowymi. „Docent to był w Polsce międzywojennej tytuł tylko naukowy. Wolno było docentowi za darmo (lub niemal za darmo) wykładać. Ale poza tym mógł umierać z głodu” (L. Infeld, 1967).

W 1927 roku Infeld przygotował pracę, którą posłał Einsteinowi do sprawdzenia. Mistrz odpiisał, podając argumenty

krytykujące idee młodzińca. Fizyk jednak nie załamał się. Był wdzięczny, że Einstein poświęcił mu czas.

W lipcu 1928 roku odbył się zjazd fizyków teoretyków w Berlinie. Wykładowcami byli: Schrödinger, Laue, Planck i wiele innych znakomitości. Einstein akurat był wtedy chory. Infeld był pośród tego grona jedynym nauczycielem ze szkoły średniej. Z Polski przyjechało 10 osób i jeszcze 50 uczestników z innych krajów. Zjazd był dla Infelda wspaniałym doświadczeniem, „zachłyśnięciem się fizyką”.

Po tym wydarzeniu młodego uczonego dopadło z wątplenie: po co pracować naukowo, nadwyreżać siły, jeśli do końca życia i tak będzie nauczycielem fizyki? Mimo kryzysów pracował, uparcie wracał do biblioteki Instytutu Fizyki. W nocy przychodziły mu do głowy pomysły. Za dnia przelewał je na papier. Był jednak coraz bardziej zmęczony.

Spełnienie marzeń, ale na krótko...

Rok 1928 obfitował także w zmiany w życiu prywatnym. Na Zjeździe Fizyków Polskich w Wilnie Infeld zakochał się w młodej fizyczce Halinie i postanowił rozwieść się z pierwszą żoną, mimo że mieli dwuletniego syna Henryka Ryszarda.

W 1930 roku dostał od prof. Stanisława Lorii (1883–1958) propozycję objęcia stanowiska starszego asystenta na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Była tam katedra fizyki teoretycznej, choć nieobsadzona. Infeld miał wtedy 30 lat i sądził, że najlepsze lata życia zmarnował w Będzinie, Koninie i Warszawie. Na podstawie opublikowanego do tamtej pory dorobku Infeld uzyskał habilitację w 1930 roku. Wraz ze Szczepanem Szczeniowskim (1898–1979), który został kierownikiem lwowskiej katedry, napisali wspólnie kilka prac.

W Lipsku Infeld zaprzyjaźnił się z matematykiem Bartlem L. van der Waerdenem (1903–1996). Przygotował z nim rozprawę o równaniu falowym elektronu w ogólnej teorii względności.

Peregrynacje naukowe

W 1932 roku Infeld uzyskał stypendium Fundacji Rockefellera i wyjechał do Cambridge (właśnie został wdowcem). Tam przez dwa lata pracował z Maxem Bornem (1882–1970) nad teorią pola. Efektem było ogłoszenie nieliniowej teorii pola elektromagnetycznego (tzw. elektrodynamika Borna–Infelda). Roz-



Albert Einstein i Leopold Infeld Źródło: www.uj.edu.pl/wiadomosci

wiążywała ona problem nieskończonej energii (masy) punkto-
wego elektronu. Teoria wprowadziła górną granicę natężenia
pola elektrycznego, przy czym dla słabszych pól pokrywała się
z klasyczną elektrodynamiką. Teoria ta początkowo nie weszła
do głównego nurtu fizyki, ale powróciła w drugiej połowie XX
wieku w kontekście teorii strun (tzw. działanie Borna-Infelda),
co pokazuje, że Polak współtworzył koncepcję, która wyprze-
dzała epokę. W 1934 roku Infeld przyjechał do Krakowa na
VII Zjazd Fizyków, żeby przedstawić ustalenia wypracowane
w Wielkiej Brytanii.

Mimo sukcesów nie był zadowolony ze swojej sytuacji na
uczelnii w Polsce. Wszystkie katedry fizyki teoretycznej były
obsadzone i nie było dla niego miejsca. Nie miał gdzie awan-
sować, a ambicje niewątpliwie miał. Dlatego zdecydował się
na pracę za granicą.

W 1935 roku ożenił się po raz trzeci, tym razem z kuzynką
Doris Infeld. W 1936 roku wyjechał do Princeton jako stypen-
dysta Instytutu Studiów Zaawansowanych. Rozpoczął współ-
pracę z Albertem Einsteinem. W tym miejscu warto podkre-
ślić, że Infeld nie był uczniem geniusza, lecz współpracowni-
kiem właśnie. Wraz z Baneshem Hoffmannem (1906-1986)
zajmowali się równaniami ruchu w ogólnej teorii względo-
ści. Tzw. metoda EIH (skrót od nazwisk) była próbą wypro-
wadzenia równań ruchu bez osobnych założeń. W Princeton
powstała także, we współpracy z Einsteinem, słynna *The Evo-
lution of Physics* (1938). Została przełożona na wiele języków
i była często wznawiana. Napisana była w przystępny sposób
(co niewątpliwie było zasługą Infelda) i przedstawiała ewolu-
cję idei w fizyce. O tej pracy Infeld napisał następująco: „Nie
będę tak skromny, by powiedzieć, że wszystkie idee w pracy tej
zawarte były dziełem umysłu Einsteina, ale będę na tyle obiek-
tywny, by zaznaczyć wyraźnie, że większość tych idei należy
do Einsteina” (L. Infeld, 1967). Po śmierci Einsteina Infeld pra-
cował wraz z Jerzym Plebańskim (1928-2005) nad rozwinię-
ciem tego dzieła.

W 1938 roku Polak wyjechał do Kanady, gdzie podjął pracę
na uniwersytecie w Toronto. Zajmował się wtedy kosmologią
relatywistyczną (działem fizyki badającym wszechświat w wiel-
kich skalach) i teorią faktoryzacji (matematyką zajmującą się
rozkładem obiektów na prostsze składniki, zwane czynnikami).
Przebywał tam łącznie 12 lat. W 1939 roku ożenił się po raz
czwarty z matematyczką Helen Mary Schlauch.

W 1950 roku został zmuszony do odejścia z kanadyjskiej
uczelnii. Pomawiano go o kontakty z komunistami i przekazy-
wanie im tajemnic wojskowych dotyczących broni jądrowej. Był
to okres maccarthyzmu i panowała atmosfera ogólnej podejrz-
liwości, zwłaszcza wobec cudzoziemców. Infeld doświadczył
więc realnych trudności w pracy akademickiej. Jego pozycja
zawodowa pogorszyła się znacząco, dlatego zdecydował się na
podróż z rodziną (amerykańską żoną, synem Erykiem i córką
Joan) do Polski. Dla ówczesnych władz polskich był to sukces
propagandowy, że światowej sławy naukowiec woli pracować
w swojej komunistycznej ojczyźnie niż na Zachodzie, choć to
nadmierne uproszczenie. Początkowo fizyk planował krótszy
pobyt i chciał zachować kanadyjski etat, przeczekując najgor-
szy czas. W Polsce jednak otoczono Infelda opieką i dbano, żeby
niczego mu nie brakowało, co budziło niemałą zazdrość w krę-
gach akademickich. W Kanadzie natomiast odebrano mu oby-
watelstwo i ogłoszono zdrayę.

W Polsce Ludowej

W tym czasie na UW były dwie katedry fizyki teoretycz-
nej, których szefami byli Czesław Białobrzeski (1878-1953)
i Wojciech Rubinowicz (1889-1974). Infeld zaczął organizować
osobny Instytut Fizyki Teoretycznej przy ul. Hożej. Szybko uzy-

skął środki na rozbudowę gmachu. Instytut formalnie ruszył
w maju 1952 roku. Kierował nim do 1966 roku.

Także z inicjatywy Infelda powstał Zakład Fizyki Teore-
tycznej przy Instytucie Fizyki PAN, którym kierował w latach
1953-1968. W pierwszej połowie piątej dekady regular-
nie organizował tzw. Infeldiady, czyli konferencje dla fizy-
ków. Przyczyniło się to do rozwoju kadr naukowych. Wielu
uczniów Infelda stało się uczonymi o światowej sławie. Ten
aspekt pracy uczonego jest niemal tak samo ważny jak doro-
bek naukowy, ponieważ zapewnił wsparcie dla dyscypliny
w kolejnych latach.

Po przybyciu do Polski Infeld szybko zorientował się co do
natury systemu politycznego. W okresie „odwilży” krytykował
naukę będącą na usługach komunistów. Napisał list do Rady
Państwa w sprawie więźniów politycznych.

W lipcu 1957 roku odbyła się pierwsza Konferencja w Spra-
wie Nauki i Problemów Światowych w kanadyjskiej miejsco-
wości Pugwash. Leopold Infeld był sygnatariuszem Manife-
stu Russella-Einsteina wzywającego do ograniczenia zbrojeń
jądrowych. Konferencja ta była bezpośrednią reakcją na ten
manifest. Choć na pierwszym spotkaniu ruchu Pugwash fizyk
nie był obecny, to jednak uważany jest za współtwórcę tej ini-
cjatywy. Infeld był zdecydowanym orędownikiem rozbroje-
nia i pokojowego rozwiązywania konfliktów. W 1964 roku był
też sygnatariuszem *Listu 34* przeciwko ograniczaniu wolności
słowa i cenzurze.

Syn Eryk, który także został fizykiem, pisał o ojcu, że „sam
doszedł do tego, kim był, dlatego bardzo dobrze rozumiał trud-
ności innych. Śpieszył z pomocą, ale i wymagał – jak od siebie
samego” (Magdalena Bajer, audycja „Rody uczone” w Progra-
mie BIS Polskiego Radia, październik 2000 r.).

W lipcu 1962 roku Leopold Infeld zorganizował międzyna-
rodową konferencję pod tytułem *Teorie relatywistyczne i gra-
witacja*. Na zaproszenie Polaka przyjechało ponad 100 wybit-
nych fizyków z całego świata. W obradach uczestniczyli m.in.:
Hermann Bondi (1919-2005), Subrahmanyan Chandrasekhar
(1910-1995), Paul Dirac (1902-1984), Richard Feynman (1918-
1988), Władimir Fock (1898-1974), Witalij Ginzburg (1916-
2009) i John Archibald Wheeler (1911-2008). Obrady miały
miejsce w Jabłonie i było to największe zgromadzenie fizy-
ków po wojnie.

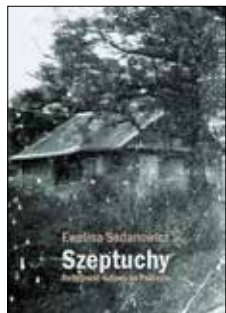
Dorobek pisarski

Leopold Infeld był nie tylko świetnym fizykiem i organiza-
torem nauki, lecz był także utalentowany literacko. Opubliko-
wał kilkanaście książek po polsku i po angielsku. Oprócz dzieł
popularnonaukowych i wspomnień napisał także powieść histo-
ryczną o francuskim matematyku Évariste Galois (1811-1832).

W kolejności chronologicznej ukazywały się: *Nowe drogi
nauki. Kwanty i materja* (1933), wspomniane dzieło z Einstei-
nem pt. *The Evolution of Physics. The Growth of Ideas from
the Early Concepts to Relativity and Quanta* (1938), *Whom
the Gods Love. The Story of Evariste Galois* (1950), *Albert
Einstein* (1950), *Moje wspomnienia o Einsteinie* (1956),
Motion and Relativity (z Jerzym Plebańskim, 1960), *Szkice
z przeszłości: wspomnienia* (1964), *Quest: An Autobiogra-
phy* (1965), *Kordian, fizyka i ja* (1967), *Why I Left Canada*
(1978). Infeld był także autorem i współautorem licznych
artykułów naukowych.

Zmarł 15 stycznia 1968 roku w Warszawie. Został
pochowany w Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego
na Powązkach. W swoim życiu został odznaczony Krzyżem
Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1951), Orderem
Sztandaru Pracy I klasy (1954) i Medalem 10-lecia Polski
Ludowej (1955).

Fenomen szeptania



W kulturze ludowej szeptuchami lub proście babkami zwie się osoby, które jakoby potrafią zmanipulować sakralną moc, by ta spowodowała, że coś się 'stanie' lub 'odstanie'. Swoimi rytualnymi zabiegami szeptuchy mogą rzucić lub zdjąć urok, nasłać lub wyleczyć chorobę, zająć się konfliktami w związkach, problemami pieniężnymi, spadkowymi itp. W zależności od swoich umiejętności szeptucha będzie się starała być mediatorem między ludźmi a sacrum.

Znana jest specjalizacja szeptuch. Jeśli chodzi o leczenie schorzeń, dopracowano się katalogu diagnostycznego. I tak szeptucha może leczyć: 'od róży', którą współcześnie rozpoznano by jako choroby skórne; 'od kołtuna', który w przeciwieństwie do czasów staropolskich nie wynikał z braku higieny skóry głowy i włosów, lecz jest traktowany jako choroba na tle nerwowym wywołana stresem, a często kojarzona z nowotworem; 'od uroku', gdyż oczy niektórych ludzi mogą być tak uroczone, że ich spojrzenie staje się szkodliwe; 'od przestrasz' dotyczącego głównie dzieci a wywołanego doświadczeniem szoku lub silnego stresu; 'od wiatru i przewiania' – chorób manifestujących się na skórze.

Większość szeptuch działa na Podlasiu, na terenie dwóch powiatów: hajnowskiego i bielskiego, zamieszkałych przez ludność prawosławną. Ewelina Sadanowicz zajmowała się badaniem fenomenu szeptuch w latach 2016-2022. Główne jej narzędzia badawcze to: wywiad, rozmowa, obserwacja, analiza krytyczna materiału historycznego. Ponieważ praca jest przyczynkiem do określenia stanu świadomości religijnej wschodnich rubieży Podlasia, naturalnym staje się też sondowanie stanowiska Cerkwi prawosławnej wobec działalności szeptuch.

Autorka zdołała ustalić, że szeptuchy są szczątkową pozostałością rozbudowanego systemu lecznictwa ludowego Podlasia. W minionych wiekach leczyli tu także kozłarze, gęślarze, kostopravi. Przyjmowaniem porodów zajmowały się zaś powituchy. Profesję szeptuch przekazywana jest zwykle młodszej generacji rodziny, najczęściej matka przekazuje córce, jednakże są pewne predyspozycje do zawodu, np. „człowiek urodzony przez niezamężną kobietę nabiera właściwości «tamtego świata», ma wrodzone zdolności mediacyjne”. Ułatwia to kontaktowanie się z rzeczywistością pozaziemską, czyli szeptanie.

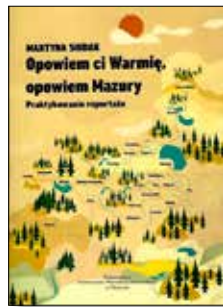
Zamawianie, podkładanie, robienie to tradycyjne nazwy rytuałów szeptuch. Rozstrzygają one także spory czy ustanawiają pravidła, np. że w okresie Bożego Narodzenia nie należy nic nikomu pożyczać, gdyż moc uchodzi z domostwa.

Cerkiew zwalcza proceder, interpretując działalność szeptuch jako praktyki magiczne, ale również dlatego, że autorytet Cerkwi na tym cierpi, a zalecenia duchownych są ignorowane. Koronnym argumentem Cerkwi jest wskazywanie wiernym, iż babki nigdy nie pytają o wiarę, podczas gdy Chrystus zawsze pytał, a ponadto szeptuchy dialogują z chorobami, tj. zamiast do Boga zwracają się do choroby. Choroba jest traktowana przez nie jako spersonifikowane zło. Obraz światopoglądu religijnego, jaki wyłania się z badań, sugeruje istnienie dualizmu religijnego wśród części prawosławnej ludności Podlasia. Ma ona tendencję do traktowania na równi zarówno chrześcijańskiego Boga, jak i Złego, spod którego mocy w sposób rytualny można się oswobodzić. Zastosowany synkretizm środków cerkiewnych (ikony, oleje, naśladownictwo rytuałów) wraz z rzekomą mocą szeptuch pozwala mieć przekonanie, że spełniło się wszystko co możliwe, by przywrócić stan naturalny, bez skazy.

Bogdan Bernat

Ewelina SADANOWICZ, *Szeptuchy. Religijność ludowa na Podlasiu*, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2024.

Warmińsko-mazurska szkoła reportażu



W środowisku akademickim, zwłaszcza w obszarze nauk humanistycznych i społecznych, spotykamy badaczy, którzy łączą refleksję teoretyczną z aktywnością twórczą. Nie dziwi, że literaturoznawca bywa równocześnie poetą lub prozaikiem, teatrolog pisze dramaty, politolog staje się politykiem, medioznawca zaś para się reportażem. Obie formy działalności stanowią naturalne dopełnienie badań nad żywą materią kultury. W ten nurt wpisuje się książka Martyny Siudak.

Autorka, reprezentująca nauki o komunikacji społecznej i mediach, uprawia reportaż, a jednocześnie bada reportażową twórczość na temat Warmii i Mazur. Jej książka, wzbogacona trafnie dobranymi fotografiami, ma dwudzielną kompozycję. W części pierwszej uporządkowana jest pokrótce najnowsza historia reportażu regionalnego. Druga zawiera zbiór reporterskich narracji o ludziach czynnie kształtujących tożsamość warmińsko-mazurską.

Publikacja ma też wartość dydaktyczną; jest zaprojektowana jako podręcznik adresowany do adeptów dziennikarstwa. W tekście wyodrębniono zwężkę i rzeczowe uwagi warsztatowe. Martyna Siudak raczej podpowiada niż poucza, jakimi prawdami i zasadami może kierować się ambitny reporter; przypomina m.in., że człowiek ma potrzebę opowiedzenia swojej historii, że trzeba wiedzieć więcej, by napisać mniej, że reporter powinien umieć uzasadnić wagę podejmowanego tematu, nie bać się historii już opisywanych, a także dążyć do osobistego spotkania z rozmówcą. Reportaż jawi się jako forma otwarta, mogąca stać się punktem wyjścia do innych gatunków wypowiedzi.

Choć reportaż Martyny Siudak koncentruje się na wydarzeniach ostatniego dziesięciolecia, uchwycone są w perspektywie historii regionu. Najważniejsze są jednak osoby, które wykazują troskę o dziedzictwo kulturowe Warmii i Mazur. Zadanie to jest szczególnie trudne, jeśli uświadomimy sobie, jaką rolę w tragicznych dziejach Polski odegrały Prusy. Po roku 1945 region doświadczył radykalnej zmiany demograficznej. Na tych ziemiach ciągłość została przerwana nie tylko w sensie społecznym, lecz także gospodarczym, geopolitycznym i kulturowym.

Stosunek do wschodniopruskiej, głównie niemieckiej przeszłości pozostaje do dziś zagadnieniem nieoczywistym. Po wojnie akcentowano polskość regionu, często kosztem wyparcia lub przemilczenia wcześniejszego dziedzictwa i doświadczeń autochtonicznych. Realia polityczne i ideologiczne dekad powojennych sprzyjały marginalizacji rodowitych mieszkańców oraz degradacji substancji materialnej Warmii i Mazur. Prowadzono tu swoistą gospodarkę rabunkową (stąd pozyskiwano materiał budowlany do odbudowy Warszawy). Dlatego miejscami do odkrycia np. kilkunastowiej obecności Mazurów jeszcze pozostają ich cmentarze.

Na tle tradycji pisarstwa reportażowego teksty Martyny Siudak nabierają szczególnego znaczenia. Autorka nie ogranicza się bowiem do prostej rejestracji zjawisk społecznych. Posługuje się metodą przedstawiania nie zawsze zbieżnych punktów widzenia. Nie opowiada Warmii i Mazur „pod tezę”. Nie dopasowuje faktów do z góry przyjętych założeń. Kraina nie jawi się tylko jako leśno-jeziorna przestrzeń wakacyjna, lecz zobaczona od środka uświadamia, że nagromadziło się w niej wiele nierozwiązanych problemów. Od lat daje tu znać o sobie bezrobocie i wyludnianie się.

Reportaże Siudak wynikają z konsekwentnego dążenia do spotkania i rozmów z ludźmi, którzy swoje przywiązanie do Warmii i Mazur oraz zaangażowanie kulturowe potwierdzili konkretnymi działaniami. Książka dzięki temu jest wiarygodna; ma dużą wartość poznawczą i dokumentacyjną. Jest świadectwem odpowiedzialnego praktykowania reportażu jako formy dialogu z przeszłością i teraźniejszością z myślą o przyszłości.

Zbigniew Chojnowski

Martyna SIUDAK, *Opowiem ci Warmię, opowiem Mazury. Praktykowanie reportażu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Olsztyn 2025.

Władza spojrzenia



Badania nad reprezentacją ciała – w tym szczególnie ciała kobiecego, a szerzej kobiet w ogóle – w sztukach narracyjnych są istotne nie tylko dla humanistyki. Pozwalają uzyskać lepszy wgląd w to, jak postrzegamy relacje między płciami w społeczeństwie, a w tym jak konkretnie wyobrażamy sobie miłość romantyczną (nawet jeśli zakładamy, że stanowi ona tylko pewien etap w rozwoju związku). Spojrzenie na osoby tej czy innej płci nigdy nie jest „obiektywne” (cokolwiek byśmy przez to rozumieli), zawsze odnosi się do jakichś kulturowych wzor-

ców, których patrzący może być świadom lub nie. Zaś literatura XIX wieku (romantyczna i późniejsza) jest w tym kontekście istotna dla polskiego czytelnika, gdyż to właśnie z tych epok pochodzą teksty, z którymi cała późniejsza polska kultura wchodziła w dialog. Niniejszy wieloautorski tom pozwala spojrzeć na te reprezentacje krytycznie, ale nie ideologicznie, pozwala uchwycić, co w postrzeganiu kobiecej cielesności (przynajmniej w kulturze) może być perspektywą wykształconą pod wpływem minionych epok.

Męscy bohaterowie polskiego romantyzmu są dalecy od współczesnych wzorców męskości, ale jedna cecha wielu utworów jest boleśnie współczesna: kobiety są w nich albo męskimi projekcjami, służącymi przede wszystkim pogłębieniu przedstawienia bohatera-mężczyzny i jego osobowości, albo służą wyeksponowaniu jakiejś ważnej idei. Co ważne: Zwolińska nie uprawia lektury, którą nazwałbym prokuratorowską, a której celem jest obniżenie rangi dzieł z dawnych epok poprzez ahisteryczne zarzuty, wskazuje jednak, że także cielesność (lub bezcielesność) bohaterów jest w nich podporządkowana męskiemu spojrzeniu, choć (w przeciwieństwie do znanej koncepcji Laury Mulvey) nie oznacza ono władzy i podporządkowania (a już na pewno nie podporządkowania seksualnego). Jednocześnie ta sama autorka wychodzi poza najbardziej oczywiste utwory romantyczne (Mickiewicz, Krasiński) i analizuje pod kątem reprezentacji kobiecego ciała *Kollockę* Józefa Korzeniowskiego, *Zamek kaniowski* Seweryna Goszczyńskiego i *Ulanę* Józefa Ignacego Kraszewskiego – dzieła rzadko dziś wznawiane, u których bohaterów ciało gra istotną rolę, dla każdej w innym sensie. To romantyzm już mniej oczywisty, kobieta nie jest tu już tylko projekcją, symbolem czy zjawą, choć wciąż może być dla męskiego bohatera obiektem, jak Ułana. Zwolińska wydobywa niejednoznaczność obrazu kobiety w tych tekstach: Czy Aspazja z *Zamku kaniowskiego* jest bardziej zjawiskiem niż realną osobą, czy też tak tylko widzi ją bohater? Czy Ułana jest już samodzielną bohaterką, czy wciąż elementem konwencji?

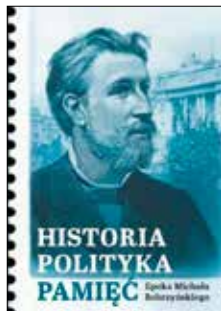
Kolejne rozdziały to już męskie spojrzenie bardziej ukonkretnione: kobiety na rynku pracy, młode kobiety jako „eteryczne nimfy” lub „nowoczesne panny”, a także ciało stare, brzydkie czy chore, wreszcie ciało w tańcu. Przemysłany wywód pozwala dostrzec, że przejawem męskiego spojrzenia jest także akt lektury męskiego czytelnika; szczególnie w literaturze pozytywistycznej znaleźć można wizerunki oceniające (np. zalotnych starszych kobiet), które mogą dziś budzić obiektywnych odbiorców, ale inne w zależności od płci. Wyraźnie widać, że estetyzacja kobiecej fizyczności czy oczekiwanie takiej estetyzacji od samych kobiet to kulturowy filtr na tyle silny, że niektórzy pisarze i odbiorcy wydają się go nieświadomi. To właśnie wnioski, które wychodzą już poza literaturoznawstwo i wiedzę o kulturze i pozwalają zadać pytanie: Czy obowiązkiem kobiety rzeczywiście jest postrzegać własne zewnętrzne piękno jako coś ważnego? Czy to właśnie powinien być kluczowy element kobiecej tożsamości? Nie sposób jest po prostu odrzucić wszelkie konstrukty kulturowe, ale warto poddawać je wciąż i wciąż krytycznej refleksji.

Marek Misiak

**„Gdy nam chodzi o duszę, to im – o zupełnie co innego”.
O ciele, cielesności i bezcielesności w literaturze i kulturze.**

pod red. Anny REGLIŃSKIEJ-JEMIOŁ i Barbary ZWOLIŃSKIEJ,
Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2024.

Myśl polityczna Bobrzyńskiego



Zbiór artykułów poświęconych tytułowemu bohaterowi przygotowany został przez członków Koła Naukowego „Res Publica” UJ. Jak czytamy w jednym z tekstów: „Michał Bobrzyński, historyk i jeden z kluczowych przedstawicieli krakowskiego stronnictwa stańczyków, odegrał ogromną rolę w kształtowaniu polskiej myśli konserwatywnej. Niniejsza praca powstała w celu upamiętnienia tego wybitnego myśliciela w 90. rocznicę jego śmierci. Jej zadaniem jest szczegółowa analiza myśli politycznej Bobrzyńskiego, zwłaszcza w konfron-

tacji z innymi prądami ideowymi”.

Bobrzyński, z wykształcenia prawnik, wykładowca akademicki UJ, poseł, minister i samorządowiec zamieszkały w zaborze austriackim, w Galicji. Zapewne nie bez znaczenia pozostaje fakt, że większość jego życia przypadła na czas, gdy Polska nie istniała na mapie świata. Jego opus magnum pozostają *Dzieje Polski w zarysie*, z których wybija się główna teza, że Polska była potęgą tylko wówczas, gdy miała silną władzę centralną. Był pozytywistą z krwi i kości, a swoim życiem dowiódł, że ideały pracy organicznej i pracy u podstaw rzeczywiście nie były mu obce. Odrzucał romantyczne widzenie dziejów Polski, sprzeciwiał się idei naszej ojczyzny jako Chrystusa narodów, popierał pragmatyzm, realizm polityczny i trzeźwy ogląd rzeczywistości, nie indywidualizm jednostki, a więzi społeczne, prymat rozumu i pracę na rzecz dobra wspólnego. Chociaż był zwolennikiem silnej władzy centralnej, to uważał, że samorządność uczy odpowiedzialności za dobro ogółu. Zarzucano mu, że popierał współpracę z Austro-Węgrami i bliscy byli mu Habsburgowie, co być może wynikało z przekonania, że Polska to zdecydowanie kraj cywilizacji zachodniej.

Popierał model silnego rządu, ale pomimo swojego konserwyzmu nie był nacjonalistą, stał w opozycji do środowiska narodowo-demokratycznego. Twierdził, że obywatel ma przede wszystkim obowiązki, a nie prawa. W swym tradycjonalizmie wykazywał jednak ambiwalencję (zdrowy rozsądek?) w stosunku do Kościoła, który jego zdaniem pełni niezwykle istotną rolę społeczną, gdyż buduje więzi międzyludzkie, ale jednocześnie winił hierarchów i skostniałą strukturę za polityczną niedojrzałość narodu. Nie był zatem klasycznym konserwatystą, gdyż w jego myśli politycznej pojawiają się elementy liberalno-oświeceniowe. Być może niechęć współczesnych mu budziło przekonanie, że „powszechne prawo wyborcze prowadzi do zajmowania ważnych stanowisk przez jednostki nieprzygotowane do sprawowania funkcji w strukturach władzy”.

Ostatnią ważną publikacją zwartą Bobrzyńskiego było dwutomowe *Wskrzeszenie Państwa Polskiego* i stanowiło „pierwszą próbę syntetycznej analizy okresu I wojny światowej i procesu odbudowy niepodległej Polski widzianych z perspektywy realizmu politycznego”. Jako realista upatrywał przyczyn upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie tylko w czynnikach zewnętrznych, ale w kunktatorstwie szlachty i niesprawnym aparacie państwowym, utratę niepodległości traktował jako proces, a nie nagłe wydarzenie. Rozbiory były dla niego logicznym finałem i ostatnim, nieuniknionym aktem narodowej tragedii, a nie jej główną przyczyną. „Do typowych polskich słabości zaliczał brak szacunku dla reguł, niechęć do regularnej pracy i przede wszystkim niemożność podporządkowania się zasadom społecznym”. Liberum veto, złota wolność szlachecka, słaba władza królewska, a później wolna elekcja tylko potęgowały procesy rozpadu.

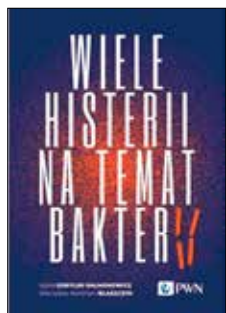
Działalność i twórczość Michała Bobrzyńskiego bez wątpienia motywowana była również nadzieją na odzyskanie wolnej Polski. Pozostaje pytanie, czy część naszych wad narodowych z pism Bobrzyńskiego nadal nie jest aktualna?

Jacek Hnidiuk

Historia, polityka, pamięć. Epoka Michała Bobrzyńskiego.

red. Włodzimierz BERNACKI, Roksana CHARACZKO, Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2025.

Miedzy nami bakteriami



Ten wspaniały produkt usuwa wszystkie zarazki, eliminuje wszystkie bakterie, zabija wszystkie drobnoustroje – można usłyszeć w reklamach różnego rodzaju środków czyszczących czy dezynfekujących. Takie zapewnienia mają świadczyć o ich skuteczności, jednocześnie jednak tworzą przekonanie, że wszystkie zarazki, bakterie czy drobnoustroje są złe. Tymczasem – jak przekonują autorzy książki, biolodzy, naukowo zajmujący się tym zagadnieniem – bakterie są wręcz niezbędne do życia ludzi i całej planety.

Bez mikrobiologicznego rozkładu materii organicznej planeta byłaby usłana martwymi organizmami. Wspólnoty mikroorganizmów dostarczają niezbędne pierwiastki innym organizmom, zwiększają poziom tlenu i obniżają emisję dwutlenku węgla. Bakterie uczestniczą w trawieniu pokarmu przez człowieka, uwalniając niedostępne składniki odżywcze. Wspierają rozwój układu odpornościowego, rozkładają toksyny. Pełnią jeszcze wiele innych funkcji, jednym słowem – są nam potrzebne.

Książka jest nie tylko kompendium wiedzy, lecz zarazem poradnikiem. Czytelnik może z niej wiele czerpać na potrzeby codziennego życia, a zarazem ma solidnie wytłumaczone, dlaczego warto to robić. Każdy rozdział oparty jest na najnowszych badaniach naukowych (spis niektórych znajduje się na końcu każdego rozdziału). Książka dotyczy różnych okoliczności, bo też w różnych występują bakterie: ciało, ubrania, zwierzęta domowe, łazienka, kuchnia, lodówka, w końcu jedzenie: od mięsa przez mąkę, ryż czy jaję po przyprawę.

Książka podaje, gdzie występują różne bakterie, ale dostarcza też sporo ciekawej wiedzy ogólnej. Dowiemy się np. z czego mogą być pozyskiwane przyprawy (liście, nasiona, korzenie, kory, pączki, owoce, kwiaty, kłącza, szyszki, zioła), z jakich surowców produkuje się tkaniny (wełna, bawełna, jedwab, len, poliestr) i jakie gatunki bakterii występują na poszczególnych materiałach, jakie są rodzaje wody, a także które mają najkorzystniejszy wpływ dla zdrowia skład chemiczny i właściwości. Bez względu na to, czy chodzi o ryby, cebulę czy mleko, poznamy ich skład, właściwości, towarzyszące im bakterie, zasady przechowywania i najkorzystniejsze, zdaniem autorów, okoliczności ich przyrządzania i spożywania. Ciekawy jest też rozdział dotyczący „żywności malowanej”. Choć jest to po prostu lista pigmentów E102, E104, E110 itd., to każdy z nich jest opisany, tzn. na jaki kolor barwi żywność, w jakich produktach spożywczych go znajdziemy i jakie negatywne reakcje organizmu może wywoływać. Mamy z nimi do czynienia na co dzień, bo kto nie jada płatków zbożowych, dżemu, galaretki, kasz, jogurtów czy lodów?

Książkę można polecić każdemu, jest przystępnie napisana, a niektóre pojęcia, jak antygen, pałeczka czy serotyp, wyjaśniono na końcu książki w krótkim słowniczku. Każdy rozdział zaczyna się streszczeniem najważniejszych wiadomości, a na końcu podano listę rekomendowanej literatury.

Lektura książki skłania jednak do refleksji, która może być użyteczna również w kontekście innych doniesień ze świata nauki dotyczących naszego życia codziennego. Wśród sugerowanych przez autorów zachowań są m.in. takie, żeby pić wodę mocno gazowaną (nie zawiera bakterii patogennych), nie trzymać jajek w lodówce (wilgotna lodówka sprzyja wydłużeniu czasu przeżywalności bakterii patogennych), nie prac w niskich temperaturach (tylko temperatura 90 stopni usunie patogenne bakterie) itp. Te porady są oparte na badaniach naukowych i z pewnością są jak najbardziej słuszne, jeśli chodzi o bakterie, z innych względów słuszne mogą być jednak rady zgoła inne. Warto o tym pamiętać, zanim bez reszty zaufamy jednemu źródłu albo badaniom oceniającym zjawisko tylko z jednej perspektywy.

Anna Jawor

Agata GORYLUK-SALMONOWICZ, Mieczysław Kazimierz BŁASZCZYK, **Wiele historii na temat bakterii**, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2025.

Od słowa do leku



Doskonałe połączenie treści i kształtu, wykwalifikowane rozwiązanie graficzne i nowoczesna poligrafia budzą dziwne odczucie, że po otwarciu tego dzieła pokój wypełni się kojącym aromatem suszonych ziół i kwiatów. Wszystko to stosuje się do omawianej wieloautorskiej monografii, drugiego tomu serii tworzonej przez badaczy skupionych wokół Fundacji Naukowej „Bydgoska Szkoła Historii Nauk Medycznych”. Opracowanie pod redakcją pracowników Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy oraz Muzeum Farmacji im. Antoniny Leśniewskiej, oddziału Muzeum Warszawy, jest pokłosiem II Interdyscyplinarnej konferencji naukowej „Zielarstwo i ziołolecznictwo. Przeszość – teraźniejszość”, która się odbyła w 18-19 października 2024 r. w Bydgoszczy.

Pod okładką z pięknym wizerunkiem amarylisa (Flora Ameryki Południowej i Środkowej, litografia, 1834 r., Zbiory Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy) umieszczono 15 rozdziałów napisanych przez 20 naukowców z zakresu zielarstwa, fitoterapii, botaniki, etnologii, filologii klasycznej, historii i muzealnictwa. W pierwszym rozdziale Piotr Wolski analizuje pod kątem filologii dzieje mało znanego terminu greckiego „antibolomenon” w średniowiecznej Europie. Kolejne badania (Beata Stuchlik-Surowiak) skupione są wokół wyświetlenia wykorzystania roślin w praktykach lekarskich przez Jakuba Kazimierza Haura (1632-1709) oraz działań aptek i szpitali w klasztorach bernardynów w XVII-XIX w. (Aleksander Krzysztof Sitnik OFM). Krystian Kowalski wprowadza czytelnika w bogactwo indiańskiej wiedzy na temat roślin leczniczych, prezentuje zielarstwo i ziołolecznictwo na obszarze prekolumbijskiego Meksyku.

Mikołaj Radomski wyjaśnia, jakie rośliny stosowali do leczenia pierwsi polscy przesiedleńcy w Brazylii. Kolejne opracowania dotyczą doby współczesnej: temat surowców zielarskich z Ameryki Północnej na polskim rynku analizują Jadwiga Andrzejewska i Katarzyna Sadowska; Tomasz Załuski, Iwona Paszek i Katarzyna Talarek próbują zainteresować czytelnika kwestią współczesnego rzemiosła barwierskiego w Toruniu. O „dobrych praktykach zielarskich”, etycznych aspektach zbierania roślin w perspektywie muzealniczej snuje rozważania Antonina Kasprzak, natomiast Joanna Medyka oprowadza czytelnika po wystawie czasowej „Rośliny w obrzędowości rodzinnej i dorocznej na Krajnie i Pałukach” w Muzeum Kultury Ludowej w Osieku nad Notecią. Barbara Domagała i Ewa Capecka porównują motywy roślinne Stanisława Wyspiańskiego i współczesnej artystki Anety Paszek, a Piotr Makowski wyjaśnia miejsce ziół w komiksach Janusza Christy z serii „Kajko i Kokosz”. Bożena Płonka-Syroka przeanalizowała „zawartości poszczególnych tomów” serii wydawniczej „Lek Roślinny” (2012-2022), publikowanej przy Muzeum Farmacji Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. W trzech ostatnich rozdziałach podjęto próbę analizy znaczenia roślin dla pielęgnacji twarzy pod kątem wiedzy ajurwedyjskiej (Dorota Kamińska-Jones), dla dobrego snu i odbudowy zasobów psychofizycznych organizmu (Mikołaj Malinowski, Agnieszka Skopowska) oraz perspektywy stosowania leków pochodzenia roślinnego w terapii chorób nerwowo-mięśniowych (Radosław Kanarkowski).

W monografii umieszczono 50 kolorowych ilustracji, wśród nich reprodukcje motywów roślinnych Stanisława Wyspiańskiego i Anety Paszek, co podnosi wartość estetyczną książki. Są też tabele, diagramy, rysunki i mapy – nieodłączna część opracowań naukowych. Monografia jest wzorem interdyscyplinarnego podejścia badaczy do określonego tematu, w tym przypadku ziół leczniczych. Książka przydatna dla czytelnika zainteresowanego tajemnicami ziołoznawstwa, historii, sztuki.

Lubow Żwanko

Od słowa do leku. Zioła w perspektywach interdyscyplinarnych, red. Wojciech ŚLUSARCZYK, Anna BUJAK, Episteme, Lublin, 2025.



Krzysztof Goczyła

O wilku mowa

W marcu tego roku w Toruniu odbyła się najważniejsza w sezonie zimowym impreza lekkoatletyczna – Halowe Mistrzostwa Świata. Spore nadzieje na medal, może nawet z najcenniejszego kruszcu, wiązaliśmy z naszą kobiecą sztafetą na 4 x 400 m. Niestety, na mecie nasze dziewczyny zameldowały się na najbardziej nie lubianym przez sportowców czwartym miejscu. Po biegu zawodniczka, która kończyła sztafetę, bardzo utytułowana i zbliżająca się do zakończenia kariery sportowej, zapłakana, w rozmowie z telewizyjnym reporterem porażkę starała się choć trochę wytłumaczyć przepychankami w strefach zmian. Takie sytuacje w zawodach halowych nie są rzadkością, a wynikają ze szczupłości miejsca na halowej bieżni, w tym wypadku dla sześciu sztafet. Reporter pocieszał ją, jak mógł, a na koniec wywiadu oznajmił, że właśnie otrzymał wiadomość, że polska ekipa złożyła protest przeciwko trzeciej na mecie sztafecie jamajskiej. Istotnie, na jednej ze zmian ruszająca Jamajka spowodowała upadek paru zawodniczek, a polskiej sztafecie zabiegła drogę. Ta wiadomość osuszyła łzy naszej sportsmence, która po krótkiej wymianie zdań z reporterem na ten temat na koniec z nadzieją w głosie powiedziała: „Ale nie wywołujemy wilka z lasu”. Zapewne pod wpływem emocji niewłaściwie, a wręcz odwrotnie do intencji, użyła tego popularnego frazeologizmu. Powiedzenie o wywołaniu wilka z lasu odnosi się do przesądu, że jeśli za dużo mówimy o czymś złym, niepożądanym, o jakimś możliwym nieszczęściu, to na pewno ściągniemy to na siebie. Nasza biegaczka pomyliła wywołanie wilka z lasu ze zwykłym, niefrazeologicznym zapewnianiem. Po prawdzie uczyniła to na tyle skutecznie, że sztafeta Jamajki została zdyskwalifikowana, a nasze biegaczki odebrały zasłużone brązowe medale mistrzostw świata.

Wspomniany wilk to niezwykle ciekawe stworzenie. Budzi strach – jest dziki, nieokiełznany, postrzegany jako niebezpieczny dla ludzi i zwierząt. Ale budzi też podziw – jest nadzwyczaj

inteligentny, wierny swojej watasze, wykazuje nieodpartą wolę przetrwania. Nie dziwota, że znalazł poczesne miejsce w licznych powiedzeniach i przysłowiach. Nie będę przytaczał tu wszystkich, na które natrafiłem, bo jest tego naprawdę sporo, ale niektóre warto, nawet jeśli są ogólnie znane:

- tytułowe „o wilku mowa, a wilk tu”, gdy nagle pojawi się osoba, o której właśnie rozmawiamy;
- „ciągnie wilka do lasu”, bo trudno walczyć ze swoją naturą, przyzwyczajeniami, przyzwyczajeniami;
- trzeba uważać na „wilki w owczej skórze”, czyli na ludzi fałszywych, pozorujących uczciwe intencje;
- nie warto szkodzić innemu, bo „nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”;
- nie bójmy się od razu czegoś, co wydaje się niebezpieczne, bo „nie taki wilk straszny, jak go malują”;
- czasem bądźmy kompromisowi, tak by „i wilk był syty, i owca cała”;
- nie wypada „patrzeć na kogoś wilkiem”;
- bywamy „głodni jak wilk” i wtedy mamy „wilczy apetyt”;
- a jeśli ktoś za długo siedzi na zimnym podłożu, to może „dostać wilka”.

Wilk na dobre zadomowił się także w literaturze światowej. Nie sposób w krótkim felietonie wymienić choćby najbardziej popularne teksty literackie, w których wilk odgrywa pierwszoplanową rolę. Największe wrażenie na mnie robi thriller wszech czasów, jakim jest „Czerwony Kapturek”, z wilkiem w roli głównej. Nie do wiary, że ta mroząca krew w żyłach ludowa baśń powstała ponad trzysta lat temu i do dziś, w różnych wersjach, nie traci na popularności. Może dlatego, że niestety wciąż aktualne pozostaje, choć w nowoczesnym wydaniu, znane już w starożytności powiedzenie „człowiek człowiekowi wilkiem”?

krissun@pg.edu.pl

30 LAT Pismo Folkowe

tradycja | muzyka świata i okolic



ARTYKUŁY
TEORETYCZNE | WYWIADY | RECENZJE | FELIETONY | RELACJE



Zamów wersję
drukowaną na
pismofolkowe.pl:



lub kup wersję
cyfrową na Publio:



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Projekt dofinansowany
przez Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



UMCS



PROJEKT
ZREALIZOWANY
DZIĘKI WSPARCIU
MIASTA LUBLIN

lublin
MIASTO INSPIRACJI



25 LAT ANS

Akademia Nauk Stosowanych
w Nowym Targu

